

Artur C. Clarke

IMPERIALNA ZIEMIA

Imperial Earth

Przekład:

Marcin Barski



Każdy bowiem na tym świecie
ma jakąś skłonność lub interes.

Hamlet, akt I

Część I

Tytan

Rozdział pierwszy

Krzyk w ciemnościach

Duncan Makenzie miał dziesięć lat gdy odkrył magiczny numer. To był czysty przypadek: chciał zadzwonić do babci Ellen, ale przez nieuwagę wcisnął złe klawisze. Od razu wiedział, że się pomylił, bo wideotelefon babci Ellen miał dwusekundowe opóźnienie przy każdym połączeniu, nawet w trybie Auto/Record, tymczasem to połączenie zostało nawiązane natychmiast. Bez sygnału oczekiwania i bez obrazu. Ekran był zupełnie pusty, bez choćby najslabszego śnieżenia. Duncan uznał, że przełączyło go tylko na kanał audio lub że połączył się ze stacją, której kamera została wyłączona. W każdym razie z pewnością nie był to numer babci Ellen, postanowił więc rozłączyć się.

Ale nim sięgnął do wyłącznika, usłyszał dziwny dźwięk. Najpierw pomyślał, że po drugiej stronie ktoś cicho oddycha do mikrofonu, ale szybko zdał sobie sprawę, że było to coś innego. W tym szumie było coś przypadkowego i nieludzkiego; brakowało w nim regularnego rytmu i zdarzały się długie interwały zupełnej ciszy.

Im dłużej słuchał, tym bardziej się bał. Było to coś, z czym nigdy wcześniej się nie spotkał, a jednak rozpoznał to niemal od razu. W ciągu dziesięciu lat życia wiele wrażeń z bardzo wielu światów odbiło ślad w jego pamięci ale nikt, kto choć raz słyszał ten dźwięk, nie mógłby go zapomnieć. Słuchał wiatru wzdychającego i szepczącego w martwym krajobrazie setki metrów nad jego głową.

Duncan całkiem zapomniał o babci i maksymalnie podkręcił głośność. Położył się na łóżku, zamknął oczy i wyobraził sobie ów nieznaną wrogi świat, od którego odgradzony był urządzeniami i zabezpieczeniami powstałymi w ciągu trzystu lat podboju kosmosu. Pewnego dnia, gdy pomyślnie przejdzie testy wytrzymałościowe, pojedzie tam na górę, by na własne oczy zobaczyć jeziora i kaniony, i niskie pomarańczowe chmury, podświetlone słabymi, zimnymi promieniami dalekiego słońca. Czekał na ten dzień spokojnie i bez ekscytacji - jego rodzina znana była z kamiennego spokoju - ale nagle zdał sobie sprawę z tego, czego mu brakowało. Podobnie czułoby się dziecko na suchej, ziemskiej pustyni daleko od oceanu, przyciskając muszlę do ucha i słuchając tęsknie dźwięku nieosiągalnego morza.

Dźwięk z wideotelefonu nie był więc już zagadką, ale jak do niego docierał? Mógł pochodzić z dowolnego miejsca na milionach kilometrów kwadratowych ponad jego głową. Gdzieś tam - być może w jakiejś opuszczonej konstrukcji badawczej lub stacji doświadczalnej

- włączony mikrofon został porzucony na pastwę mroźnych, trujących wiatrów. Było mało prawdopodobne, że nikt go nie odnajdzie, prędzej czy później zostanie odłączony. Lepiej nagrać ten dźwięk, póki jeszcze się da, nawet gdyby znał numer, który przypadkiem wykręcił, to nie sądził, że udałoby mu się jeszcze raz nawiązać takie połączenie.

Ilość materiałów audiowizualnych, które przechowywał w folderze RÓŻNE, była ogromna, nawet jak na ciekawskiego dziesięciolatka. Nie brakowało mu umiejętności segregowania informacji - z tego też znana była rodzina Makenziech - ale interesowało go więcej spraw, niż umiałby poukładać w folderach. Teraz zaczął odkrywać, a nie była to łatwa nauka, że informacja nieodpowiednio sklasyfikowana może być nieodwracalnie stracona.

Zastanawiał się przez chwilę, podczas gdy wiatr wył i zawodził, i wnosił mroźny powiew do jego małej kabiny. Wreszcie wpisał: ALPHA INDEX *ODGŁOSY WIATRU* PERM STORE#.

Gdy tylko wcisnął przycisk #, głos ze świata na górze zaczął się nagrywać. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie mógł go przywołać kiedykolwiek później, wpisując tylko ODGŁOSY WIATRU. Gdyby nawet popełnił jakiś błąd i wyszukiwarka nie byłaby w stanie go odnaleźć, to i tak nagranie będzie gdzieś w stałej, nieusuwalnej pamięci urządzenia. Być może znajdzie je kiedyś przypadkiem, tak jak już często mu się to zdarzało z plikami w folderze RÓŻNE.

Postanowił nie wyłączać nagrywania jeszcze przez kilka minut i dopiero później zadzwonić do babci. Wiatr jednak najwyraźniej osłabł, gdy tylko Duncan włączył nagrywanie, bo z głośnika dobiegała jedynie długa frustrująca cisza. A później z tej ciszy wyłoniło się coś nowego.

To coś było słabe i dalekie, ale sprawiało wrażenie przytłaczającej mocy. Najpierw był wysoki krzyk, z sekundy na sekundę coraz bardziej intensywny, mimo to wciąż bardzo odległy. Krzyk płynnie przeszedł w demoniczny, grmiący wrzask - po czym ucichł tak nagle, jak się pojawił. W sumie nie trwał dłużej niż pół minuty. Po nim znów nastąpiło jedynie wycie wiatru, jeszcze zimniejsze niż poprzednio.

Przez długą smakowitą chwilę Duncan rozkoszował się rzadkim uczuciem strachu niezwiązanego z żadnym realnym zagrożeniem, po czym zareagował tak, jak zwykle reagował na coś nowego lub ekscytującego: wybrał numer Karla Helmera i powiedział:

- Posłuchaj tego.

Trzy kilometry dalej, na północnym krańcu Oasis City, Karl uważnie wysłuchał wrzasku do końca. Jak zwykle jego twarz nic nie wyrażała, powiedział tylko:

- Posłuchajmy jeszcze raz.

Duncan odtworzył nagranie ponownie, pewien, że zagadka za chwilę się rozwiąże. Karl miał bowiem piętnaście lat, wiedział więc wszystko.

Jego jasne błękitne oczy, tak szczere, a jednocześnie pełne tajemnic, patrzyły wprost na Duncana. Z w pełni przekonującym, szczerym zdziwieniem zapytał:

- Nie rozpoznałeś tego?

Duncan zawahał się. Przyszło mu do głowy kilka oczywistych rozwiązań - ale gdyby źle wybrał, Karl wyśmiałby go. Lepiej było nie ryzykować...

- Nie - odpowiedział. - A ty?

- Oczywiście - powiedział Karl najbardziej wyniosłym tonem, na jaki potrafił się zdobyć. Zawiesił głos na chwilę, by wzmocnić efekt, po czym pochylił się w stronę kamery, tak że jego twarz na ekranie była olbrzymia. - To był rozwścieczony *hydrosaurus*.

Przez ułamek sekundy Duncan wziął to na serio - dokładnie tak jak Karl sobie życzył. Jednak szybko się ocknął i roześmiał do przyjaciela.

- Zwariowałeś. Więc też nie wiesz, co to było...

Oddychający metanem potwór, *Hydrosaurus Rex*, był ich wspólnym żartem, produktem chłopięcej wyobraźni, wymyślonym pod wpływem obrazów starożytnej Ziemi i cudów, które na niej powstawały u zarania życia. Duncan doskonale wiedział, że ani teraz, ani nigdy wcześniej nic nie żyło na powierzchni świata, który nazywał swoim domem; człowiek był jedyną żywą istotą, jaka stanęła na jego powierzchni. Ale gdyby *Hydrosaurus* kiedykolwiek istniał, ten niesamowity dźwięk z łatwością mógłby być jego okrzykiem bojowym, gdy rzucał się na łagodne *Carbothorium* taplające się w amoniakowym jeziorze...

- Och, ja wiem, co to był za dźwięk - powiedział zadowolony z siebie Karl. - Naprawdę się nie domyśliłeś? To był przecież tankowiec w trakcie uzupełniania paliwa. Zadzwoń do Kontroli Ruchu, to powiedzą ci, dokąd zmierza.

Karl miał bez wątpienia rację. Duncan też już o tym pomyślał, ale prawdę mówiąc, liczył na coś bardziej niezwykłego. Może nie na metanowe potwory, ale zwykły pojazd kosmiczny był wielkim rozczarowaniem. Czuł się zawiedziony i żałował, że po raz kolejny pozwolił Karlowi sprowadzić się na ziemię. Karl był w tym niezły.

Ale jak każdy zdrowy dziesięciolatek Duncan był odporny na takie sytuacje. Czar wcale nie przysł i choć pierwsze statki kosmiczne uniosły się z Ziemi trzysta lat przed jego urodzeniem, kosmos wcale mu nie spowszedniał. Ów zgrzyt orbitalnego tankowca pobierającego wodór, cenny pierwiastek handlowy w Układzie Słonecznym, był sam w sobie wystarczająco niezwykły.

Za kilka godzin ten cenny ładunek uda się w kierunku Słońca, minie inne księżycy Saturna, minie wielkiego Jowisza i w końcu dotrze do jednej ze stacji paliwowych krążących wokół planet wewnętrznych. Potrwa to miesiące, być może lata, ale przecież nie ma pośpiechu. Dopóki tani wodór płynąć będzie niewidzialną rurą przez Układ Słoneczny, dopóty rakiety o napędzie jądrowym przemierzać będą mogły przestrzeń między światami, tak jak niegdyś liniowce kursujące po morzach na Ziemi.

Duncan rozumiał to lepiej niż większość chłopców w jego wieku. Wykorzystanie wodoru było istotną częścią historii jego rodziny i zapewne zdominuje także jego życie, gdy tylko będzie na tyle dorosły, by samemu odegrać rolę w sprawach Tytana. Już prawie stulecie miało, odkąd pradziadek Malcolm zrozumiał, że Tytan był kluczem do wszystkich planet, i odkąd sprytnie wykorzystał tę wiedzę dla dobra ludzkości. Jak również dla dobra własnego.

Duncan słuchał więc dalej nagrania, gdy Karl się rozłączył. Włączał je raz za razem i w owym triumfalnym odgłosie siły próbował wskazać ten moment, w którym zniknął on w bezmiarze kosmosu. Dźwięk ten przez lata miał go nawiedzać w snach, budząc go w nocy, przekonanego, że znów go słyszy poprzez skały osłaniające Oasis City od wrogiego, dzikiego świata na górze.

I gdy wreszcie zasypiał, jak zawsze śniła mu się Ziemia.

Rozdział drugi

Dynastia

Malcolm Makenzie był właściwym człowiekiem we właściwym czasie. Inni przed nim pożądliwie spoglądali na Tytana, ale to on pierwszy obmyślił wszystkie szczegóły techniczne i zaprojektował system orbitalnych czerpaków, kompresorów i tanich tankowców, które przy minimalnych stratach zdolne były transportować płynny wodór w kierunku Słońca.

W latach 80. XXII wieku Malcolm był obiecującym młodym projektantem statków kosmicznych w Port Lowell. W tym czasie pracował nad koncepcją statku zdolnego transportować użyteczne ładunki w mizernej marsjańskiej atmosferze. Nazywał się wówczas Malcolm Mackenzie, błąd komputera, który bezpowrotnie zmienił jego nazwisko, zdarzył się dopiero po jego przeprowadzce na Tytana. Malcolm poddał się dopiero po pięciu latach prób naprawienia tej pomyłki i była to jedna z niewielu bitw, w których rodzina Makenziech uznała swoją porażkę. Dziś jednak dumni byli ze swojego wyjątkowego nazwiska.

Gdy zakończył obliczenia i przy pomocy komputera przygotował zestaw pięknych wizualizacji, młody Malcolm udał się do Marsjańskiego Departamentu Transportu. Nie oczekiwał poważniejszej krytyki, ponieważ wiedział, że i fakty, i jego logika są niepodważalne.

Duży kosmiczny liniowiec o napędzie jądrowym mógłby zużywać dziesięć tysięcy ton wodoru na jeden lot, wyłącznie jako ciecz obojętną. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent tego wodoru nie brałoby udziału w reakcji jądrowej, tylko z ogromną prędkością wyrzucane byłoby z dysz w niezmienionej postaci, nadając w ten sposób statkowi prędkość wystarczającą do podróży międzyplanetarnych.

Na Ziemi było mnóstwo wodoru, łatwo dostępnego choćby w oceanach, ale koszt wynoszenia na orbitę megaton rocznie byłby olbrzymi. Żaden z pozostałych zamieszkałych światów - Mars, Merkury, Ganimedes ani Księżyc - nie miał odpowiednich zasobów.

Oczywiście Jowisz i inne gazowe olbrzymy posiadały nieskończone ilości tego pierwiastka, ale siła ich grawitacji strzegła tych zapasów skuteczniej niż wiecznie czuwający smok owinięty wokół skarbów Bogów. W całym Układzie Słonecznym Tytan był jedynym miejscem, gdzie Natura stworzyła paradoks słabej grawitacji i atmosfery znacząco obfitej w wodór i jego związki.

Malcolm miał rację, sądząc, że nikt nie podważy jego obliczeń ani nie zaprzeczy wykonalności jego projektu, jednak starszy i uczynny urzędnik postanowił osobiście uświadomić go w kwestii meandrów polityki i ekonomii. Błyskawicznie przeszedł kurs krzywych wzrostu i dyskont terminowych, długów międzyplanetarnych, stóp amortyzacji i tempa starzenia się technologii i wówczas zrozumiał, dlaczego wartość solara opiera się nie na złocie, ale na kilowatogodzinach.

- To stary problem - tłumaczył urzędnik cierpliwie. - Prawdę mówiąc, sięga aż zarania astronautyki w dwudziestym wieku. Nie mogliśmy mieć komercyjnych lotów kosmicznych, dopóki nie rozkwitły pozaziemskie kolonie, a te nie mogły powstać, dopóki nie było takich lotów. Taki impas sprawia, że rozwój jest spowolniony aż do punktu odbicia. Wówczas wszystkie krzywe nagle idą w górę, a interes się rozkręca... Podobnie może być z twoim pomysłem Tytanowym, ale czy zastanawiałeś się, jaka musiałaby być początkowa inwestycja? Zapewne tylko Bank Światowy mógłby ponieść takie koszty...

- A Bank Księżycowy? Podobno bywa skłonny do większego ryzyka.

- Nie wierz we wszystko, co przeczytasz o księżycowych bankierach, są tak samo ostrożni jak wszyscy inni. Muszą być; w razie wpadki bankierzy na Ziemi wciąż będą mieli przynajmniej czym oddychać...

Lecz to jednak właśnie Bank Księżycowy wyłożył trzy lata później pięć megasoli na wstępne studium wykonalności. Później projektem zainteresowały się Merkury i Mars. Wtedy Malcolm nie był już oczywiście inżynierem kosmicznym, został - choć niekoniecznie w tej właśnie kolejności - ekspertem finansowym, doradcą wizerunkowym, medialnym manipulatorem i cwany politykiem. W niewiarygodnie krótkim czasie zaledwie dwudziestu lat pierwsze ładunki wodoru zaczęły napływać z Tytana w kierunku Słońca.

Osiągnięcie Malcolma było doprawdy niezwykle, szybko powstało o nim wiele prac naukowych i choć nie wszystkie były pochlebne, to jednak wszystkie pełne uznania. Wyjątkowe uznanie budziło zwłaszcza to, jak sprawnie Malcolm przemienił swoje z trudem zdobyte doświadczenie z technicznego na administracyjne. Proces ów był na tyle niezauważalny, że niemal nikt nie zorientował się, co się dzieje. Makenzie nie był pierwszym inżynierem, który został mężem stanu, ale był pierwszym - co wytykali mu krytycy - który założył dynastię. I dokonał tego wbrew przeciwnościom, które zraziłyby większość innych ludzi.

W 2195 roku, mając 44 lata, poślubił Ellen Killner, która niedługo wcześniej emigrowała z Ziemi. Ich córka Anitra była pierwszym dzieckiem narodzonym w małej i dalekiej społeczności Oasis, wówczas jedynej stałej bazy na Tytanie. Dopiero po latach oddani rodzice dostrzegli, jak okrutnie potraktowała ich natura.

Już jako niemowlę Anitra była piękną dziewczynką i było niemal pewne, że dorastając będzie coraz bardziej rozpieszczana. Oczywiście na Tytanie nie było wówczas jeszcze żadnego dziecięcego psychologa, nikt więc nie zwrócił uwagi na fakt, że dziewczynka była zbyt łagodna, zbyt posłuszna i zbyt milcząca. Dopiero po czterech latach Malcolm i Ellen musieli pogodzić się z faktem, że ich córka nigdy nie zacznie mówić i że w pięknym ciele nigdy nie będzie ducha.

Wina leżała w genach Malcolma. Podczas którejś z jego wielu podróży pomiędzy Ziemią a Marsem, jakiś zbłąkany foton przemierzający kosmos od początku dziejów, zniszczył jego marzenia o przyszłości rodziny. Szkoda była nie do naprawienia, o czym Malcolm dowiedział się podczas konsultacji u najlepszych lekarzy genetyków wszystkich czterech światów. Zmroziła go informacja o tym, że z Anitram i tak mieli wiele szczęścia, mogło wszak być znacznie, znacznie gorzej...

Ku wielkiemu smutkowi ale i uldze całego świata Anitra zmarła przed szóstymi urodzinami, a małżeństwo Makenziech umarło wraz z nią w przyływie żalu i wzajemnych oskarżeń. Ellen poświęciła się pracy, a Malcolm udał się w swoją ostatnią podróż na Ziemię. Nie było go dwa lata i w tym czasie osiągnął bardzo wiele.

Umocnił swoją pozycję w polityce i przygotował grunt pod ekonomiczny rozwój Tytana na następne półwiecze. Oraz począł syna, któremu oddał teraz całe swe uczucie.

Klonowanie ludzi - tworzenie dokładnych kopii człowieka z dowolnej komórki ciała z *wyjątkiem* komórek rozrodczych - stało się możliwe na początku XXI wieku. Jednak nawet gdy technika ta została udoskonalona, klonowanie nie rozpowszechniło się wśród ludzi. Częściowo z powodu dylematów natury etycznej, częściowo dlatego, że niewiele było okoliczności, w których klonowanie byłoby w pełni uzasadnione.

Malcolm nie był bogatym człowiekiem - wielkie indywidualne fortuny nie istniały już od stu lat - ale z pewnością nie był też biedny. Do osiągnięcia celu użył umiejętnej kombinacji pieniędzy, pochlebstw i subtelnych nacisków. Na Tytana wrócił więc z dzieckiem, które było jego identycznym bliźniakiem, tyle że o pół wieku młodszym.

Gdy dorósł, Colin wyglądał dokładnie tak samo jak jego „ojciec” w tym samym wieku. Pod względem fizycznym był jego dokładną kopią. Ale Malcolm nie był narcyzem pragnącym żywej kopii samego siebie. Pragnął partnera i następcy. Edukacja Colina skupiła się więc na słabszych punktach wiedzy Malcolma; choć dobrze poznał podstawy nauk ścisłych, to jednak specjalizował się w historii, prawie i ekonomii. Podczas gdy Malcolm był raczej inżynierem-administratorem, Colin był administratorem-inżynierem. W wieku dwudziestu kilku lat zastępował ojca tam, gdzie było to prawnie możliwe (a czasami także tam, gdzie nie było). Dwaj panowie Makenzie stworzyli razem kombinację nie do pokonania, a znajdywanie subtelnych różnic w ich psychologiach stało się ulubioną rozrywką Tytania.

Być może dlatego, że nigdy nie musiał walczyć o żaden większy cel i wszystkie swoje cele miał sformułowane, jeszcze nim się urodził, Colin był łagodniejszy i bardziej przystępny niż Malcolm - a przez to także bardziej lubiany. Nikt spoza rodziny Makenziech nie zwracał się do Malcolma po imieniu, niewielu zwracało się do Colina inaczej niż właśnie „Colin”. Nie miał żadnych prawdziwych wrogów, a na całym Tytanie była tylko jedna osoba, która go nie lubiła. A przynajmniej tak sądzono o osamotnionej żonie Malcolma, Ellen, która nigdy nie chciała przyjąć do wiadomości faktu istnienia Colina.

Być może uważała go za uzurpatora, nieakceptowalny substytut syna, którego nigdy nie miała urodzić. Jeśli tak było, to rzeczywiście zdumiewająca była sympatia, jaką darzyła Duncana.

Tyle że Duncan został sklonowany z Colina czterdzieści lat później, a w tym czasie Ellen przeżyła drugą osobistą tragedię, która nie miała nic wspólnego z rodziną Makenziech. Dla Duncana była zawsze babcią Ellen, ale miał już wystarczająco dużo lat, by wiedzieć, że w

jego sercu była zawsze kimś więcej; że wypełniała pustkę, której wcześniej nie umiałby ani nazwać, ani nawet sobie wyobrazić.

Jeśli pomiędzy nim a babcią istniał jakiś genetyczny związek, to ślad po nim musiał zniknąć setki lat temu w zupełnie innym świecie. A mimo to przez dziwaczny wybryk przypadku i osobowości stała się dla niego uludą matki, której nigdy nie posiadał.

Rozdział trzeci

Zaproszenie na Jubileusz

- A kim do diabła jest George Washington? - zapytał Malcolm Makenzie.

- Farmer z Virginii w średnim wieku, zarządza miejscem o nazwie Mount Vernon...

- Chyba żartujesz.

- Nie żartuję. Zbieżność nazwisk przypadkowa, oczywiście stary George był bezdietny. Ten naprawdę się tak nazywa i jest zupełnie autentyczny.

- Rozumiem, że sprawdziłeś w ambasadzie.

- Oczywiście, i dostałem pięćdziesiąt stron historii jego rodziny. Imponujące - połowa amerykańskiej arystokracji z ostatnich trzystu lat. Dużo Cabotów, Du Pontów, Kennedych i Kissingerów. A przedtem kilku afrykańskich władców.

- Tobie to może imponować, Colin - przerwał Duncan - ale gdy przejrzałem program, to wszystko wydaje mi się raczej dziecinadą. Dorośli faceci udający postacie historyczne. Naprawdę chcą wysypać herbatę do zatoki bostońskiej?

Dziadek Malcolm wtrącił się, zanim Colin zdążył odpowiedzieć. Dyskusja między trzema Makenziami - raczej rzadko obserwowana przez osoby postronne - przypominała bardziej monolog niż kłótnię. Osobowościowo różnili się tylko przez wpływ przypadku i edukacji, prawdziwe różnice zdań w zasadzie nigdy się im nie zdarzały. Kiedy trzeba było podjąć trudną decyzję, Duncan i Colin zajmowali przeciwne stanowiska i prowadzili dyskusję na argumenty w obecności Malcolma, który słuchał w milczeniu, choć jego brwi potrafiły wiele wyrazić. Rzadko musiał wydawać sąd, bo dwaj adwersarze zwykle dość łatwo dochodzili do wspólnych wniosków; ale gdy już musiał, jego zdanie kończyło spór ostatecznie. Był to całkiem niezły sposób zarządzania rodziną - a nawet światem.

- Nic nie wiem o herbacie, choć to byłaby pewnie strata jakichś pięćdziesięciu solarów na kilogramie, ale zbyt surowo oceniasz pana Washingtona i jego przyjaciół. Kiedy *my* będziemy mieć za sobą pięćset lat historii, odrobina pompy i ceremonie będą w pełni

uzasadnione. I nie zapominaj, że Deklaracja Niepodległości była jednym z najważniejszych wydarzeń w historii ostatnich trzech tysięcy lat. Bez niej nas też by tutaj nie było. W końcu Układ z Phobos zaczyna się od słów: *Ilekroć wskutek biegu wypadków koniecznym się staje dla jakiegoś narodu...**

- W tym kontekście zupełnie nie na miejscu. Ziemia była przecież całkiem szczęśliwa, że się nas pozbyła.

- Pełna zgoda, ale nikt na Ziemi by tego otwarcie nie przyznał.

- Wciąż jednak nie rozumiem - powiedział Duncan zasmuconym tonem. - Czego chce od nas dobry generał? Cóż my, prości kolonialiści, możemy wnieść do obchodów?

- Jest tylko profesorem, nie generałem - odpowiedział Colin. - Oni już wymarli, nawet na Ziemi. Na moje oko wystarczy kilka dobrze ułożonych przemówień zarysowujących wszelkie możliwe podobieństwa pomiędzy naszymi dziejami. To może mieć dla Ziemian pewien egzotyczny urok - wiesz, zew najdalszej granicy, gdzie ludzie wciąż żyją w ciągłym niebezpieczeństwie. Klasyczna barbarzyńska męskość, której żaden Ziemianin się nie oprze. I co nie mniej ważne, szczerza choć nie przesadnie okazywana wdzięczność za niespodziewany dar w postaci otwartego biletu na trasie Ziemia - Tytan wraz z dwumiesięcznym pobytem. To rozwiązuje część naszych problemów i powinniśmy to docenić.

- Prawda - odparł Duncan z namysłem. - Nawet jeśli burzy to nasze plany na kolejne pięć lat.

- Wcale ich nie burzy - powiedział Colin. - Udoskonala je. Czas zdobyty to czas stworzony. A sukces w polityce...

- ...zależy od umiejętnego zarządzania nieprzewidywalnym, jak lubisz to ujmować. Cóż, to zaproszenie było nie do przewidzenia, a ja spróbuję się z nim zmierzyć. Czy wysłaliśmy już oficjalne podziękowanie?

- Jedynie rutynowe powiadomienie. Myślę, Duncan, że powinieneś teraz wysłać osobisty list do prezydenta, to znaczy profesora Washingtona.

- Oba tytuły są poprawne - powiedział Malcolm, czytając jeszcze raz zaproszenie. - Tu jest napisane: Przewodniczący Komitetu Obchodów Pięćsetlecia i Prezydent Towarzystwa Historycznego Virginii. Możesz wybierać.

- Musimy z tym bardzo uważać, bo ktoś mógłby nam to wypomnieć podczas zgromadzenia. Zaproszenie jest oficjalne czy indywidualne?

* Pierwsze słowa Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych z 4 lipca 1776 roku.

- Na szczęście nie jest na poziomie międzyrządowym, to komitet jest sponsorem. A faks był zaadresowany do Szanownego Malcolma Makenziego, nie do prezydenta - Szanowny Malcolm Makenzie, jednocześnie

Prezydent Tytana, był wyraźnie zadowolony z tego drobnego rozróżnienia.

- Czy słusznie wyczuwam w tym rękę twojego dobrego przyjaciela, ambasadora Farrella? - spytał Colin.

- Jestem pewien, że nic podobnego nie przysłoby mu do głowy.

- Też tak pomyślałem. Jednak mimo tego, że prawnie mamy wszelkie podstawy, by z tego skorzystać, różnych obiekcji nie powstrzymamy. Pojawiają się głosy oburzenia, że znów jesteśmy uprzywilejowani i że rządymy na Tytanie dla własnych korzyści.

- Chciałbym się przy okazji dowiedzieć, kto wprowadził tu do obiegu słowo *lenno*. Muszę to zbadać.

Colin zignorował słowa starca. Jako Główny Zarządca musiał stawiać czoła codziennym problemom związanym z rządzeniem światem i nie mógł sobie pozwolić na drobną nieodpowiedzialność, którą Malcolm zaczął okazywać na stare lata. Nie wynikało to ze starości - dziadek miał zaledwie sto dwadzieścia cztery lata - ale raczej z beztroski, nadmiernej pewności siebie człowieka, który wszystko już przeżył i zaspokoił wszystkie swoje ambicje.

- Na naszą korzyść przemawiają dwie kwestie - mówił dalej Colin. - Żadne publiczne środki nie zostaną tknięte, więc nie można nam zarzucić marnotrawienia budżetu państwa. No i nie udawajmy fałszywej skromności, Ziemia będzie oczekiwać Makenziego. Jeśli żaden z nas nie pojedzie, będą mogli odebrać to jako afront. A ponieważ jedyną opcją jest wyjazd Duncana, więc kwestia zdaje się rozstrzygnięta.

- Oczywiście masz absolutną rację, ale nie wszyscy będą myśleć podobnie. Każda rodzina będzie chciała wysłać swoich najmłodszych potomków.

- Nic ich nie powstrzymuje - wtrącił Duncan.

- Ale kto może sobie na to pozwolić? My byśmy nie mogli.

- Owszem, moglibyśmy, gdybyśmy nie mieli pewnych kosztownych planów na przyszłość. Podobnie stać by było na to takie rodziny jak Tanaka-Smithów, Mohadeenów, Schwartzów czy Deweyów...

- Ale Helmerów już chyba nie...

Colin powiedział to spokojnie, ale niewesoło. Zapadła długa cisza, gdy wszyscy trzej pomyśleli o tym samym. W końcu odezwał się Malcolm:

- Nie doceniacie Karla. My mamy tylko siłę i mózgi, a on jest geniuszem. Jest nieprzewidywalny.

- Ale to wariat - zaprotestował Duncan. - Gdy się z nim ostatnio widziałem, próbował przekonać mnie, że na Saturnie istnieje inteligentne życie.

- Udało mu się?

- Prawie.

- Jeśli jest wariatem - w co wątpię, nawet pomimo jego słynnego załamania, to tym bardziej jest niebezpieczny. Zwłaszcza dla ciebie, Duncan.

Duncan nawet nie próbował na to odpowiedzieć. Jego starsi i mądrzejsi bliźniacy rozumieli jego uczucia, nawet jeśli nie potrafili w pełni ich podzielić.

- Jest jeszcze jedna kwestia - powiedział Malcolm z namysłem, - być może najważniejsza. Mamy być może tylko dziesięć lat, by całkowicie zmienić podstawy naszej gospodarki. Gdybyś potrafił znaleźć rozwiązanie tego problemu podczas swojej wyprawy - choćby tylko cień rozwiązania - zostałbyś po powrocie bohaterem. Nikt nie skrytykowałby twojego zachowania, ani prywatnego, ani publicznego.

- To trudne zadanie. Nie jestem czarodziejem.

- Więc zacznij się uczyć. Jeśli napęd asymptotyczny to nie czary, to nie wiem, czym jest.

- Chwileczkę! - zawołał Colin. - Czy pierwszy statek z A-napędem nie ma dotrzeć tutaj za kilka tygodni?

- Drugi. Wcześniej był tu ten frachtowiec *Fomalhaut*. Byłem na pokładzie, ale nie dali mi nic zobaczyć. *Syriusz* jest pierwszym statkiem pasażerskim, który ma dotrzeć na naszą orbitę - za jakieś 30 dni.

- Zdasz się przygotować do tego czasu, Duncan?

- Szczerze wątpię.

- Zdasz na pewno.

- Mam na myśli przygotowanie *fizjologiczne*. Nawet w trybie awaryjnym trzeba miesięcy, by przygotować się na ziemską grawitację.

- Hm... Ale szkoda by było zmarnować tak znakomitą okazję. Wszystko układa się teraz idealnie. W końcu jak by nie było, urodziłeś się na Ziemi.

- Ty też. A ile czasu potrzebowałeś, żeby się przygotować, gdy tam wracałeś?

Colin westchnął.

- To trwało wieki, ale do dzisiaj musieli poprawić technologię. Używają chyba teraz neuroprogramowania podczas snu, prawda?

- Zdaje się, że powoduje to złe sny, a ja będę potrzebował bardzo dużo snu. Ale co dobre dla Tytana...

Nie musiał kończyć tego cytatu, ukutego pół wieku wcześniej przez jakiegoś cynika. Przez trzydzieści lat Duncan nigdy nie miał powodu zwątpić w te słowa, dobrane złośliwie, a teraz zaadaptowane już jako rodzinne motto.

Co było dobre dla Makenziech, faktycznie było dobre także dla Tytana.

Rozdział czwarty

Czerwony księżyc

Spośród osiemdziesięciu pięciu znanych naturalnych satelitów tylko Ganimedes, władca systemu Jowisza, był większy od Tytana - a i to jedynie o włos. Ale Tytan nie miał sobie równych pod innym względem; żaden księżyc żadnej innej planety nie miał prawdziwej atmosfery. Atmosfera Tytana była tak gęsta, że gdyby składała się z tlenu, ludzie mogliby w niej swobodnie oddychać.

Gdy odkryto ten fakt pod koniec XX wieku, astronomowie zaczęli zachodzić w domysły. Jakim cudem obiekt niewiele większy od ziemskiego Księżyca, zupełnie pozbawionego powietrza, był w stanie utrzymać jakąkolwiek atmosferę, a szczególnie atmosferę bogatą w wodór, najlżejszy ze wszystkich pierwiastków? Dawno już powinien był ulotnić się w kosmos.

Nie była to jedyna tajemnica Tytana. Podobnie jak Księżyc niemal wszystkie inne satelity pozbawione były koloru, pokryte skałami i pyłem roztrzaskanych meteorów. Tytan tymczasem był czerwony - równie czerwony jak Mars, którego złowrogi blask przypominał starożytnym wojny i rozlew krwi.

Pierwsze automatyczne próbniki rozwikłały część zagadek Tytana, ale jak to zwykle bywa, podniosły też mnóstwo nowych pytań. Czerwony kolor pochodził od warstwy niskich, grubych chmur o niemal identycznym składzie chemicznym jak Wielka Czerwona Plama na Jowiszu. Poniżej tych chmur znajdował się świat o ponad sto stopni gorętszy, niż miał prawo być; na Tytanie były takie obszary, w których człowiek potrzebował jedynie maski tlenowej i kombinezonu, by poruszać się swobodnie po jego powierzchni. Ku ogólnemu zaskoczeniu Tytan okazał się najbardziej przyjaznym do życia miejscem w Układzie Słonecznym.

Część tego niespodziewanego ciepła pochodziła z efektu cieplarnianego, jako że wodorowa atmosfera zatrzymywała przy powierzchni słabe promienie odległego Słońca. Ale

znacznie więcej pochodziło z wnętrza Tytana; w okolicach równika znajdowało się mnóstwo - nazwijmy je tak z braku lepszego słowa - zimnych wulkanów. Od czasu do czasu niektóre z nich rzeczywiście wyrzucały na powierzchnię wodę w stanie ciekłym.

Aktywność ta uruchamiana przez radioaktywne procesy generowane głęboko wewnątrz Tytana, wypływała megatony związków wodoru do atmosfery i zwiększała ich ucieczkę w kosmos. Oczywiście pewnego dnia podziemne rezerwy - jak dawne złoża ropy naftowej na Ziemi - miały się skończyć, ale geolodzy wyliczyli, że problem ten nie pojawi się wcześniej niż za jakieś dwa miliardy lat. Nawet najbardziej energiczne działania człowieka jedynie minimalnie wpłynąć mogły na te liczby.

Podobnie jak Ziemia Tytan miał wyraźnie różniące się między sobą pory roku - choć trudno nazwać „latem” okres, w którym temperatura w południe rzadko przekracza minus pięćdziesiąt stopni Celsjusza. A że Saturn potrzebuje około trzydziestu lat, by okrążyć Słońce, pory roku na Tytanie trwały ponad siedem ziemskich lat każda.

Niewielkie słońce potrzebujące ośmiu dni, by przemierzyć niebo, rzadko było widoczne spod gęstych chmur, a różnica pomiędzy dniem a nocą była niewielka. Podobnie jak między biegunami a równikiem. Tytan nie miał więc stref klimatycznych, ale skoro już o tym mowa, potrafił przyrządzić całkiem spektakularne anomalie pogodowe.

Największe wrażenie robił fenomen meteorologiczny nazywany „Metanowym Monsunem”, który często - choć nie wyłącznie - powstawał z początkiem wiosny w północnej hemisferze. Podczas długiej zimy część metanu atmosferycznego kondensowała się w lokalnie chłodniejszych miejscach i tworzyła płytkie jeziora o powierzchni zwykle nie większej niż tysiąc kilometrów kwadratowych, lecz rzadko głębsze niż kilka metrów. Na ich powierzchni często pojawiały się góry lodowe o fantastycznych kształtach i krajobrazu amoniakowego lodu. Jednak by metan mógł pozostać w stanie ciekłym, temperatura musiała dłużej utrzymywać się poniżej stu sześćdziesięciu stopni, a nigdzie na Tytanie stan taki nie trwał zbyt długo.

„Ciepły” wiatr lub drobna przerwa w chmurach wystarczała, żeby metanowe jeziora nagle zmieniały się w mgłę. To tak jakby na Ziemi jeden z oceanów nagle wyparował, gwałtownie zwiększając swą objętość setki razy i w ten sposób całkowicie zmieniając skład atmosfery. Konsekwencje byłyby katastrofalne, podobnie jak nieraz na Tytanie. Zmierzono - czy raczej oszacowano po skutkach - iż prędkość wiatru sięgała tu nieraz pięciuset kilometrów na godzinę. Wichury takie trwały zwykle nie dłużej niż kilka minut, ale to i tak wystarczająco długo. Kilka pierwszych ekspedycji na Tytana zostało dosłownie zmiecionych z jego powierzchni. Dopiero później nauczono się przewidywać powstawanie monsunów.

Na początku XXI wieku, jeszcze przed pierwszymi lądowaniami na Tytanie, niektórzy egzobiolodzy mieli nadzieję odkryć jakieś formy życia w relatywnie ciepłych, znanych już wtedy oazach na powierzchni księżyca. Nadzieja ta powoli wygasła, choć na krótko przywróciło ją odkrycie dziwnych woskowych formacji w słynnych Kryształowych Jaskiniach. Jednak jeszcze przed końcem stulecia wiadomo było na pewno, że żadna forma życia nigdy nie pojawiła się na Tytanie.

Nigdy nie spodziewano się natomiast odkryć życia na innych księżycach, gdzie warunki były znacznie mniej przyjazne. Jedynie Japet i Rea, o połowę mniejsze od Tytana, miały choćby ślad atmosfery. Pozostałe satelity były jałowymi skupiskami skał, przerośniętymi kulami lodu lub mieszaniną tych dwóch opcji. Do połowy XXIII wieku odkryto ich ponad czterdzieści, większość z nich miała średnicę nie większą niż sto kilometrów. Te zewnętrzne - oddalone od Saturna o dwadzieścia milionów kilometrów - wszystkie poruszały się po wstecznych orbitach i najwyraźniej były tymczasowymi gośćmi z pasa asteroid; długo trwały dyskusje, czy w ogóle powinno się je klasyfikować jako satelity. Choć część z nich zbadali geolodzy, wielu nigdy nie tknięto - z wyjątkiem wysłanych tam próbników automatycznych - ale nie było powodu sądzić, że skrywają one jakieś większe niespodzianki.

Być może któregoś dnia, gdy Tytan będzie rozkwitał i stawał się już cokolwiek nudny, przyszłe pokolenia podejmą wyzwanie podbicia tych małych światów. Optymiści mówili o zmienieniu tych bogatych w węgiel kul śnieżnych w orbitalne ogrody zoologiczne, grzejące się ciepłem własnych nuklearnych słońc i pełne najdziwniejszych form życia. Inni marzyli o prywatnych ostojach luksusu i rozkoszy czy kurortach o niewielkiej grawitacji, a nawet o kosmicznych wyspach eksperymentowania z supertechnologicznym stylem życia. Wszystko to były to tylko utopijne fantazje; teraz, w 2276 roku, Tytan potrzebował całej swej energii, by sprostać nadchodzącemu kryzysowi.

Rozdział piąty

Polityka Czasu i Miejsca

Gdy tylko dwóch Makenziech rozmawiało ze sobą, ich dialog był jeszcze bardziej zwięzły i telegraficzny niż wówczas, gdy było ich trzech. Intuicja, równoległe procesy myślowe i wspólne doświadczenia zapełniały wszelkie luki, przez które dla osób postronnych ich rozmowa byłaby absolutnie niezrozumiała.

- Poradzi? - zapytał Malcolm.

- My? - odparł Colin.

- 31? Chłopak!

Co można by przetłumaczyć następująco:

- Myślisz, że sobie poradzi?

- A masz wątpliwości, czy my sami byśmy podołali?

- W wieku 31 lat? Nie jestem pewien, toż to młody chłopak jeszcze.

- I tak nie mamy wyboru. To jest okazja zesłana od Boga - lub raczej od Washingtona - której nie możemy przegapić. Będzie musiał przejść szybki kurs na temat Ziemiań, nauczyć się wszystkiego co trzeba na temat Stanów Zjednoczonych...

- A właśnie, jak to jest z tymi Stanami dzisiaj? Straciłem rachubę...

- Teraz jest czterdzieści pięć stanów - Teksas, Nowy Meksyk, Alaska i Hawaje wróciły do unii, przynajmniej na czas pięćsetlecia.

- Ale co to oznacza? Prawnie?

- Niewiele. Udają autonomię, ale płacą lokalne i globalne podatki jak cała reszta. Typowy ziemski kompromis.

Malcolm, który pamiętał dobrze, skąd pochodził, czasem uważał za stosowne bronić swój ojczysty świat przed takimi cynicznymi uwagami.

- Życzylbym sobie nieco więcej takich ziemskich kompromisów tutaj. Byłoby miło wstrzyknąć ich trochę w kuzyna Armanda.

Armand Helmer, Kontroler Zasobów, nie był tak naprawdę kuzynem Malcolma, ale siostrzeńcem jego byłej żony, Ellen. Jednak w małym i zamkniętym społeczeństwie Tytana, wszyscy - może z wyjątkiem ostatnich imigrantów - byli ze sobą w jakiś sposób spokrewnieni, a zwrotów takich jak wujek, ciocia, bratanek i kuzyn używano często z ujmującą niedokładnością.

- Kuzyn Armand - powiedział Colin nie bez satysfakcji - nie będzie zachwycony, gdy dowie się, że Duncan wyrusza na Ziemię.

- I co z tym zrobi? - zapytał miękko Malcolm.

To było dobre pytanie. Na krótką chwilę obaj panowie zamyślili się nad pogłębiającą się rywalizacją pomiędzy ich rodziną a rodziną Helmerów. Na swój sposób było to dość trywialne; zarówno Armand, jak i jego syn Karl urodzili się na Ziemi i przywieźli ze sobą aż tutaj to poczucie wyższości tak typowe dla ich rodzinnego świata. Niektórym imigrantom udawało się je po jakimś czasie zminimalizować, lecz nie było to łatwe. Malcolmowi Makenziemiu udało się dopiero po trzech planetach i stu latach, ale Helmerowie nigdy nawet

nie spróbowali. I choć Karl miał zaledwie pięć lat, gdy opuszczał Ziemię, sprawiał wrażenie jakby kolejne trzydzieści lat starał się stać bardziej „ziemskim” od Ziemiaków. Nie było także przypadkiem, że wszystkie jego żony pochodziły stamtąd.

Mimo to było to raczej zabawne niż denerwujące aż do jakichś dwunastu lat temu. Będąc dziećmi, Karl i Duncan byli nierozłączni, nie było też żadnych powodów do kłótni pomiędzy rodzinami, aż do chwili gdy szybka wspinaczka Armanda po szczeblach technologicznej hierarchii Tytana doprowadziła go do pozycji siły. Obecnie Kontroler nie ukrywał swojego przekonania, że trzy pokolenia Makenziech to aż nadto. Bez względu na to czy to on, czy ktoś inny ukuł owo słynne powiedzonko „Co dobre dla Makenziech”... Armand używał go z rozkoszą.

Trzeba mu jednak oddać, że jego ambicje skupiały się raczej na jego jedynym synu niż na nim samym. Samo to wystarczyłoby, by położyć cień na przyjaźni Karla i Duncana, choć pewnie przetrwałaby ona presję ze strony rodziców. Nie wiadomo, co dokładnie położyło ostateczną rysę na ich stosunkach, prawdopodobnie było to jednak związane z załamaniem psychicznym, jakiego Karl doświadczył piętnaście lat temu.

Wyszedł z niego bez uszczerbku na swoich zdolnościach, jednak z wyraźnie zmienioną osobowością. Skończywszy z wyróżnieniem studia na Uniwersytecie Tytana, zaangażował się w różne projekty badawcze, od mierzenia galaktycznych fal radiowych po studia nad polem magnetycznym Saturna. Prace te miały znaczenie praktyczne i Karl odegrał znaczącą rolę w tworzeniu i nadzorowaniu sieci komunikacyjnej, na której działaniu opierało się życie na Tytanie. Prawdą jednak było, że jego zainteresowania były bardziej teoretyczne niż praktyczne i zdarzało mu się to wykorzystywać, gdy pojawiał się stary wątek „Dwóch Kultur”.

Pomimo kilku stuleci inwektyw padających z obu stron nikt tak naprawdę nie wierzył, że Naukowcy (przez duże N) byli bardziej kulturalni - cokolwiek miałyby to znaczyć - od Inżynierów. Czystość wiedzy teoretycznej była filozoficzną aberracją, którą greccy myśliciele, rzekomi ojcowie konfliktu, wyśmialiby od razu. To, że największy rzeźbiarz na Ziemi rozpoczął swą karierę od projektowania mostów, ani to, że najlepszy skrzypek na Marsie wciąż aktywnie pracował nad teorią liczb, nie dowodziło absolutnie niczego. Ale Helmerowie uwielbiali powtarzać, że nadszedł czas zmian; inżynierowie rządili Tytanem wystarczająco długo, a *oni* mieli doskonałe zastępstwo, które przyniosłoby intelektualną różnicę ich światu.

W wieku trzydziestu sześciu lat Karl wciąż posiadał ów urok, którym ujmował wszystkich swoich rówieśników, ale dla wielu było jasne - a na pewno już dla Duncana - że

urok ten podszyty był teraz czymś twardym, wykalkulowanym i cokolwiek odrażającym. Wciąż można go było kochać, ale on sam zatracił umiejętność kochania; i dziwnym było, że żadne z jego spektakularnych małżeństw nie przyniosło na świat potomstwa.

Podczas gdy Armand liczył na to, że uda mu się obalić reżim Makenziech, Karl miał więcej problemów niż tylko brak potomka. Cokolwiek Siedem Światów nie mówiłoby o swej niezależności, centrum podejmowania decyzji wciąż mieściło się na Ziemi. Tak jak dwa tysiące lat wcześniej ludzie jeździli do Rzymu, by uzyskać sprawiedliwość, prestiż lub wiedzę, tak teraz imperialna planeta była najważniejszym miejscem dla swych rozproszonych dzieci. Nikt nie był traktowany poważnie na arenie solarnej polityki, dopóki osobiście nie znał się z kluczowymi postaciami na Ziemi i dopóki choć raz nie przedarł się przez labirynt ziemskiej biurokracji.

A żeby tego dokonać, trzeba było choć raz Ziemię odwiedzić; zupełnie jak za czasów Cesarstwa: nie było alternatywy. Ci, którzy wierzyli - lub taką wiarę udawali - że jest inaczej, ryzykowali nadanie im strasznego miana „kolonialistów”.

Zapewne byłoby inaczej, gdyby prędkość światła była nieskończona, wynosiła jednak jedynie miliard kilometrów na godzinę, przez co rozmowa w czasie rzeczywistym była na zawsze niemożliwa pomiędzy Ziemią i kimkolwiek znajdującym się poza orbitą Księżyca. Globalna elektroniczna wioska, która na Ziemi istniała już od stuleci, nie była w stanie objąć swym zasięgiem kosmosu; polityczne i psychologiczne konsekwencje tego faktu były ogromne i wciąż jeszcze nie do końca pojęte.

Przez pokolenia mieszkańcy Ziemi zostali przyzwyczajeni do bycia nie dalej od siebie niż na przyciśnięcie klawisza. Satelity telekomunikacyjne umożliwiły, a później sprawiły nieuniknionym, powstanie Państwa Światowego w pełnym znaczeniu tego słowa. I pomimo wielu wcześniejszych obaw było to Państwo wciąż kontrolowane przez ludzi, nie przez maszyny.

Istniało może z tysiąc osób kluczowych i jakieś dziesięć tysięcy bardzo ważnych - i rozmawiali ze sobą nieustannie od bieguna do bieguna. Decyzje mające wpływ na kształt świata musiały być podejmowane czasem w ciągu minut i dlatego natychmiastowy kontakt twarzą w twarz był szalenie istotny. Stało się to możliwe w przeciągu ułamka świetlnej sekundy i w ciągu trzystu lat ludzie uznali za oczywiste, że odległość nie mogła już nigdy stanąć na przeszkodzie ich komunikacji.

Ale z chwilą założenia pierwszej bazy marsjańskiej intymność ta się urwała. Ziemia mogła mówić do Marsa, ale słowa docierały tam nie prędzej niż w ciągu trzech minut - i tyle

samo trzeba było czekać na odpowiedź. Rozmowa stała się więc niemożliwa, a interesy trzeba było robić przy użyciu teleksu lub jego odpowiedników.

Teoretycznie to powinno wystarczyć - i rzeczywiście zwykle wystarczało. Ale zdarzały się katastrofalne w skutkach wyjątki - kosztowne i nieraz śmiertelne międzyplanetarne nieporozumienia wynikające z faktu, że dwie osoby po różnych stronach obiegu informacji w ogóle się nie znały lub nie rozumiały nawzajem swojego sposobu myślenia tylko i wyłącznie dlatego, że nigdy wcześniej się nie spotkały.

A kontakt osobisty był kluczowy na najwyższych szczeblach rządzenia i administracji. Dyplomaci wiedzieli o tym od kilku tysięcy lat, przez stulecia powstał cały aparat misji, poselstw i wizyt oficjalnych. Dopiero po tym, gdy kontakt osobisty - z nieuniknioną oceną charakterów - został nawiązany, a subtelne więzy wzajemnego zrozumienia i wspólnych interesów zawarte, można było załatwiać sprawy na odległość, i to na każdym poziomie zaufania.

Malcolm Makenzie nigdy nie osiągnąłby swojej pozycji na Tytanie, gdyby nie przyjaźnie, które zawarł po powrocie na Ziemię. Nieraz myślał, jak dziwnym było to, że osobista tragedia doprowadziła go do pozycji siły i odpowiedzialności, o jakiej nigdy nawet nie marzył. Ale - w przeciwieństwie do Ellen - dawno już pochował swą smutną przeszłość i dawno też przestała go ona prześladować.

Gdy Colin powtórzył schemat czterdzieści lat później i powrócił na Tytana z maleńkim Duncanem, pozycja klanu była znacząco wzmocniona. Przez większość ludzi największy księżyc Saturna był jednoznacznie kojarzony z rodziną Makenziech. Nikt nie mógł nawet marzyć o zajęciu ich miejsca bez przejęcia siatki osobistych kontaktów, jakie zawarli nie tylko na Ziemi, ale i wszędzie tam, gdzie miało to jakiegokolwiek znaczenie. To właśnie przez tę siatkę, a nie przez oficjalne kanały, klan Makenziech załatwiał swoje interesy. Nawet ich przeciwnicy musieli to przyznać.

Teraz już czwarte pokolenie szykowało się do umacniania dynastii. Wszyscy wiedzieli, że to się stanie, ale nikt spodziewał się, że nastąpi to tak prędko.

Nawet rodzina Makenziech, a już na pewno nie rodzina Helmerów.

Rozdział szósty

Nad brzegiem Loch Hellbrew

W przeszłości Duncan zwykle jeździł do babci Ellen na rowerze lub elektrycznym wózkiem, tym razem jednak poszedł pieszo, dwukilometrowym tunelem łączącym miasto z jej domem. Miał na sobie pięćdziesiąt kilo równomiernie rozłożonej masy - która jednak dawała mu co najwyżej dziesięć kilo dodatkowej wagi. Gdyby wiedział o istnieniu dawnych przemytników, mógłby czuć z nimi pewne pokrewieństwo, mając na sobie stylową kamizelkę wypchaną sztabkami złota.

Wręczając mu ową wymyślną uprząż z taśm i sakiewek, Colin westchnął szczerze:

- Dzięki Bogu nie muszę już tego zakładać. Wiedziałem, że gdzieś ją mam, ale nie mogłem jej znaleźć przez kilka dni. Na szczęście to prawda, że Makenzowie nigdy niczego nie wyrzucają.

Duncan musiał użyć obu rąk, by podnieść uprząż ze stołu; gdy otworzył jedną z wielu małych sakiewek, odkrył w środku metalowy pręt rozmiarów ołówka, jednak o zdumiewającej wadze.

- Co to jest? - zapytał. - Wydaje się cięższe od złota.

- Bo jest. To stop wolframu, o ile dobrze pamiętam. Całkowita masa wynosi 70 kilogramów, ale nie zakładaj wszystkiego od razu. Ja zacząłem od czterdziestu i dodawałem po kilka kilo każdego dnia. Ważne jest, żeby używać kostiumu rozpraszającego i unikać otarć.

Duncan obliczył coś sobie po cichu i wynik okazał się bardzo frustrujący. Siła grawitacji na Ziemi była *pięć* razy większa niż na Tytanie, a to diaboliczne urządzenie jedynie podwajało jego wagę.

- To niemożliwe - powiedział głucho. - Nigdy nie będę w stanie chodzić po Ziemi.

- Cóż, mnie się udało. Choć na początku nie było to łatwe. Rób wszystko, co każą lekarze, nawet jeśli wyda ci się to głupie. Spędzaj tak dużo czasu, jak to możliwe, w kąpieli lub na leżącym. Nie wstydź się używać wózka inwalidzkiego ani chodzić o kulach, przynajmniej w pierwszych kilku tygodniach. I nigdy nie próbuj biegać.

- Biegać!?

- Prędzej czy później zapomnisz, gdzie jesteś, i złamiesz nogę, zakład?

Zakładanie się o wszystko było główną wadą Makenziech. Pieniądze zostawały w rodzinie, a przegrany zawsze uczył się czegoś cennego. Choć Duncan nie umiał sobie wyobrazić pięciokrotnie mocniejszej grawitacji, nie dało się zaprzeczyć, że Colin spędził na Ziemi rok i dał sobie radę. Zakład nie wyglądał więc zbyt obiecująco.

Zaczął więc wierzyć w przewidywania Colina ale prawie nie zauważał dodatkowej masy - przynajmniej kiedy poruszał się w linii prostej, gdy próbował zmieniać kierunek

marszu czuł się w uścisku jakiejś nadludzkiej siły. Nie licząc przybyszów z Ziemi, był teraz najprawdopodobniej najsilniejszym człowiekiem na Tytanie. Jego ciało nie zdobywało jakiejś nowej mocy, raczej odkrywało na nowo uśpione siły czekające na moment, kiedy będą potrzebne. Za kilka lat byłoby już za późno na to, do czego teraz się szykował.

Szeroki na cztery metry tunel został przed laty wycięty laserowo w ścianie krateru otaczającego Oasis. Na początku służył jako rurociąg, którym transportowano amoniakowe chemikalia z jeziora trafnie nazwanego Loch Hellbrew, jednego z głównych źródeł surowców naturalnych w regionie. Jezioro prawie w całości zostało wykorzystane do zaopatrzenia przemysłu na Tytanie, reszta wyparowała podczas prac nad inżynieryjną zmianą klimatu.

Nie obyło się bez narzekania, gdy Ellen Makenzie wyjawiała swój pomysł, ale Departament Surowców wypompał z tunelu resztki wodorowo-metanowej mgły i - ku corocznemu oburzeniu wszelkich kontrolerów - wprowadził na to miejsce część miejskiej rezerwy tlenowej. Do zabezpieczenia użyto plomb i dwóch ręcznie sterowanych komór, za drugą z nich można było wchodzić wyłącznie na własne ryzyko, ale nikt się tym przesadnie nie przejmował. Tunel wydrążony był w litej skale, a że ciśnienie wewnątrz było większe niż na zewnątrz, nie było ryzyka przedostania się trujących gazów z atmosfery Tytana do wnętrza.

Pół tuzina bocznych tuneli, teraz zablokowanych, odgałęziało się z głównego przejścia. Gdy po raz pierwszy tu przyszedł, jeszcze jako mały chłopiec, Duncan wyobrażał sobie, że za plombami znajdują się nieopisane cuda; teraz wiedział już, że prowadziły one do dawno opuszczonych komór wyrównawczych. I choć tajemniczy czar prysł, dzisiaj wciąż mu się zdawało, że opuszczone korytarze zamieszkane są przez dwa duchy. Jeden należeć miał do małej dziewczynki znanej i kochanej jedynie przez garstkę pionierów, drugi do olbrzyma oplakiwanego przez miliony.

Żartom na temat nazwiska Roberta Kleinmana nie było końca, był to bowiem mężczyzna potężnie zbudowany, około dwóch metrów wzrostu. A jego talenty odpowiadały jego rozmiarom. W wieku trzydziestu lat został mistrzem pilotażu, i to pomimo trudności z każdym standardowym ekwipunkiem kosmicznym przygotowywanym dla ludzi skromniejszej, bardziej standardowej postury. Duncan nigdy nie uważał go za szczególnie przystojnego, ale w tej kwestii mała armia kobiet - w tym także Ellen Makenzie - przegłosowała go z kretesem.

Babcia poznała kapitana Kleinmana zaledwie rok po ostatecznym rozstaniu z Malcolmem; zapewne nie była jeszcze w pełni odbudowana psychicznie, on z całą pewnością nie miał żadnego problemu tego typu. I od tamtej pory kapitan nie spojrzał już na żadną inną

kobietę, a ich romans był słynny w wielu światach. Trwał i rozkwitał podczas planowania i przygotowywania pierwszej ekspedycji na Saturna, także podczas wyposażania *Challenger* na orbicie Tytana. I - czego pewna była Ellen Makenzie - uczucie to nigdy nie zgasło; zamarzło jedynie na wieki, gdy statek w do dziś niewyjaśnionych okolicznościach rozbił się w prądach strumieniowych południowej strefy umiarkowanej Saturna.

Idąc nieco wolniej niż na początku marszu, Duncan dotarł wreszcie do ostatniej śluzy. Na setne urodziny babci młodszy członek rodziny pomalował ją w zabawne fluorescencyjne kolory, które ani trochę nie wyblakły w ciągu ostatnich dwunastu lat. Ellen nie skomentowała tego prezentu, a ponieważ zwykła także nie słyszeć pytań, na które nie miała ochoty odpowiadać, nie wiadomo było, czy doceniła ten gest.

- Jestem już, babciu - powiedział Duncan przez antyczny interkom, podarowany jej dawno temu przez anonimowego admiratora. (Wciąż widać było na nim napis *Made in Hongkong* i datę *około 1995*. Wstyd przyznać, ale raz próbowano go skraść, ponieważ jednak kradzież na Tytanie była praktycznie nieznana, najpewniej był to tylko szczeniacki żart lub gest skierowany przeciwko Makenziem).

Jak zwykle nie było odpowiedzi, ale drzwi otworzyły się natychmiast i Duncan wszedł do małego foyer. Elektrocykl babci wciąż stał w tym samym miejscu, z którego nie ruszono go od lat. Duncan jak zwykle bardzo sumiennie sprawdził akumulator i kopnął opony, tym razem pojazd nie potrzebował przeglądu. Nie było przeszkód, aby starsza pani - jeśli tylko nagle miała taki kaprys - mogła zjechać do miasta.

Kuchnia, będąca oryginalnym i niemodyfikowanym modułem małego pasażerskiego pojazdu orbitalnego, była tym razem bardziej niż zwykle uporządkowana; pewnie niedawno odwiedziła babcię jedna z wolontariuszek pomagających jej raz w tygodniu. Mimo to słodkawy zapach kulinarnych dezintegracji i niedokończonego recyklingu ciężko wisiał w powietrzu. Duncan wstrzymał oddech i szybko przeszedł do salonu. Nigdy nie przyjął od babci nic ponad filiżankę kawy i bał się przypadkowego otrucia jedzeniem z jej automatycznego rekonstytutora. Ellen nie miała z tym kłopotów, przez lata musiała ustanowić jakiś rodzaj symbiozy ze swoją kuchnią. Zgodnie z gwarancją producenta kuchnia działała bez usterek, choć produkowała coraz to bardziej wymyślne zapachy. Najwyraźniej babcia jednak ich nie zauważała, a Duncan zastanawiał się, co by zrobiła, gdyby zdarzyło się najgorsze.

W salonie było jak zawsze pełno różnych gratów. Pod jedną ze ścian stały półki ze szczególnie opisanymi fragmentami skał - kompletna mineralogia Tytana i innych zbadanych księżyców Saturna, a także próbki z każdego z pierścieni. Odkąd Duncan sięgał

pamięcią, tylko jedna sekcja stała pusta, tak jakby, nawet teraz, babcia Ellen czekała na powrót Kleinmana.

Ściana naprzeciwko była mniej gęsto zastawiona sprzętem komunikacyjnym i informacyjnym, a także szafkami z mikromodułami, które - gdyby je zapełnić kompletnie - mogły pomieścić więcej wiedzy niż wszystkie biblioteki na Ziemi aż do XXI wieku. Reszta pokoju stanowiła mały kompaktowy warsztat z podłogą zastawioną maszynami, które fascynowały Duncana przez całe dzieciństwo i które kojarzył z babcią Ellen od zawsze.

Były tam mikroskopy petrologiczne, urządzenia polerujące i tnące, oczyszczacze ultradźwiękowe, noże laserowe i inne błyszczące akcesoria gemmologa i jubilera. Duncan przez lata nauczył się używać większości z nich, choć nigdy nie posiadał choćby cząstki babcinych umiejętności i niemal całkiem brakowało mu jej talentu artystycznego. Łączyły ich jednak zainteresowania matematyczne, w szczególności mały komputer i połączony z nim wyświetlacz holograficzny.

Komputer podobnie jak kuchnia od dawna powinien być na emeryturze, był jednak zupełnie autonomiczny, babcia więc w najmniejszym stopniu nie musiała polegać na nieporównanie większych i wydajniejszych urządzeniach z miasta. I choć jej komputer pamięć miał niewiele większą od ludzkiego mózgu, dla jej raczej skromnych celów był całkowicie wystarczający. Jej zainteresowanie minerałami doprowadziło ją w sposób nieunikniony do krystalografii, później do teorii grup, aż wreszcie do nieszkodliwej obsesji, która zdominowała większość jej samotnej egzystencji. Dwadzieścia lat temu, w tym samym pokoju, zaraziła nią także Duncan. W jego wypadku, po kilkumiesięcznym przebiegu, choroba nie była już złośliwa. Ale wiedział - i wcale go to nie przerażało - że będzie cierpiał na jej okazjonalne nawroty przez całe życie. Jakże niezwykle było to, że tych pięć doskonale identycznych kwadratów potrafiło stworzyć wszechświat, którego ani człowiek, ani komputer nie byli w stanie w pełni objąć...

Nic w tym znajomym pokoju nie zmieniło się od jego ostatniej wizyty przed trzema tygodniami. Mógłby nawet z łatwością uwierzyć, że babcia nie ruszyła się z miejsca; wciąż siedziała przy swoim stole do pracy, przekładała kamienie i kryształy, podczas gdy za nią na ekranie co rusz pojawiały się rozwiązania problemów, z którymi zmagał się komputer. Jak zwykle miała na sobie długą suknię, która sprawiała, że wyglądała jak rzymska matrona, choć Duncan był pewien, że suknia żadnej rzymskiej matrony nie mogłaby być aż w takim nieładzie, albo - mówiąc zupełnie szczerze - nie potrzebować prania aż tak bardzo jak ta należąca do babci. Jej dbałość o sprzęt i narzędzia nie przekładała się na dbałość o własny wygląd. Przynajmniej odkąd Duncan ją znał.

Nie wstała na powitanie, jedynie przechyliła głowę, tak by mógł jak zwykle czule ją pocałować. Robiąc to, zauważył natomiast, że świat na zewnątrz zmienił się w znacznym stopniu.

Widok z panoramicznego okna mieszkania babci Ellen był słynny, choć niewielu ludzi miało przywilej zobaczyć go na własne oczy. Mieszkanie po części było wtopione w półkę skalną nad wyschniętym dnem Loch Hellbrew i kanionem, który do niego prowadził. Miała więc panoramiczny widok na najbardziej malowniczy krajobraz na Tytanie. Czasami, gdy burze szalały w górach, widok znikał na całe godziny za chmurami amoniakowych kryształków; dziś jednak pogoda była dobra i Duncan mógł widzieć wszystko w promieniu co najmniej dwudziestu kilometrów.

- Co tam się dzieje? - zapytał.

Najpierw pomyślał, że to jedna z tych ognistych fontann, które sporadycznie wybuchały w niestabilnych rejonach; ale w takim wypadku miasto byłoby zagrożone, a on słyszałby o tym znacznie wcześniej. Wtedy zrozumiał, że piękna, choć mocno dymiąca kolumna światła płonąca spokojnie na wzgórzu jakieś trzy czy cztery kilometry stąd mogła być jedynie dziełem człowieka.

- Włączyli fuzor nad Huygensem. Nie wiem, co tam robią, ale to jest wypalanie tlenu.

- Ach, to pewnie jeden z projektów Armanda. Nie przeszkadza ci to?

- Nie, wygląda pięknie. Poza tym potrzebujemy wody. Spójrz na te deszczowe chmury... *prawdziwy* deszcz. I wydaje mi się, że coś tam rośnie. Zauważyłam zmianę koloru na skałach, odkąd pojawił się ten płomień.

- Całkiem możliwe, ludzie z bioinżynierii będą wiedzieć, o co chodzi. Może któregoś dnia będziesz sobie stąd patrzeć na las, a nie na gołe skały.

Oczywiście żartował i ona to wiedziała. Z wyjątkiem bardzo ostro wytyczonych obszarów żadna roślinność nie miała prawa przetrwać tu na otwartej przestrzeni. Ale eksperymenty takie jak ten to dopiero początek, więc może któregoś dnia...

Tam na górze pełną parą pracował zakład syntezy jądrowej wytapiający ze skorupy Tytana wszystkie elementy potrzebne w przemyśle tego małego świata. A że w połowie skorupa ta składała się z tlenu, potrzebnego teraz wyłącznie w małych ilościach w zamkniętych cyklach ekonomii miast, większość pierwiastka mogła po prostu spłonąć.

- Zdajesz sobie sprawę, Duncan - zapytała nagle babcia Ellen - jak zgrabnie ten płomień obrazuje różnicę między Ziemią a Tytanem?

- Cóż, zdaje się, że na Ziemi nie trzeba topić skał, by pozyskiwać surowce?

- Myślałam o czymś znacznie bardziej fundamentalnym. Gdy Ziemianin chce wzniecić ogień, podpala wiązkę węglowodorów i pozwala jej płonąć. My robimy dokładnie na odwrót. Podpalamy wiązkę tlenu i pozwalamy jej płonąć w naszej wodorowo-metanowej atmosferze.

Był to fakt tak elementarny - w zasadzie ekologiczny banał - że Duncan poczuł się zawiedziony. Spodziewał się czegoś znacznie bardziej zaskakującego. Jego mina musiała wyrazić ten zawód, bo Babcia nie pozwoliła mu nic powiedzieć.

- Próbuję ci wyjaśnić - mówiła - że na Ziemi może być dla ciebie trudniej, niż myślisz. Możesz wiedzieć - lub myśleć, że wiesz - jakie warunki tam panują, ale wiedza ta nie jest oparta na doświadczeniu. W pośpiechu możesz mylić fakty, twoje tutejsze nawyki i intuicje mogą źle ci podpowiadać. Więc działaj powoli i zawsze pomyśl dwa razy, nim wykonasz ruch.

- Z tym działaniem powoli nie będę miał chyba wyboru, mięśnie nie pozwolą mi na inne tempo.

- Jak długo cię nie będzie?

- Mniej więcej rok. Mam zaproszenie na dwa miesiące, ale skoro podróż jest opłacona, to mogę sobie pozwolić na znacznie dłuższy pobyt. A chyba szkoda by było zmarnować taką okazję, zwłaszcza że zapewne się ona nie powtórzy.

Starał się mówić tonem jak najbardziej optymistycznym, choć doskonale wiedział, o czym myślała Ellen. Oboje byli świadomi, że to mogło być ich ostatnie spotkanie; sto czternaście lat nie było nadzwyczajnym wiekiem dla kobiety, ale tak naprawdę po co babcia mogłaby chcieć żyć? Żeby znów go zobaczyć, gdy wróci z Ziemi? Chciałby w to wierzyć...

Była jeszcze jedna kwestia, o której się nie mówiło wprost, ale która ciążyła między nimi. Babcia doskonale знаła główny powód jego wyprawy na Ziemię i wiedza ta, nawet po tych wszystkich latach, musiała być jak cios w samo serce. Nigdy nie wybaczyła Malcolmowi, nigdy nie zaakceptowała Colina; czy nadal akceptowałyby jego, gdy wróci z kolejnym małym Malcolmem?

Zaczęła czegoś szukać, bardzo nerwowo i niezręcznie, co było zupełnie do niej niepodobne, w jednym ze schowków biurka.

- Masz tutaj pamiątkę. Zabierz ją ze sobą.

- Co... Och, ależ to piękne!

Jego zachwyty nie były udawane, szczerze zaskoczenie wywołało taką reakcję. Płaskie kryształowe pudełko, które trzymał w rękach, było naprawdę najbardziej niezwykłym dziełem sztuki geometrycznej, jakie w życiu widział. A babcia nie mogła wybrać niczego, co bardziej

przypominałoby mu o jego młodości i miejscu, które choć miał właśnie opuścić, na zawsze pozostanie jego domem.

Wpatrywał się w mozaikę kolorowych kamieni dokładnie wypełniających małe pudełko, witając się z każdym ze znajomych kształtów jak ze starym przyjacielem, oczy zachodziły mu mgłą, a czas zdawał się cofać. Babcia się nie zmieniła, on jednak miał dziesięć lat...

Rozdział siódmy

Krzyż z tytanitu

- Jesteś już wystarczająco duży, Duncan, by zrozumieć tę grę. Choć to coś więcej niż gra.

Czymkolwiek to jest, myślał Duncan, nie wygląda zbyt ciekawie. Co można zrobić z pięciu identycznych kwadratów z białego plastiku, kilka centymetrów każdy.

- Zadanie pierwsze - mówiła babcia. - Sprawdź, ile różnych wzorów możesz ułożyć z tych kwadratów.

- Mam je układać tu na stole?

- Tak, ich boki muszą się stykać, nie wolno kłaść jednego na drugim.

Duncan zaczął przekładać kwadraty.

- Więc tak - zaczął. - Mogę je ułożyć w linii prostej, o, tak. Teraz mogę przestawić ostatni i powstanie kształt L, a potem ostatni z drugiej strony i powstanie U...

Szybko ułożył pół tuzina różnych wzorów i odkrył, że zaczyna się powtarzać.

- To chyba już wszystko... ojej, ale głupek ze mnie...

Zapomniał o najbardziej oczywistej figurze: krzyżu lub znaku X, gdzie jeden kwadrat leży w środku, a pozostałe go otaczają.

- Większość ludzi - powiedziała babcia - zaczyna od tego kształtu. Nie wiem, jak to świadczy o twoich procesach umysłowych, ale powiedz; - czy znalazłeś już wszystkie?

Duncan przestawiał kwadraty jeszcze przez chwilę i odkrył dodatkowe trzy ustawienia. Potem się poddał.

- To już cały zestaw - oświadczył z przekonaniem.

- Na pewno? A ten? - zapytała babcia, przestawiając kwadraty tak, że powstało odwrócone F.

- Ach...

- I ten...

Duncanowi zrobiło się głupio i poczuł prawdziwą ulgę, gdy babcia oświadczyła:

- Poradziłeś sobie całkiem nieźle, zabrakło ci tylko tych dwóch. W sumie tych wzorów jest dokładnie dwanaście, ani mniej, ani więcej. Oto one, mógłbyś szukać innych wiekami i nie znalazłbyś żadnego więcej.

Odsunęła na bok pięć małych kwadratów i położyła na stole tuzin jaskrawokolorowych kawałków plastiku. Każdy miał inny kształt i razem stanowiły kompletny zestaw figur, które dało się ułożyć z pięciu równych kwadratów.

Na pewno chodziło o coś więcej, gra nie mogła się skończyć tak szybko. Nie, babcia wciąż miała coś w zanadrzu.

- A teraz słuchaj uważnie, Duncan. Każda z tych figur - tak przy okazji, nazywają się pentonimami - ma dokładnie taki sam rozmiar, ponieważ każda zrobiona jest z pięciu identycznych kwadratów. Jest ich dwanaście, więc ich całkowita powierzchnia to sześćdziesiąt kwadratów, zgadza się?

- No tak...

- Sześćdziesiąt to ładna, okrągła liczba, którą można podzielić na wiele sposobów. Zacznijmy od najłatwiejszego, dziesięć razy sześć. Tyle wynosi powierzchnia tego małego pudełka - dziesięć na sześć jednostek. Więc dwanaście kawałków powinno zmieścić się w nim bez problemu, jak najprostsze puzzle.

Duncan zastanawiał się, w czym tkwi podstęp - babcia znana była z uwielbienia dla słownych i matematycznych paradoksów, z których nie wszystkie były zrozumiałe dla dziesięcioletka - ale nic podejrzanego nie zauważył. Jeśli pudełko miało faktycznie takie wymiary, jak mówiła, to dwanaście klocków powinno zmieścić się w nim bez kłopotu. W końcu i one, i pudełko miały powierzchnię sześćdziesięciu jednostek.

Ale chwileczkę... powierzchnia mogła być ta sama, ale kształt mógł być inny. Mogło nie być sposobu, aby ułożyć te klocki w pudełku, nawet jeśli miało odpowiedni rozmiar.

- Zostawiam cię z tym - powiedziała babcia po chwili przekładania klocków na stole. - Ale daję ci słowo: to się da zrobić.

Dziesięć minut później Duncan zaczął w to wątpić. Bez problemu udawało mu się ułożyć dziesięć klocków w pudełku, a raz nawet jedenaście. Niestety jednak dziura, jaka wówczas zostawała w układance, miała zupełnie inny kształt niż ostatni, dwunasty klocek. I to pomimo faktu oczywiście, że miała dokładnie taką samą jak on powierzchnię. Dziura była w kształcie X, klocek w kształcie Z...

Pół godziny później dosłownie kipiał ze złości. Babcia zostawiła go kompletnie samego, sama skupiła się na poważnym dialogu z komputerem; od czasu do czasu rzucała mu jednak rozbawione spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: - Widzisz, to nie takie proste, jak myślałeś.

Duncan był bardzo uparty jak na swój wiek, większość chłopców w jego wieku dawno by się już poddała. (Jemu nigdy się to nie przydarzyło, aż do czasu, wiele lat później, gdy babcia po raz kolejny przeprowadzała na nim swoje testy psychologiczne). Nie poprosił o pomoc przez prawie czterdzieści minut...

Palce babci szybko mignęły nad mozaiką, klocki U, X i L zamieniły się miejscami i nagle pudełko wypełniło się dokładnie. Układanka była gotowa.

- Znałeś rozwiązanie! - powiedział Duncan z pretensją, choć bez przekonania.

- Rozwiązanie? - zapytała babcia. - Chciałbyś wiedzieć, na ile różnych sposobów można ułożyć wszystkie te klocki w pudełku?

Pytanie było podchwytliwe, Duncan był tego pewien. Po prawie godzinie wysiłku nie udało mu się znaleźć żadnego rozwiązania, a musiał wypróbować w tym czasie co najmniej stu kombinacji. Ale możliwym było, że takich rozwiązań mogło być, hmm, nawet tuzin.

- Myślę, że może być około dwudziestu sposobów ułożenia tych klocków w pudełku - odpowiedział ostrożnie.

- Zgaduj jeszcze raz.

To było ostrzeżenie. Oczywiście haczyk tkwił poza jego zasięgiem, więc lepiej się było nie wychylać. Duncan pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia.

- Rozsądny chłopak. Intuicja to niebezpieczny przewodnik, choć czasem jedyny, jakiego mamy. *Nikt* nie byłby w stanie odpowiedzieć na to pytanie ot tak po prostu. Istnieje ponad dwa tysiące sposobów ułożenia tych dwunastu klocków w pudełku. Dokładnie 2339. Co o tym myślisz?

Było mało prawdopodobne, by babcia go okłamywała, ale Duncan czuł się tak upokorzony tym, że nie umiał znaleźć ani jednego rozwiązania tej zagadki, że aż zawołał:

- Nie wierzę!

Babcia rzadko okazywała zdenerwowanie, jednak potrafiła stać się chłodna i zamknięta w sobie, gdy ją uraził. Tym razem jednak szczerze się roześmiała i wprowadziła kilka instrukcji do komputera.

- Spójrz na to - powiedziała.

Na ekranie pojawił się wzór z jasnych świateł układających się w zestaw dwunastu pentomin w ramce sześć na dziesięć. Był widoczny przez kilka sekund, po czym zastąpił go kolejny, oczywiście inny. Duncan nie był w stanie zapamiętać kolejnych pojawiających się przed nim wzorów, a te zmieniały się przez jakiś czas, dopóki babcia nie zatrzymała programu.

- Nawet w tak szybkim tempie - powiedziała - potrzeba pięciu godzin, by wyświetlić je wszystkie. I uwierz mi na słowo - choć nikt nigdy nie sprawdził ich wszystkich, każdy jest inny.

Przez dłuższą chwilę Duncan wpatrywał się w zestaw dwunastu pozornie prostych figur. Powoli docierały do niego słowa babci i przeżywał swoje pierwsze w życiu matematyczne objawienie. Co na początku wydawało się prostą dzieciinną grą, z czasem odkryło przed nim bezlik perspektyw i horyzontów - a przecież nawet najbystrzejszy dziesięciolatek nie byłby w stanie objąć skali wszechświata, jaki się przed nim właśnie otwierał.

Ów moment wschodzącego zdumienia i zachwytu był całkowicie pasywny; dużo większa eksplozja intelektualnej rozkoszy nastąpiła, gdy znalazł swoje pierwsze rozwiązanie problemu. Przez całe tygodnie nosił ze sobą zestaw dwunastu pentomin w plastikowym pudełku, bawiąc się nimi w każdej wolnej chwili. Poznał każdy z dwunastu kształtów jak bliskiego przyjaciela, ponazywał je literami, które najbardziej mu przypominały, choć nieraz wymagało to sporej wyobraźni; jedna grupa: F, I, L, P, N i druga, ułożona w alfabetycznej kolejności: T, U, V, W, X, Y, Z.

Któregoś razu, w przypiływie geometrycznego transu lub ekstazy, której nigdy później nie był już w stanie powtórzyć, odkrył pięć rozwiązań w przeciągu mniej niż godziny. Newton, Einstein ani Chen-Tsu nie mogli czuć się bliżej matematycznych bogów w swoich chwilach prawdy...

Wkrótce zdał sobie sprawę także, i to bez pomocy babci Ellen, że można było także układać klocki na innych niż sześć na dziesięć powierzchniach. Przynajmniej teoretycznie wszystkie pentomina mogły dokładnie zakryć prostokąt o bokach pięć na dwanaście jednostek, cztery na piętnaście a nawet wąski pas o rozmiarze jedynie trzy na dwadzieścia jednostek.

Bez większego wysiłku znalazł kilka przykładów dla prostokątów 5×12 i 4×15 . Później spędził frustrujący tydzień, szukając układu klocków wypełniającego pole 3×20 , Wciąż wychodziły mu krótsze prostokąty i zawsze zostawało kilka niewykorzystanych klocków, w końcu uznał, że układ ten jest niemożliwy.

Pokonany udał się znowu do babci - a ta znowu go zaskoczyła.

- Cieszę się, że spróbowałeś - powiedziała. - Uogólnianie, eksplorowanie każdej możliwości jest właśnie tym, czym zajmują się matematycy. Ale w tym wypadku się mylisz, taki układ nie jest niemożliwy. Są tylko dwa rozwiązania, ale gdy już znajdziesz jedno, będziesz też od razu znał drugie.

Zachęcony tymi słowami Duncan na nowo rozpoczął łowy. Dopiero po kolejnym tygodniu zaczął sobie zdawać sprawę ze skali problemu. Świadomość tego, na ile sposobów można było ułożyć figury pentomina w prostej linii, a także tego, że większość z nich mogła być ułożona na co najmniej cztery sposoby, była porażająca.

Zwrócił się więc znowu do babci, żaląc się na niesprawiedliwość tej gry. Skoro istniały tylko dwa rozwiązania, to jak wiele czasu potrzeba było, by je odgadnąć?

- Już ci mówię - odpowiedziała. - Gdybyś był bezmyślnym komputerem i układał klocki w tempie jednej możliwej pozycji na sekundę, wszystkie możliwości przetestowałbyś w czasie nieco dłuższym niż sześć milionów, *milionów* lat.

Ziemskich czy tutejszych? - zastanowił się Duncan, choć nie miało to większego znaczenia...

- Ale nie jesteś bezmyślną maszyną - mówiła dalej babcia. - Od razu widzisz ułożenia, które nie będą pasowały do wzoru, i nie musisz się nimi więcej przejmować. Próbujuj więc dalej...

Duncan usłuchał, choć bez większego entuzjazmu - i bez sukcesu. Aż w końcu wpadł na znakomity pomysł.

Karl przyjął wyzwanie natychmiast. Wziął zestaw pentomin i na wiele godzin zaszył się u siebie. Potem oddzwonił, nieco poddenerwowany.

- Jesteś pewien, że to się da zrobić? - zapytał ostro.

- Całkowicie. Wiem nawet, że są dwa rozwiązania. Nie znalazłeś ani jednego? Myślałem, że jesteś niezły z matematyki...

- Jestem. Stąd wiem, jak trudne to jest zadanie. Istnieje ponad biliard możliwych kombinacji do sprawdzenia.

- Jak to obliczyłeś? - spytał Duncan, ucieszony odkryciem czegoś, z czym nie mógł poradzić sobie jego przyjaciel.

Karl spojrział na kartkę papieru pokrytą szkicami i obliczeniami.

- Cóż, wyłączając część pozycji, pamiętając o symetrii i rotacji, dochodzimy do silni dwanaście razy dwa do dwudziestej pierwszej - nie zrozumiesz dlaczego, nie pytaj. No i stąd taki wynik, proszę bardzo...

Podniósł do góry kartkę, na której zapisał imponujący ciąg cyfr:

1 004 539 160 000 000

Duncan spojrział na liczbę z zadowoleniem, nie miał wątpliwości co do obliczeń Karla.

- Więc poddajesz się?

- NIE! Mówię ci tylko, jakie to trudne. - I Karl rozłączył się z ponurą determinacją.

Następnego dnia Duncan przeżył jedno z największych zaskoczeń swojej młodości. Na ekranie pojawił się Karl, miał przekrwione oczy i najwyraźniej nie spał od ich ostatniej rozmowy.

- Proszę bardzo - powiedział głosem, w którym słychać było i tryumf, i zmęczenie.

Duncan nie mógł uwierzyć swym oczom; był pewny, że zadanie jest nie do rozwiązania. Ale na ekranie widział wyraźnie wąski pas, rozmiarów ledwie 3 na 20 cali, ułożony ze wszystkich dwunastu pentomin.

Palcami trzęsącymi się ze zmęczenia Karl zamienił miejscami dwa krańce paska, środek zostawiając nietknięty.

- A oto i drugie rozwiązanie - powiedział. - Teraz idę spać. Dobranoc, czy może raczej dzień dobry.

Przez dłuższą chwilę zawstydzony Duncan siedział, gapiąc się na pusty ekran. Jeszcze nie rozumiał, co się stało. Wiedział tylko, że Karl wygrał wbrew wszelkiej zdroworozsądkowej logice.

I nie chodziło o to, że było mu przykro, nie - uwielbiał Karla za bardzo, by zazdrościć mu jego zwycięstwa; zwykle zresztą cieszył się z sukcesów przyjaciela, nawet tych, które miały miejsce jego kosztem. Ale w tym było coś dziwnego, coś niemal magicznego.

Było to pierwsze zetknięcie Duncana z siłą intuicji i z tajemniczą zdolnością umysłu do przewycięzania faktów i skracania procesów logicznych. W kilka godzin Karl rozwiązał zadanie, które wymagało trylionów operacji i które zaprzęgloby do pracy najszybszy istniejący komputer na znaczącą liczbę sekund.

Pewnego dnia Duncan miał zrozumieć, że każdy człowiek ma takie moce, ale może użyć ich czasem tylko raz w życiu. U Karla dar ten był zaskakująco dobrze rozwinięty; od tej pory Duncan brał na poważnie nawet najbardziej szalone jego spekulacje.

Działo się to dwadzieścia lat temu, co później stało się z tym małym zestawem plastikowych klocków? Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy widział je po raz ostatni.

Ale zestaw znów leżał przed nim, ożywiony na nowo w kolorowych minerałach - osobliwy, różowy granit ze Wzgórz Galileusza, obsydian z Płaskowyżu Huygensa, niby-marmur ze Skarpy Herschela... I wreszcie - niewiarygodne, choć nie miał wątpliwości w tej kwestii - najrzadszy i najbardziej tajemniczy kamień szlachetny, jaki znaleziono kiedykolwiek na którymkolwiek ze światów. Klocek X był zrobiony z czystego tytanitu; nie dało się z niczym pomylić tego czarno-niebieskiego połysku przeplatane go drobinkami złota. Był to największy kawałek tytanitu, jaki Duncan kiedykolwiek widział, nawet nie chciał się zastanawiać, ile jest wart.

- Nie wiem, co powiedzieć - wyjąkał. - Jest piękny, nigdy czegoś takiego nie widziałem...

Objął chude ramiona babci i z bólem zauważył ich niekontrolowane drzenie. Trzymał ją czule w ramionach, dopóki nie przestała się trząść; żadne słowa nie były stosowne w tej chwili. Zdał sobie sprawę, że był ostatnią miłością jej pustego życia i że zostawiał ją samą z jej wspomnieniami.

Rozdział ósmy

Dzieci korytarzy

We wszystkim, co Duncan robił w ciągu tych ostatnich dni, było poczucie smutku i ostateczności. Czasami niepokoiło go to, powinien być podekscytowany, powinien oczekiwać wielkiej przygody, którą bardzo niewielu ludzi z jego świata będzie kiedykolwiek miało okazję przeżyć, I choć nigdy dotąd nie tracił kontaktu z rodziną i przyjaciółmi na dłużej niż kilka godzin, był przekonany, że jego roczna nieobecność minie szybko pośród cudów i atrakcji ziemskich.

Skąd więc ta melancholia? Nawet jeśli zegnał się z rzeczami, które znał od dziecka, to przecież tylko na chwilę i przecież jeszcze bardziej cenić je będzie po powrocie...

Po powrocie. To oczywiście było sedno problemu. W końcu ten Duncan Makenzie, który teraz opuszczał Tytana, nigdy już tutaj nie wróci, taki był zresztą cel zadania. Tak jak Colin trzydzieści lat temu, i jak Malcolm czterdzieści lat wcześniej, udawał się w kierunku Słońca w poszukiwaniu wiedzy, siły, dorosłości - ale przede wszystkim po następcę, którego jego własny świat nie mógł mu dać. Bo oczywiście będąc duplikatem Malcolma, on też nosił w sobie ów zgubny gen.

Wcześniej niż się spodziewał, musiał przygotować swoją rodzinę na nowego członka. Po typowej liczbie wcześniejszych eksperymentów ustatkował się w końcu cztery lata temu u boku Mirissy i pokochał jej dzieci tak bardzo, jakby pochodziły z jego ciała i krwi. Clyde miał teraz sześć lat, Carline - trzy. Dzieci także zdawały się uwielbiać Duncana tak samo mocno jak swoich prawdziwych ojców, którzy zostali mianowani honorowymi członkami klanu Makenziech. Mniej więcej tak samo było za czasów Colina - zdobył czy też zaadoptował trzy rodziny - i za czasów Malcolma. Dziadek nigdy już się nie ożenił po tym, gdy Ellen od niego odeszła, ale też nigdy nie brakowało mu towarzystwa. Tylko komputer byłby w stanie prowadzić rejestr zmian na peryferiach klanu Makenziech; często zdawało się, że wszyscy na Tytanie są z nim mniej lub bardziej powiązani. Jednym z głównych problemów Duncana było teraz ustalenie, kto mógłby się śmiertelnie pogniewać, gdyby Duncan się z nim nie pożegnał.

Oprócz kurczącego się czasu miał też inne powody, dla których chciał uniknąć dużej liczby pożegnań. Każdy spośród jego krewnych i przyjaciół - a nawet spośród zupełnie obcych ludzi - zdawał się mieć jakąś prośbę, jakąś misję, którą w ich mniemaniu powinien wypełnić natychmiast po wylądowaniu na Ziemi. Lub jeszcze gorzej, była jakaś strasznie ważna rzecz, którą trzeba było z Ziemi dla nich przywieźć. („To nie sprawi kłopotu”). Duncan obliczył, że musiałby wynająć osobny prom kosmiczny, gdyby zgodził się spełnić wszystkie te prośby.

Każde zajęcie musiało teraz zostać przydzielone do jednej z dwóch kategorii. Istniały sprawy, które musiały być załatwione przed odlotem z Tytana, i te, które mógł załatwić z pokładu statku wiozącego go na Ziemię. W tej drugiej kategorii znalazło się zapoznawanie się z bieżącymi sprawami ziemskimi, zajęcia, na które Colin coraz uporczywiej nalegał.

Uwalnianie się od swoich oficjalnych obowiązków także nie było łatwym zadaniem. Duncan zrozumiał, że za kilka lat byłoby wręcz niemożliwe. Angażował się w zbyt wiele spraw, choć była to świadoma strategia rodzinna. Nieraz narzekał, że stanowisko Specjalnego Asystenta Głównego Zarządcy dawało mu obowiązki, ale nie władzę. Główny Zarządca Colin zwykł na to odpowiadać: - Wiesz, co znaczy władza w naszym społeczeństwie? Wydawanie rozkazów ludziom, którzy wypełniają je, tylko jeśli i kiedy uważają za stosowne.

Była to oczywiście nadmierna krytyka lokalnej administracji, która funkcjonowała zaskakująco dobrze i przy minimum biurokracji. Jako że znacząca większość decydentów znała się doskonale, większość spraw załatwiana była dzięki osobistym kontaktom. Wszyscy przybywający na Tytana dobierani byli na podstawie talentu i inteligencji i wiedzieli, że przetrwanie zależy przede wszystkim od współpracy. Ci, którzy chcieli zrzec się swojej

społecznej odpowiedzialności, najpierw musieli nauczyć się oddychać metanem w temperaturze minus stu stopni.

Jednego kłopotliwego pożegnania udało mu się szczęśliwie uniknąć. Nie mógłby opuścić Tytana bez rozmowy ze swoim dawnym najlepszym przyjacielem - Karl jednak był poza ich światem. Kilka miesięcy wcześniej wyruszył w kierunku ziemskiej sondy badawczej, z której załogą miał badać zewnętrzne księżyce Saturna. Jak na ironię Duncan zazdrościł mu szansy zobaczenia innych światów; teraz Karl zazdrościłby jemu.

Świetnie umiał wyobrazić sobie frustrację Karla, gdy ten dowiedział się o jego podróży na Ziemię. Myśl ta sprawiła mu jednak więcej przykrości niż przyjemności. Makenzowie, cokolwiek by o nich nie mówić, nie byli mściwi. A jednak Duncan nie mógł przestać zastanawiać się, jak często myśli Karla kierowały się ku Słońcu i do dawnych czasów, gdy ich emocje nieodwołalnie związane były z Ziemią.

Duncan miał zaledwie szesnaście, a Karl dwadzieścia jeden lat, kiedy liniowiec *Mentor* po raz pierwszy - i jak miano później nadzieję, ostatni - zbliżył się do Tytana. Był to przebudowany frachtowiec, dosyć wolny, ale ekonomiczny w użytkowaniu, pod warunkiem że miał zagwarantowane stacje załadunku tlenu na swojej trasie.

Mentor zatrzymał się na Tytanie, by zatankować do pełna na ostatnim etapie Wielkiej Wyprawy prowadzącej z Ziemi przez Marsa, Ganimedesa, Europe, Pallas i Japeta, z przelotami w pobliżu Merkurego i Erosa po drodze. Zaraz po zatankowaniu jakichś piętnastu tysięcy ton wodoru zmęczona załoga chciała ruszać z powrotem na Ziemię po najszybszej orbicie, jaką mogli wytyczyć, najlepiej zostawiając swoich pasażerów na Tytanie.

Rejs musiał się wydawać świetnym pomysłem, gdy grupa ziemskich uniwersytetów zaczęła planować go kilka lat wcześniej. I jak się w dłuższej perspektywie okazało, pomysł był świetny; większość uczestników rejsu odegrała później znaczącą rolę w różnych zakątkach Układu Słonecznego. Ale gdy statek zaparkował na orbicie, wszyscy łącznie z przedwcześnie osiwiiałym kapitanem wyglądali jak siedem nieszczęść.

Nie do końca przemyślano kwestie zapewnienia atrakcji i uniemożliwienia psot grupie pięciuset młodych ludzi zamkniętych na pół roku w ogromnym liniowcu. Profesor prawa, który był odpowiedzialny za dyscyplinę podczas rejsu, narzekał później gorzko na niewystarczający zasób strzykawek i gazu obezwładniającego na pokładzie. Z drugiej strony nikt przecież nie umarł, nie było też poważniejszych obrażeń, pojawiła się jedynie jedna ciąża, a wszyscy nauczyli się bardzo wiele, choć nie do końca z tych obszarów wiedzy, które były zamiarem organizatorów. Pierwszych kilka tygodni na przykład poświęcono

eksperymentom seksualnym w stanie nieważkości, i to pomimo ostrzeżeń, że grozi to kosztownym uzależnieniem dla wszystkich, którzy jednak spędzą większość życia na Ziemi.

Inne zajęcia na pokładzie były nieco bardziej szkodliwe. Zdarzały się przypadki palenia tytoniu, co choć nie było zakazane, to jednak dość głupie w obliczu wielu innych bezpieczniejszych alternatyw. Jeszcze bardziej alarmujące były pogłoski, że ktoś przemycił na pokład Mentora wzmacniacz emocji. Tak zwane „maszyny radości” były zakazane we wszystkich światach, chyba że używano ich pod nadzorem lekarza. Ale zawsze znajdują się ludzie, którym rzeczywistość nie wystarcza i którzy chcą spróbować czegoś lepszego.

Pomimo niepokojących wieści docierających z poprzednich portów cumowania Mentora mieszkańcy Tytana wyczekiwali gości z radością. Wszyscy czuli, że wizyta ta doda barw ich życiu towarzyskiemu i pomoże nawiązać przyjaźnie z przybyszami z Matki Ziemi. A poza tym wizyta miała trwać przecież tylko tydzień...

Nikt nie spodziewał się, że przeciągnie się aż na dwa miesiące. Nie była to wina *Mentora*, Tytan mógł winić tylko siebie.

Gdy *Mentor* zatrzymywał się na orbicie, Ziemia i Tytan prowadziły właśnie jeden ze swoich regularnych sporów o cenę wodoru i kosztów transportu. Proponowana 15-procentowa podwyżka, rozpaczali Ziemianie, doprowadzi do załamania handlu międzyplanetarnego. Zejście poniżej 10% - zarzekali się mieszkańcy Tytana - spowoduje ich natychmiastowe bankructwo i sprawi, że nie będą w stanie importować kosztownych towarów, które Ziemianie cały czas próbują im sprzedawać. Dla każdego historyka ekonomii dyskusja ta była do znudzenia przewidywalna.

Nie mogąc dostać konkretnej wyceny, *Mentor* utknął na orbicie z pustymi zbiornikami paliwa. Z początku jego kapitan nie był zanadto zmartwiony, zarówno on, jak i załoga potrzebowali odpoczynku, zwłaszcza teraz, gdy wszyscy pasażerowie rozproszyli się na powierzchni nieszczęsnego satelity. Tydzień przeistoczył się w dwa, później trzy, wreszcie w miesiąc. Do tego czasu Tytan był gotów przystać na niemal każde warunki; niestety *Mentor* przegapił optymalną trajektorię i musiały minąć kolejne cztery tygodnie, zanim otworzy się następne okno startowe. Tymczasem pięciuset gości bawiło się znakomicie, najczęściej znacznie lepiej niż ich gospodarze.

Jednak dla młodszych mieszkańców Tytana był to niezwykle czas, który mieli zapamiętać do końca życia. W małym świecie, gdzie każdy znał każdego, pół tysiąca fascynujących obcych było nie lada wydarzeniem, zwłaszcza że każdy z nich znał jakąś niezwykłą opowieść, czasami nawet prawdziwą, o cudach Ziemi. Ci młodzi ludzie widzieli

lasy, prerie i wodne oceany, chodzili bez ochronnych kombinezonów pod gołym niebem, grzali się ciepłem prawdziwego słońca...

Te znaczne różnice w pochodzeniu stanowiły jednak potencjalne zagrożenie. Ziemianom nie wolno było włączyć się na własną rękę, nawet wewnątrz baz mieszkalnych. Cały czas musiała im towarzyszyć eskorta odpowiedzialnych młodych miejscowych, żeby przypadkiem nie zabili siebie ani swych gospodarzy.

Naturalnie przybysze często mieli dość tej opieki, zdarzały się próby wymknięcia spod kontroli. Jednej grupce udało się to; na szczęście skończyło się tylko kilkoma piekącymi haustami amoniaku, a obrażenia były na tyle niegroźne, że rutynowy przeszczep płuc w zupełności wystarczył. Po tej przygodzie skończyły się za to poważniejsze kłopoty z Ziemianami.

Było natomiast kilka problemów innego rodzaju. Sama logistyka przyjęcia tak dużej grupy była sporym wyzwaniem dla społeczności, której warunki życia pozostawały wciąż cokolwiek spartańskie, a możliwość zakwaterowania przybyszów była mocno ograniczona. Najpierw wszystkich gości umieszczono w opuszczonych korytarzach zamkniętej kopalni, pośpiesznie przekształconych w swego rodzaju bursę. Później, tak szybko, jak to było możliwe, przenoszono ich - niczym uciekinierów ze zbombardowanego miasta w jakiejś starożytnej wojnie - do każdego z tych domostw, które było w stanie ich przyjąć. Na tym etapie nie brakowało pełnych dobrej woli ochotników. Wśród nich byli też Colin i Sheela Makenzowie.

Mieszkanie było puste, odkąd przyrodni brat Duncana Glynn wyjechał do pracy po drugiej stronie Tytana; drugie dziecko Sheeli, Yuri, wyprowadziło się z domu ponad dekadę wcześniej. I choć mieszkanie numer 402 na Drugim Poziomie w Meridian Park, nie było według ziemskich standardów nazbyt obszerne, Asystent Zarządcy, jak wówczas tytułował się Colin Makenzie, wybrał jedno z „bezdomych” dzieci do tymczasowej adopcji.

W ten sposób Calindy zjawiała się w życiu Duncana. A także w życiu Karla.

Rozdział dziewiąty

Zgubny dar

Catherine Linden Ellerman obchodziła swoje dwudzieste pierwsze urodziny tuż przed tym, jak *Mentor* dotarł w pobliże Saturna. Pod każdym względem impreza urodzinowa była niezapomniana, do tego stopnia, że kapitanowi statku w jeden wieczór przybyło wyjątkowo

dużo siwych włosów. Calindy wyszła z tego nietknięta; obok niezwyklej urody była to jej najbardziej niezwyklej cechą. W samym centrum chaosu - często chaosu, który sama tworzyła - była spokojnym okiem cyklonu. Z całym swoim opanowaniem, nietypowym dla jej wieku, dla Duncana była wcieleniem ziemskiej kultury i ogłady. Piętnaście lat później mógł się kpiąco uśmiechać na wspomnienie swojej chłopięcej naiwności, ale wtedy nie była ona zupełnie bezpodstawna. Pod każdym względem Calindy była wybitnym fenomenem.

Duncan wiedział oczywiście, że wszyscy mieszkańcy Ziemi są bogaci. (Jakże mogło być inaczej, skoro każdy był spadkobiercą tysięcy wcześniejszych pokoleń?). Jednak jej biżuteria i jedwabie oszołomiły go totalnie. Skąd mógł wiedzieć, że dziewczyna ma dość skromną garderobę, którą jedynie umiejętnie zongluje? Najbardziej imponujące było jej złote futro - jedyne, jakie dotąd widziano na Tytanie - zrobione ze skór zwierząt zwanych norkami. To było typowe dla Calindy, nikomu innemu nie przyszłoby do głowy zabierać futra na pokład statku kosmicznego. Nie zrobiła tego jednak - wbrew złośliwym plotkom - bo słyszała, że w okolicy Saturna może być chłodno. Była zbyt inteligentna na taki rodzaj głupoty i doskonale wiedziała, co robi; zabrała ze sobą norki, ponieważ były piękne.

Ponieważ widział ją tylko poprzez mgłę zachwytu i adoracji, Duncan nigdy później nie umiał zwizualizować jej sobie jako prawdziwej osoby. Gdy myślał o Calindy i próbował przywołać jej obraz, nie widział prawdziwej dziewczyny, ale tylko jej replikę w jednym z tych bąbelkowych stereoskopów, które stały się tak popularne w latach 50.

Ileż to tysięcy razy brał do rąk tę leciutką, ale solidną kulę, potrzasał nią delikatnie i w ten sposób aktywował pięciosekundową pętlę... Dzięki subtelnej magii molekuł gazu, z których każda emitowała przypisaną sobie cząstkę światła, twarz Calindy wyłaniała się spośród wirującej mgły - niewielka, ale w doskonałej jakości odwzorowaniu. Najpierw widać było jej profil, później obracała się i nagle - Duncan nigdy nie był pewien, kiedy ten moment nastąpi - na jej twarzy pojawiał się słaby uśmiech, który w dawnych wiekach chyba tylko Leonardo byłby w stanie uchwycić. Zdawało się jednak, że nie uśmiecha się do niego, ale do kogoś stojącego za nim. Wrażenie było tak mocne, że wiele razy Duncan oglądał się za siebie zaskoczony, by sprawdzić, kto za nim stoi.

Później obraz gasł, bąbelki stawały się przezroczyste i trzeba było czekać pięć minut, żeby system na nowo się naładował. Nie miało to znaczenia, wystarczyło mu zamknąć oczy, by znów ujrzeć idealnie owalną twarz, delikatną skórę koloru kości słoniowej, kruczoczarne włosy upięte w toczek i spięte srebrną igłą, która musiała należeć do hiszpańskiej księżniczki, gdy Kolumb był jeszcze dzieckiem. Calindy uwielbiała odgrywać role, choć żadnej z nich nie traktowała zbyt poważnie, a rola Carmen była jej ulubioną.

Gdy jednak wchodziła do domu Makenziech, była arystokratką na wygnaniu, łaskawie przyjmującą gościnność dobrodusznych prowincjuszy. Ponieważ na nikim prócz Duncana nie zrobiło to wrażenia, szybko zamieniła się w uważną antropolożkę robiącą notatki do swojej pracy na temat osobliwych zwyczajów prymitywnych społeczeństw. Poza to była przynajmniej częściowo autentyczna, bo Calindy faktycznie interesowała się różnymi stylami życia - a według pewnej miary Tytan rzeczywiście mógł być sklasyfikowany jako prymitywny - a przynajmniej słabo rozwinięty.

Dlatego też Ziemianie byli szczerze poruszeni widokiem rodzin posiadających troje - a nawet czworo! - potomstwa. Miliony martwych dzieci, obrazek z XX wieku, wciąż jeszcze nawiedzały świadomość ludzkości, a tragiczne, choć zrozumiałe ekscesy jak kampania „Śmierć Hodowcom”, o spaleniu Watykanu nie wspominając, zostawiły trwałe blizny na ludzkiej psychice. Duncan wciąż dobrze pamiętał wyraz jej twarzy, gdy po raz pierwszy spotkała sześcioosobową rodzinę - oburzenie walczące z zaciekawieniem, szybko jednak ukryte za maską ziemskich dobrych manier. Cierpliwie tłumaczył jej proste życiowe fakty - że dogmat Zerowego Przyrostu nie jest nienaruszalny i że Tytan naprawdę musi co pięćdziesiąt lat podwajać swoją populację. W końcu przyjęła logiczne argumenty do wiadomości, ale nigdy nie była w stanie pogodzić się z nimi emocjonalnie. A właśnie emocje dawały jej życiową siłę; jej wola i uroda były tylko na usługach jej uczuć.

Jak na młodą Ziemiankę nie była przesadnie rozwiązła; któregoś razu wyznała Duncanowi - a on jej uwierzył - że nigdy nie miała więcej niż dwóch kochanków naraz. Ku jego wielkiej przykrości na Tytanie miała tylko jednego.

Mimo że rodziny Helmerów i Makenziech nie były ze sobą spokrewnione, nieuniknionym było jej spotkanie z Karlem. Stało się to na jednym z niezliczonych koncertów, bali i tańców, jakie urządzono dla rozbitków z *Mentora*. Duncan nie mógł więc mieć do siebie żalu, że ich sobie przedstawił, nie mógłby jej przecież przed nim ukryć. Ale i tak zawsze zastanawiał się, co by było gdyby...

Karl miał wtedy prawie dwadzieścia dwa lata, był o rok starszy od Calindy, choć dużo mniej doświadczony. Wciąż posiadał jeszcze postawną sylwetkę człowieka urodzonego na Ziemi, ale tak dobrze przystosował się do niewielkiej grawitacji, że poruszał się z większą gracją niż większość mężczyzn, którzy spędzili na Tytanie całe swoje życie. Umiał połączyć siłę z zupełnym brakiem niezręczności.

I w całkiem dosłownym sensie był złotym dzieckiem swojego pokolenia. Choć udawał, że tego nie znosi, to jednak Duncan wiedział, że w gruncie rzeczy dumny był z przydomku, jaki ktoś nadał mu w dzieciństwie: „chłopak z włosami jak słońce”. Taki opis

mógł wymyślić tylko jakiś przybysz z Ziemi, na Tytanie nikomu nie przyszłoby to do głowy - ale wszyscy zgodzili się, że pasuje jak ulał.

Karl Helmer był bowiem jednym z tych mężczyzn, którym bogowie dla własnej uciechy nie poskapili zgubnego daru urody.

Dopiero całe lata później, częściowo dzięki Colinowi, Duncan zaczął rozumieć wszystkie niuanse tego romansu. Wkrótce po jego dwudziestych trzecich urodzinach przyszła do nich ostatnia kartka, jaką Calindy im wysłała.

- Wciąż nie wiem, czy popełniłem błąd - powiedział Colin ponuro, bawiąc się jasnym kartonikiem, który przez pół Układu Słonecznego przyniósł im jej standardowe życzenia. - Wtedy wydawało się to dobrym pomysłem.

- Na dłuższą metę chyba nie skończyło się tak źle.

Colin spojrzał na niego dziwnie.

- No właśnie nie wiem. Na pewno nie skończyło się tak, jak się spodziewałem.

- A czego się spodziewałeś?

Mieć ojca, który jednocześnie jest twoim starszym o czterdzieści lat bratem bliźniakiem, miało czasami swoje zalety, ale równie często było powodem wielkiego wstydu. Znał wszystkie błędy, jakie możesz popełnić, bo sam już je popełnił. Nie dało się niczego przed nim ukryć, ponieważ on myślał tak samo.

W takiej sytuacji jedyną sensowną strategią była zupełna szczerłość, o ile oczywiście jest ona u ludzi w ogóle możliwa.

- Tak do końca to nie wiem. Ale odkąd ujrzałem Calindy błyszczącą jak supernova pośród całego tego mroku i chaosu w starej kopalni, chciałem się o niej dowiedzieć czegoś więcej... chciałem, żeby stała się częścią mojego życia. Wiesz, co mam na myśli.

Duncan przytaknął w milczeniu.

- Sheela nie miała nic przeciwko, w końcu nie jestem porywaczem dzieci! I oboje mieliśmy nadzieję, że dzięki Calindy będziesz mógł myśleć nie tylko o Karlu.

- I bez tego już się wtedy zmieniałem, to było zbyt frustrujące.

Colin zachichotał nie bez zrozumienia.

- Mogę to sobie wyobrazić. Karl był już wtedy bardzo rozrywany, pół Tytana się w nim kochało, co w gruncie rzeczy do dzisiaj nie zmieniło się aż tak bardzo. Dlatego zresztą musimy trzymać go z dala od polityki. Przypomnij mi, żebym ci kiedyś opowiedział o Alcybiadesie.

- O kim?

- Starożytny wódz grecki, na swoje - i innych - nieszczęście zbyt mądry i zbyt czarujący.

- Doceniam twą troskę - powiedział Duncan tylko ze śladem sarkazmu. - Ale wtedy moje problemy urosły o sto procent. Calindy dała mi jasno do zrozumienia, że byłem dla niej o wiele za młody, a Karl zaczął się interesować tylko nią. A co gorsza nie przeszkadzała im nawet moja obecność w ich łóżku - przynajmniej dopóki się nie wtrącałem. W gruncie rzeczy...

- Tak?

Duncan zbladł. Czemuż wcześniej o tym nie pomyślał, przecież to było oczywiste!

- Nie przeszkadzała... Do diabła! Ich bawiła moja obecność w tym łóżku, bo mogli mi wtedy dokuczać! Przynajmniej Karl.

To powinno być wstrząsające odkrycie, a jednak nie zabolalo go aż tak, jak mógłby się spodziewać. Od dawna musiał zdawać sobie sprawę, choć nie przyznawał tego przed sobą, że w Karlu tkwiła nuta okrucieństwa. Jego miłość często nie wiązała się z czułością i empatią; zdarzało się nawet, że Duncan obawiał się przez niego, czy nie jest przypadkiem impotentem. A zrobić coś takiego szesnastolatkowi to istna podłość.

- Cieszę się, że to zrozumiałeś - powiedział Colin ponuro. - Musiałeś sam to odkryć, nam byś nie uwierzył. Ale cokolwiek Karl zrobił, już za to zapłacił. To jego załamanie było bardzo poważne. I szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby już całkowicie wrócił do siebie, jak twierdzą lekarze.

To także była dla Duncana nowa myśl. Zaczął się nad tym zastanawiać. Załamanie Karla pozostawało wciąż tajemnicą, o której Helmerowie nie chcieli rozmawiać z obcymi. Romantycy mieli proste wyjaśnienie: załamanie było efektem utraty Calindy. Duncan nigdy w to nie uwierzył, Karl był zbyt twardy, by zachować się jak postać z jakiegoś staroświeckiego melodramatu - zwłaszcza że było co najmniej tysiąc ochotniczek, by się o niego zatroszczyć. Ale też nie dało się zaprzeczyć, że załamanie przyszło kilka tygodni po tym, jak *Mentor* wyruszył z powrotem w kierunku Ziemi.

Wówczas nastąpiła całkowita zmiana w jego osobowości: wydawał się niemal obcym człowiekiem, ilekroć Duncan spotykał go w ostatnich latach.

Fizycznie był równie przystojny jak zawsze - być może nawet jeszcze piękniejszy dzięki doroślejszym rysom twarzy. i wciąż potrafił być przyjazny, choć zdarzało mu się nagle popaść w milczenie i z niewiadomego powodu wycofać się w siebie. Ale brakowało prawdziwej komunikacji, a może nigdy jej między nimi nie było...

Nie, nieuczciwie i nieprawdziwie byłoby tak powiedzieć. Dzielili wiele wspaniałych chwil, nim Calindy wtargnęła w ich życie. I jedną, ale tylko jedną, po tym jak odeszła.

Nic nigdy nie zabolalo Duncana bardziej. Z rozpaczy nie był w stanie nic powiedzieć, gdy zegnali się w terminalu odlotów, otoczeni mnóstwem innych obejmujących się grup. Ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu Tytan nagle odkrył, jak bardzo brakować mu będzie tych młodych przybyszów, niemal każdy z nich otoczony był grupką zapłakanych mieszkańców księżyca.

Smutek Duncana był też w niemałej mierze podszyty zazdrością. Nigdy nie dowiedział się, w jaki sposób Karl dostał się na pokład *Mentora*, i tam pożegnał Calindy ostatecznie. Więc gdy Duncan widział ją po raz ostatni, gdy machała mu zza bramki Kwarantanny, Karl wciąż z nią był. Wówczas nie sądził, że jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy.

Gdy pięć godzin później Karl wrócił do bazy, był błydy i zupełnie pozbawiony swej zwykłej żywotności. Bez słowa wręczył Duncanowi mały pakunek owinięty jasnokolorowym papierem, z karteczką: OD KOCHAJĄCEJ CALINDY.

Duncan otworzył prezent drżącymi rękami i znalazł w środku ów stereoskop. Dopiero dużo, dużo później poprzez zamglone od łez oczy był w stanie dostrzec jej wizerunek w urządzeniu.

Tego samego dnia wieczorem, gdy obaj trwali złączeni wspólnym smutkiem, Duncanowi przyszło do głowy oczywiste pytanie.

- Karl, a co ona ci dała? - zapytał.

Karl wstrzymał oddech, jego mięśnie napięły się nagle i lekko odsunął się od Duncana. Gest ten był prawie niewyczuwalny, być może Karl nawet nie był go świadom.

Odpowiedział tonem napiętym i dziwnie defensywnym:

- To... tajemnica. Nic ważnego. Pewnie kiedyś ci powiem.

Już wtedy Duncan wiedział, że Karl nie powie mu nigdy; i zrozumiał też, że to była ostatnia noc, jaką spędzili razem.

Rozdział dziesiąty

Koniec świata

Ekranoloty były bardzo praktycznym środkiem transportu na Tytanie, gdzie grawitacja była słaba, a atmosfera gęsta. Ich jedyną wadą było to, że miały tendencje do zmieniania krajobrazu, zwłaszcza na obszarach, gdzie było dużo śniegu, co jednak stanowiło problem

tylko dla tych, którzy poruszaliby się z tyłu. Gdy pojazd osiągał swą normalną prędkość dwustu kilometrów na godzinę, tumany śniegu zostawały w tyle, a widok z przodu był znakomity.

Tym razem jechali jednak znacznie szybciej i Duncan zaczynał żałować, że nie został w domu. Głupio byłoby skrócić kark podczas misji, na której jego obecność nie była konieczna, i to na dwa dni przed wylotem na Ziemię.

Nic im jednak nie groziło. Poruszali się po gładkiej, płaskiej i pokrytej amoniakowym śniegiem powierzchni, w okolicy, gdzie szczeliny lodowe nie występowały. Prędkość maksymalna była więc bezpieczna i w pełni uzasadniona. Żał byłoby stracić taką okazję, zwłaszcza że czekał na nią od lat. Nikt nigdy jeszcze nie zaobserwował larwy w fazie aktywnej, a ta znajdowała się jedynie osiemdziesiąt kilometrów od Oasis. Sejsmografy zarejestrowały charakterystyczne drgania, a komputer środowiskowy ogłosił alarm. Ekranolot był gotów do drogi w ciągu dziesięciu minut.

Dojeżdżali już do stoków Mount Shackleton, niewielkiego spokojnego wulkanu, który pierwsi osadnicy po dłuższym namyśle zdecydowali się zaakceptować jako swojego sąsiada. Larwy niemal zawsze pojawiały się w pobliżu wulkanów, niektóre z nich były nimi pokryte jak girlandami. Jeden z pierwszych osadników ujął ten widok bardziej obrazowo: jak eksplozja w fabryce spaghetti. Nic dziwnego, że ich odkrycie spowodowało duże poruszenie, z powietrza wyglądały jak tunele ochronne budowane przez termity czy inne owady na Ziemi.

Ku gorzkiemu rozczarowaniu egzobiologów okazały się jednak czysto naturalnym fenomenem: lodowatym odpowiednikiem ziemskich jaskiń lawowych. Głowa larwy poruszała się - jeśli wierzyć wskazaniom sejsmografów - z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, wybierając pochyłości o nachyleniu nie większym niż dziesięć stopni; wiadomo było, że potrafią nawet wspinać się do góry na niewielkich dystansach. Gdy tylko rdzeń gorących petrochemikaliów przesunął się do przodu, z tyłu pozostawała pusta rura o przekroju nawet do pięciu metrów. Larwy były najłagodniejszymi manifestacjami przyrody na Tytanie. Nie tylko stanowiły znakomite źródło surowców, ale też łatwo było je zaadaptować na przestrzeń magazynową czy nawet tymczasowe schronienie dla ludzi, o ile ludzie ci byli w stanie przyzwyczać się do szerokiej gamy alifatycznych woni.

Był jeszcze jeden powód, dla którego ich pojazd tak pędził: trwała właśnie pora zaćmień. Dwa razy do roku, mniej więcej w czasie przesilen, słońce chowało się za niewidzialnym cielskiem planety nawet na sześć godzin. W tym czasie nie było - jak na Ziemi - najbliźszego choćby światła; ze zdumiewającą nagłością gigantyczny cień Saturna rozciągał

się na całej powierzchni Tytana, przynosząc gwałtowną i niespodziewaną noc każdemu podróżnikowi, który był na tyle głupi, że nie sprawdził kalendarza przed wyjściem z bazy.

Dzisiejsze zaćmienie miało się zacząć za nieco ponad godzinę, co - jeżeli nie natrafia na przeszkody - dawało im wystarczająco dużo czasu, by dotrzeć do larwy. Pojazd mknął teraz w dół wąskiej doliny z obu stron zamkniętej pięknymi amoniakowymi urwiskami w każdym możliwym odcieniu między błękitem, bladym szafirem i głębokim indygo. Tytan zwany był najbardziej kolorowym światem w Układzie Słonecznym - nie wyłączając Ziemi. Gdyby światło słoneczne docierało tu w większych ilościach, gra kolorów byłaby wprost oślepiająca. Dominowały czerwienie i pomarańcze, ale w zasadzie każdy zakres spektrum można było gdzieś dostrzec, choć rzadko przez dłuższy czas w jednym miejscu. Burze metanowe i amoniakowe deszcze nieustannie rzeźbiły krajobraz.

- Halo, Pojazd Trzeci - odezwał się nagle kontroler z Oasis City. - Za pięć kilometrów znów wyjedziecie na otwartą przestrzeń - przy waszej prędkości to będzie za mniej niż dwie minuty. Później będzie dziesięciokilometrowy podjazd na Lodowiec Amundsena i stamtąd powinniście zobaczyć już larwę. Ale obawiam się, że jesteście spóźnieni, prawie dotarła już na Koniec Świata.

- Cholera - burknął geolog, który sprawnie kierował pojazdem. - Tego się obawiałem. Coś mi mówi, że nigdy nie złapię larwy w ruchu.

Zwolnił gwałtownie, bo masa śnieżna zmniejszyła widoczność niemal do zera. Przez kilka minut kierowali się wyłącznie wskazaniem radaru. Warstwa kleistej węglowodorowej brei zaczęła zbierać się na przedniej szybie i zasłoniłaby widok całkowicie, gdyby kierowca nie podjął środków zaradczych. Wysoki jęk wypełnił kabinę, gdy tafle twardego plastiku zaczęły wibrować z prawie naddźwiękową częstotliwością, a fascynujący wzór fal stojących pojawił się, zanim przesłaniająca warstwa brei została zepchnięta z szyby.

Minęli małą burzę i na horyzoncie pojawiła się czarna ściana Lodowca Amundsena. Za kilka stuleci ta czołgająca się góra dotrze do Oazy i trzeba będzie coś z tym zrobić. Podczas cieplejszych lat lepkość pokrytych węglem olei i wosków stała się na tyle niska, że lodowiec przyspieszał do zapierającej dech w piersiach prędkości kilkunastu centymetrów na godzinę, w zimie jednak stawał się nieruchomy jak skała.

Wieki temu lokalne ocieplenie stopiło część lodowca i uformowało jezioro Tuonela, niemal tak samo czarne jak Amundsen, ale ozdobione wielkimi pętlami i wirami, gdzie jaśniejszy materiał uchwycony został we wzorach turbulencji i zamrożony na wieczność. Każdy, kto po raz pierwszy widział to zjawisko z powietrza, uważał się za bardzo

oryginalnego, wołając: - Rety, to wygląda dokładnie jak filiżanka kawy po zamieszanu śmietanki!

Pojazd przemknął nad taflą jeziora zbyt szybko, by pasażerowie mogli podziwiać te piękne wzory. Czekał ich jeszcze jeden dłuższy podjazd, na którym roilo się od dużych kamieni. Pojazd mógł bezpiecznie omijać je tylko przy niższej prędkości i jechali teraz pod górę nie szybciej niż sto kilometrów na godzinę, a do tego zygzakiem. Kierowca kłął bez przerwy i co chwila spoglądał na zegarek.

- Jest! - zawołał nagle Duncan.

Zaledwie kilka kilometrów przed nimi z mgły okrywającej Mount Shackleton wynurzyła się cienka biała linia ciągnąca się na wskroś krajobrazu w dół i znikająca za horyzontem. Kierowca zmienił kurs i pędził teraz w jej stronę. Duncan wiedział już jednak, że spóźnili się i nie osiągną swojego celu; byli zdecydowanie zbyt blisko Końca Świata. Po kilku minutach dotarli tam i pojazd zatrzymał się w bezpiecznej odległości.

- Blżej nie podjedziemy - powiedział kierowca. - Nie chciałbym, żeby wiatr nas zdmuchnął, gdy będziemy przy krawędzi. Kto chce wysiadać? Mamy jeszcze pół godziny światła.

- Jaka jest temperatura? - ktoś spytał.

- Ciepło. Tylko pięćdziesiąt stopni poniżej zera. Wystarczą jednowarstwowe skafandry.

Duncan wychodził na zewnątrz po raz pierwszy od miesiący, ale pewnych rzeczy nikt mieszkający na Tytanie nie mógł zapomnieć. Zmierzył ciśnienie tlenu, zbiornik zapasowy, nadajnik, zapięcie na szyi - wszystkie te drobiazgi, od których zależało jego życie. Fakt, że miał przebywać w bezpiecznym pasie kilkuset metrów i w towarzystwie innych ludzi, którzy w każdej chwili mogliby mu pomóc, ani trochę nie zmniejszył jego ostrożności.

Prawdziwi kosmonauci czasami nie doceniali Tytana, niestety z katastrofalnymi skutkami. Wydawało się strasznie łatwym poruszanie się w świecie, gdzie nie trzeba było nawet skafandra ciśnieniowego, a całe ciało mogło być wystawione na działanie atmosfery. Nie trzeba też było martwić się zimmem, przynajmniej tak długo jak skafander termiczny zachowywał swą integralność, a 150 watów cieplnej energii ludzkiego ciała zapewniało komfortową temperaturę.

Te fakty mogły powodować poczucie fałszywego bezpieczeństwa. Rozcięty kombinezon - który z pewnością błyskawicznie musiałby zostać naprawiony w środowisku próżniowym - tutaj mógł być zignorowany jako niewielkie zagrożenie, przynajmniej dopóki mróz nie odmroziłby palców jego pechowemu właścicielowi. I choć trudno uwierzyć, by

ktokolwiek zignorował ostrzeżenie tlenowe albo przekroczył swój punkt braku powrotu, takie rzeczy się zdarzały. Zatrucie amoniakiem nie jest najprzyjemniejszym rodzajem śmierci.

Duncana fakty te nie stresowały, ale miał je zawsze w pamięci. Idąc w kierunku larwy, stając po cienkiej skorupie lodu przypominającej trochę twardniejący wosk, automatycznie sprawdzał co chwilę, gdzie znajdują się jego towarzysze, na wypadek gdyby któryś z nich potrzebował pomocy - albo gdyby Duncan sam znalazł się w tarapatach.

Cylindryczny bok larwy wyrastał teraz nad nim jak potężny biały duch, pokryty łuskami i płytkami, powoli odklejającymi się od cielska robaka i spadającymi na ziemię. Duncan zdjął rękawiczkę i położył gołą rękę na larwie. Była cieplejsza od otoczenia i czuć było delikatne wibracje; gorący płyn wciąż pulsował w środku jak krew w gigantycznej arterii. Larwa jednak, sterowana siłami ciśnienia i grawitacji, popełniła samobójstwo.

Podczas gdy inni zajęci byli pomiarami, fotografowaniem i zbieraniem próbek, Duncan podszedł do Końca Świata. Nie była to jego pierwsza wizyta w tym słynnym, spektakularnym miejscu, ale wrażenie wciąż było ogromne.

Niemal u jego stóp grunt kończył się gwałtownie i zaczynała się ponad kilometrowej wysokości skarpa. Po jej ścianie powoli spływały stalaktyty wosku z pozbawionej głowy larwy.

Od czasu do czasu większa kropla oleistej substancji odrywała się i spadała powoli ku warstwie chmur głęboko poniżej. Duncan wiedział, że twardy ład znajdował się jeszcze tysiąc metrów pod chmurami, które rozciągały się aż po horyzont i nigdy jeszcze, odkąd ludzie zaczęli je obserwować, nie rozproszyły się ani na centymetr.

Ponad nimi jednak atmosfera była niezwykle przejrzysta; prócz jednej etylenowej chmurki nic nie przesłaniało nieba, i a słońce było tak ostre i jasne jak nigdy. Duncan mógł nawet dostrzec charakterystyczną bryłę Mount Shackleton położoną trzydzieści kilometrów na północ od nich.

- Rób zdjęcia i pospiesz się - odezwał się głos w nadajniku.

- Masz niecałe pięć minut.

Milion kilometrów od nich niewidoczna bryła Saturna zbliżała się do krawędzi tej jasnej gwiazdy, która zalewała krajobraz światłem dziesięć tysięcy jaśniejszym niż ziemski Księżyc w pełni. Duncan cofnął się kilka kroków od krawędzi, ale tak, by wciąż widzieć jeszcze chmury na dole. Miał nadzieję zobaczyć cień zaćmienia zbliżający się do niego.

Nie udało się, światło zgasło nagle nad całym światem.

Spojrzał w górę, mając nadzieję zobaczyć chociaż słynną słoneczną koronę, ale ujrzał tylko kurczący się blask, ujawniający na kilka sekund okrągłą krawędź Saturna. Poniżej widać było słabą, daleką gwiazdę, która też za chwilę miała zniknąć za olbrzymią planetą.

- Zaćmienie potrwa dwanaście minut - powiedział kierowca pojazdu. - Jeśli ktoś chce zostać na zewnątrz, to proszę trzymać się z dala od krawędzi. W ciemności łatwo można stracić orientację.

Duncan prawie go nie słyszał. Coś chwyciło go za gardło, niemal jakby amoniak dostał się do jego skafandra.

Nie mógł oderwać wzroku od tej słabej małej gwiazdy, nim Saturn zakrył ją po kilku sekundach. Mimo to wciąż patrzył w jej kierunku, nawet gdy już zniknęła z całym swoim ciepłem, wspaniałościami i tysiącami lat historii jej cywilizacji.

Po raz pierwszy w życiu Duncan Makenzie na własne oczy zobaczył Ziemię.

Część II

Podróż

Rozdział jedenasty

Syriusz

Po trzystu latach użytkowania statków kosmicznych, które w gruncie rzeczy w większości składały się ze zbiorników paliwa, konstrukcja Syriusza była wręcz niewiarygodna. Zdawał się mieć zbyt wiele okien, a klapy wejściowe znajdowały się w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach, niektóre wciąż jeszcze były otwarte gdy ładowano towary. - Przynajmniej zabiera choć trochę wodoru - pomyślał Duncan gorzko; szczytem ekonomicznej krzywdy byłoby, gdyby na jednym tankowaniu udało mu się oblecieć tam i z powrotem. Podobno było to możliwe, ale kosztem dwukrotnego wydłużenia czasu podróży.

Trudno było też uwierzyć, że ten przysadzisty walec z gładkim i błyszczącym pierścieniem deflektora radiacyjnego wokół modułu napędowego był jednym z najszybszych obiektów wybudowanych kiedykolwiek przez człowieka. Jedynie sondy międzygwiazdne, pokonujące otchłanie kosmosu na swoich wielowiekowych misjach, mogły pobić jego teoretyczną prędkość maksymalną, wynoszącą niemal jeden procent prędkości światła, Mając jednak na pokładzie wystarczającą ilość paliwa, by zwolnić i dotrzeć do celu, Syriusz nie był w stanie osiągnąć nawet połowy tej prędkości. Mimo to mógł dolecieć z Saturna na Ziemię w dwadzieścia dni i to nadkładając nieco drogi, by uniknąć - głównie psychologicznego - zagrożenia w pasie asteroid.

Czterdziestominutowy lot z powierzchni na orbitę nie był pierwszym kosmicznym doświadczeniem Duncana. Kilkakrotnie odwiedzał pobliskie księżycy Saturna na pokładzie tego samego statku. Flota pasażerska Tytana składała się z dokładnie pięciu statków, a ponieważ żaden z nich nie posiadał luksusu grawitacji ośrodkowej, pasy bezpieczeństwa musiały być zapięte przez cały czas podróży. Każdy podróżny, który chciał zasmakować uroków i wad nieważkości na pokładzie Syriusza, miał na to zaledwie dwie godziny, zanim włączono napęd. Choć Duncan świetnie się czuł w tym stanie, to jednak pozwolił stewardom wprowadzić się, lekki i niestawiający oporu pakunek, na pokład.

Byłoby nietaktem oczekiwać, że Komitet Jubileuszowy zapewni mu kabinę jednoosobową - na całym statku były takie tylko cztery - i Duncan wiedział, że będzie dzielił z kimś dwójkę. L3 była maleńką kabiną z dwiema składanymi pryzkami, dwiema szafkami, dwoma także składanymi siedzeniami i ekranem lustrzanym. Nie było okna, z którego można

by podziwiać kosmos - jak tłumaczyła broszura pokładowa, mogłoby to rodzić strukturalne zagrożenia. Duncan nie wierzył w to ani przez moment i zastanawiał się, czy projektanci statku nie obawiali się prób wydostania się na zewnątrz przez pasażerów z klaustrofobią.

Nie było także łazienki. Ta znajdowała się w sąsiednim pomieszczeniu i miała służyć czterem kabinom. Na szczęście to tylko na parę tygodni.

Duncan poczuł się nieco lepiej, gdy nabrał na tyle dużo pewności siebie, że zaczął zwiedzać ten mały, zamknięty świat. Szybko nauczył się lokalizować swoje położenie, korzystając z rad wydrukowanych na pokładowych mapach; wygodnie było myśleć o Syriuszu jako o cylindrycznej dziesięciopiętrowej wieży. Pięćdziesiąt kabin rozmieszczonych było na szóstym i siódmym piętrze, tuż pod nimi na piętrze piątym znajdowała się przestrzeń odpoczynku, rekreacji i część gastronomiczna.

Na pozostałe piętra wstęp był dla pasażerów wzbroniony. Ponad piętrami mieszkalnymi znajdowało się Centrum Medyczne, kabiny załogi oraz - tworzący coś w rodzaju penthouse'u mostek kapitański z panoramicznymi oknami. Dolne piętra zajmowały kolejno: kuchnia, ładownia, zbiornik paliwa i napęd. Rozmieszczenie to było bardzo logiczne, jednak Duncanowi zajęło trochę czasu odkrycie, że biuro ochmistrza znajdowało się na poziomie kuchennym, gabinet lekarski obok ładowni, sala gimnastyczna w Centrum Medycznym, a biblioteka ukryta była przy wyjściu bezpieczeństwa między poziomami szóstym i siódmym.

Podczas obchodu swojego nowego domu Duncan natknął się na tuzin innych pasażerów badających statek tak samo jak on. Wymienił z nimi powściągliwe powitania, odpowiednie w sytuacji, gdy spotykają się obcy ludzie, którzy najpewniej w najbliższym czasie będą mogli poznać się aż za dobrze. Zdążył już przejrzeć listę pasażerów, by sprawdzić, czy na pokładzie będzie ktoś znajomy, dostrzegł kilka swojsko brzmiących nazwisk, ale nikogo, z kim byłby w bliskich stosunkach. Jego współpasażerką była dr Louise Chang, ale rozstanie z Mirissą wciąż bolało za bardzo, żeby miał ochotę zwrócić choć odrobinę uwagi na Louise.

Tak czy inaczej jak się okazało, gdy wrócił do kabiny, dr Chang była miłą starszą panią, bez dwóch zdań miała ponad sto lat i przywitała się z nim grzecznie, choć z nieobecną miną, do końca podróży zresztą nie zwróciła większej uwagi na jego obecność. Wkrótce dowiedział się, że była jednym z czołowych fizyków matematycznych Układu Słonecznego i autorytetem w kwestii rezonansu satelitów planet zewnętrznych. Od pół wieku starała się wyjaśnić, dlaczego przerwy między pierścieniami Saturna nie są dokładnie tam, gdzie przewidywałyby to najbardziej zaawansowane teorie matematyczne.

Dwie godziny minęły powoli, przyspieszając dopiero tuż przed powitaniem kapitana:

- Mówi kapitan Ivanov, mamy pięć minut do startu. Wszyscy członkowie załogi proszeni są o zajęcie stanowisk i pełną gotowość, pasażerowie - o sprawdzenie pasów bezpieczeństwa. Początkowe przyspieszenie wyniesie jedną setną grawitacji, dziesięć centymetrów na sekundę do kwadratu. Powtarzam: jedna setna grawitacji. Taka prędkość utrzyma się przez dziesięć minut podczas rutynowego sprawdzania silników.

A co, gdyby silniki były uszkodzone? - zadał sobie pytanie Duncan. Czy sami matematycy wiedzą, co by się stało, gdyby Napęd Asymptotyczny się zepsuł? Myśl ta była niezbyt wesoła, więc szybko ją porzucił.

- Cztery minuty do startu. Stewardzi, proszę sprawdzić bezpieczeństwo pasażerów.

To polecenie akurat nie mogło być wykonane. Na pokładzie było 325 pasażerów, z czego połowa w kabinach, reszta w dwóch salonach, nie było sposobu żeby tuzin zabieganych stewardów upewnił się, że wszyscy zachowują się odpowiednio. Zrobili rutynowy obchód na pół godziny i na dziesięć minut przed startem i każdy pasażer, który później wyswobodził się z pasów, mógł winić tylko siebie. A jeśli jedna setna grawitacji może komuś wyrządzić krzywdę - pomyślał Duncan - to ów ktoś na to naprawdę zasługuje. Przy tym przyspieszeniu odczuwalne uderzenie byłoby na poziomie zderzenia z dużą mokrą gąbką.

- Trzy minuty do startu. Wszystkie systemy w normie. Pasażerowie w salonie B mogą obserwować wschód Saturna.

Duncan pozwolił sobie na uśmiech zadowolenia z siebie. To właśnie dlatego, po upewnieniu się u stewarda, znajdował się teraz w salonie B. Ponieważ Saturn zawsze skierowany był tą samą stroną do swojego największego księżyca, widowisko wschodzenia wielkiego globu nad horyzontem z powierzchni nie mogło być obserwowane, nawet gdyby niemal nieustannie obecna powłoka chmur na to pozwoliła.

Ów koc z chmur znajdował się teraz tysiąc kilometrów poniżej, skrywając świat, który jednocześnie osłaniał przed kosmicznym chłodem. I wtedy nagle - *niespodziewanie*, nawet mimo że czekał na ten moment - Saturn zaczął wyłaniać się jak złocisty duch zza Tytana.

W całym znanym wszechświecie nie było niczego, co można by porównać z tym wspaniałym widokiem. Sto razy większy i od mizernego księżyca płynącego po ziemskim niebie żółty glob wyglądał jak lekcja pogładowa planetarnej meteorologii. Poplątane pasma chmur nad jego powierzchnią zmieniały się z godziny na godzinę, a tysiące kilometrów niżej w wodorowo-metanowej atmosferze erupcje, których przyczyn wciąż nie znano, unosiły z ukrytego jądra bąble gazów większe od ziemskich kontynentów. Powiększały się i pękały, gdy docierały na krańce atmosfery, a szalony, trwający ledwie dziesięć godzin obrót Saturna

wokół własnej osi, rozmazywał je w długie kolorowe wstęgi ciągnące się nieraz przez pół planety.

Duncan przypomniał sobie, że gdzieś tam w tym piekle na dole siedemdziesiąt lat temu zginął kapitan Kleinman, a wraz z nim umarła częśćka babci Ellen. Od tamtej pory nikt nie odważył się tam wrócić. Saturn pozostawał jednym z największych i nieodkrytych globów Układu Słonecznego, podobnie jak tła się piekielnym ogniem Wenus.

Pierścienie Saturna były tak niepozorne, że łatwo można je było przegapić. Jak na kosmiczną ironię wszystkie wewnętrzne księżyce planety leżały niemal w tej samej płaszczyźnie co te delikatne, cienkie jak opłatek wyjątkowe struktury. Z tej perspektywy widoczne były jako świecące linie grubości włosa sterczące z obu stron planety, chociaż rzucały szeroki ciemny pas cienia na okolice równika Saturna.

Za kilka godzin, gdy Syriusz wzniesie się ponad orbitalną płaszczyznę Tytana, pierścienie pokażą się w pełnej krasie. I już to samo, pomyślał Duncan, warte było tej podróży.

- Jedna minuta do startu...

Nawet nie zauważył, kiedy ogłoszono dwie minuty do startu, olbrzymi świat wynurzający się zza horyzontu chmur musiał go zahipnotyzować. Za sześćdziesiąt sekund automatyczny sekwencer w sercu modułu napędowego odsłonił swoje najgłębsze tajemnice. Siły, które jedynie garstka żyjących ludzi potrafiła przewidzieć, ale nikt zrozumieć, obudzą się z całą mocą i wyrwą Syriusza z uścisku Saturna, i pchną go w stronę Słońca i odległego celu - Ziemi.

- ...dziesięć sekund... pięć sekund... zapłon!

Dziwne, że słowo, które od co najmniej dwustu lat było technologicznie przestarzałe, wciąż pozostawało w żargonie kosmonautów. Ledwie Duncan zdążył sformułować tę myśl, poczuł mocne pchnięcie. Jego waga gwałtownie wzrosła od zera do około kilograma; to ledwie wystarczyło, by ugiąć poduszkę, nad którą się unosił, i było odczuwalne głównie przez zmniejszenie napięcia paska wokół talii.

Inne efekty były jeszcze mniej dramatyczne. Nastąpiła lekka zmiana w tembrze nieidentyfikowalnych szumów, które nigdy nie cichną na pokładzie statku kosmicznego. Duncanowi zdawało się, że gdzieś z oddali dochodzi nawet słabe syczenie. Ale nie był tego pewien.

I wtedy, tysiąc kilometrów niżej, dostrzegł dowód na to, że Syriusz faktycznie opuszczał już orbitę. Podczas ostatniego okrążenia Tytana statek zaczął kierować się w ciemność. Białe światło słońca zaczęło szybko gasnąć na chmurach poniżej. Nadszedł drugi

świt, a on szerokim łukiem opuszczał swój świat. Na długości setek kilometrów za statkiem pas rozżarzonej plazmy rozbryzgiwał niezliczone kwintyliony kandel w kosmos i na wskroś karminowej, zachmurzonej powierzchni Tytana. Syriusz zmierzał ku Ziemi w większej chwale niż samo Słońce.

- Dziesięć minut po zapłonie. Wszystkie silniki sprawdzone. Będziemy teraz zwiększać prędkość, aż osiągniemy prędkość przelotową 0,2 g.

Teraz dopiero Syriusz po raz pierwszy pokazał, na co go stać. Z nagłym, ale delikatnym wzrostem mocy nacisk i waga wzrosły dwudziestokrotnie i utrzymały ten poziom. Światło na chmurach poniżej było teraz tak silne, że aż oczy bolały od patrzenia na dół. Duncan spojrzął nawet na powierzchnię Saturna, by sprawdzić, czy na nim też widać było taką różnicę. Słyszał teraz cichy, ale wyraźny i stabilny gwizd, który miał być tłem życia na pokładzie aż do końca podróży. To musi być czysty przypadek, pomyślał, że niezwykle dźwięk Napędu Asymptotycznego brzmiał niemal tak samo jak odgłos dawnych rakiet chemicznych, które dały ludzkości swobodę poruszania się w kosmosie. Plazma wydobywająca się z reaktora statku poruszała się z prędkością tysięcy razy większą niż gazy wydechowe jakiegokolwiek rakiety dotychczas, łącznie z raketami nuklearnymi. A jak powstawał ten skądś znajomy dźwięk, było tajemnicą nie do rozwiązania dla naiwnej intuicji.

- Prędkość przelotowa jedna piąta g. Pasażerowie mogą rozpiąć pasy i poruszać się po pokładzie swobodnie. Proszę jednak o szczególną ostrożność do chwili pełnej adaptacji do warunków na pokładzie.

To nie zajmie mi wiele czasu - pomyślał Duncan, rozpinając pas; przyspieszenie statku przywróciło mu jego zwykłą wagę z Tytana. Mieszkańcy Księżyca także czuliby się tutaj u siebie, podczas gdy Ziemianie i Marsjanie mieliby cudowne poczucie lekkości.

Światła w salonie, wygaszone dotąd, by umożliwić lepszą widoczność spektaklu za oknami, powoli rozjaśniały się już. Kilka najjaśniejszych gwiazd widocznych do tej pory zniknęło natychmiast, a garbaty glob Saturna wyblakł i stracił wszystkie kolory. Duncan zaciągnął zasłonkę, ale potrzebował kilku minut, by oczy dostosowały się do nowych warunków wewnątrz salonu. Zastanawiał się, czy wstać już, czy jeszcze odczekać, ale decyzję podjęto za niego.

Rozbrzmiał dzwonek i odezwał się nowy głos, brzmiący jakby pochodził ze stref społecznych o wiele wyżej położonych niż te, z których wywodził się kapitan. Powoli powiedział:

- Mówi szef załogi pokładowej. Uprzejmie informuję szanownych pasażerów, że pierwsza tura obiadów wydawana będzie o godzinie dwunastej, kolejna o trzynastej, a

ostatnia o czternastej. Będziemy wdzięczni za nie zmienianie swojej tury na inną bez konsultacji ze mną osobiście lub z innym członkiem załogi. Dziękuję.

Odezwał się kolejny dzwonek, mniej stanowczy niż poprzedni, a Duncan uświadomił sobie, że oglądanie z bliska cudów wszechświata może wywoływać głód. Była już jedenasta trzydzieści i cieszył się, że wpisano go na pierwszą turę obiadów. Zastanawiał się, ilu głodnych pasażerów zawracało teraz głowę głównemu stewardowi, by zmienił ich porę posiłku.

Chłonąc uroki sztucznej grawitacji, która miała utrzymać się na tym poziomie - z wyjątkiem sytuacji wyjątkowych - aż do połowy podróży, Duncan skierował się ku gwałtownie rosnącej kolejce przy restauracji.

Już teraz zdawało mu się, że trzydzieści lat, jakie spędził na Tytanie, należały do innego życia.

Rozdział dwunasty

Ostatnie słowa

Jeszcze przez jedną chwilę boleśnie znajomy widok pozostawał zamrożony na ekranie. Z tyłu za Mirissą i dziećmi Duncan widział dwa fotele w głównym pokoju, fotografię dziadka (jak zwykle lekko przekrzywioną), klapę dystrybutora żywności, drzwi do sypialni i półkę z książkami, na której stało niewiele, za to bardzo cennych skarbów, które przetrwały dwa wieki międzyplanetarnej włóczędzy... To był jego wszechświat, było w nim wszystko, co kochał i co teraz opuszczał. Już teraz należało to do jego przeszłości.

Od tego świata dzieliły go ledwie trzy sekundy, ale to wystarczyło. W mniej niż pół dnia przebył jakiś milion kilometrów i poczucie rozłąki było kompletne. Nie da się czekać sześć sekund na każdą reakcję i każdą odpowiedź; zanim odpowiedź do niego dotarła, on już zdążył zapomnieć, jakie było pytanie, i zaczynał mówić coś zupełnie innego. I tak próba rozmowy zdegenerowała się szybko do serii początków i przerw, podczas gdy on i Marissa patrzyli na siebie z rozpaczą, każde czekając, aż drugie się odezwie... Ucieszył się, gdy ta gehenna wreszcie się skończyła.

Doświadczenie to jak nic nigdy wcześniej uświadomiło mu ogrom wszechświata. Zaczął podejrzewać, że układ słoneczny nie został stworzony dla wygody ludzkości i że wszelkie próby ujarznienia go skazane były na porażkę, zwłaszcza w konfrontacji z tymi kosmicznymi prawami, które pozostawały poza kontrolą człowieka. Przez całe swoje życie

Duncan przywykł do tego, że z rodziną i przyjaciółmi mógł komunikować się natychmiastowo, gdziekolwiek by się nie znajdował. Teraz jednak - i to zanim jeszcze minął zewnętrzne księżycy Saturna! - odebrano mu tę możliwość. Przez kolejne dwadzieścia dni miał pozostawać w zamkniętej, samotnej bańce, gdzie możliwa była interakcja ze współpasażerami, ale nie z resztą ludzkości.

Użalanie się nad sobą nie trwało jednak długo. Czuł przecież także euforię - a nawet wolność - wynikającą z tej izolacji i z faktu, że wyruszał właśnie w jedną z najdłuższych i najszybszych podróży, jaką człowiek mógł odbyć. Podróże do planet zewnętrznych były rutynowe i bezpieczne - ale także rzadkie i dostępne wyłącznie dla niewielkiej garstki ludzi. Duncan pamiętał ulubione ziemskie powiedzonko Malcolma, zwykle używane w innym kontekście, ale przydatne w zasadzie na każdą okazję: „Jeśli coś jest nieuniknione, zrelaksuj się i ciesz się tym”. Miał zamiar nacieszyć się tą podróżą.

Gdy kładł się na swoim łóżku pod koniec pierwszego dnia kosmicznej podróży, odczuwał jednak duże zmęczenie. Ciąg niezliczonych pożegnań nie tylko z własną rodziną, ale i z całą masą przyjaciół wyczerpał go emocjonalnie. Na dodatek nękały go typowe przy każdej dłuższej podróży zmartwienia: czego zapomniał zrobić? Jakich niezbędnych rzeczy zapomniał ze sobą zabrać? Czy wszystkie jego bagaże zostały bezpiecznie zapakowane w luku bagażowym? Z kim zapomniał się pożegnać? Nie było sensu już się tym martwić teraz, gdy oddalał się od domu z prędkością rosnącą co godzinę o dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów na godzinę, ale nie mógł przestać. I choć był wykończony, jego nadaktywny mózg nie pozwalał mu zasnąć.

Trzeba by wyjątkowego talentu, by stworzyć łóżko, które byłoby niewygodne przy takiej grawitacji, na szczęście projektanci Syriusza nie podjęli tego wyzwania. Po jakichś trzydziestu minutach Duncan zaczął się uspokajać i uporządkował nieco myśli. Był dumny z tego, że zwykle zasypiał bez pomocy środków nasennych, i najwyraźniej miał sobie poradzić także bez elektronarkozy. Była ona oczywiście zupełnie bezbolesna, ale ilekroć próbował, tylekroć rano czuł się fatalnie.

Zasypiasz - powtarzał sobie - i nie będziesz nic czuł aż do śniadania. Przyśnią ci się same dobre rzeczy...

Cały wysiłek ostatnich dziesięciu minut zniweczony został nagłym dźwiękiem przypominającym wybuch małego wulkanu. Rozbudził się natychmiast i zaczął zastanawiać się, cóż to za katastrofa zdarzyła się na Syriuszu. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, że to jakiś źle wychowany współpasażer w środku nocy poczuł potrzebę odwiedzenia toalety.

Przeklinając go w duchu, próbował przywrócić poprzedni nastrój i oddać się na powrót w objęcia snu. Wszystko na nic: bezlik odgłosów statku kosmicznego skupiał całą jego uwagę. Najwyraźniej stracił kontrolę nad analityczną częścią swojego mózgu i zaczął klasyfikować dźwięki dochodzące do niego z zewnątrz.

Minęły godziny, odkąd usłyszał daleki, zawodzący gwizd napędu. Z każdą sekundą Syriusz wyrzucał sto gramów wodoru z jedną trzecią prędkości światła, niewielką ilość masy odpowiedzialną jednak za miliony gigawatów energii. Przez pierwszych kilkaset lat rewolucji przemysłowej na Ziemi wszystkie tamtejsze fabryki razem wzięte nie osiągnęły takiej mocy jak ta, która niosła go teraz ku Słońcu.

Ten absurdalnie słaby gwizd wcale mu nie przeszkadzał, ale nakładały się na niego setki innych pojedynczych dźwięków.

Co wydawało to bzzz... klik, klik... bzzz albo delikatne tap tap tap, grrrr, ssssss czy też najbardziej irytujące i-i-i-i-i?

Duncan obrócił się na brzuch i schował głowę w poduszkę. Nic się nie zmieniło prócz tego, że wyższe tony wyciszyły się, a niższe wzmocniły. Zaczął też wyraźnie odczuwać miarową pulsację samego łóżka, dziesięć cykli na sekundę, idealnie, by wywołać atak epilepsji.

Halo, a to co nowego? Bezduszne ker-plunk, ker-plunk, ker-plunk, które mógł wydawać starożytny silnik spalinowy w ostatnich stadiach życia. Duncan poważnie wątpił jednak, by takie silniki znajdowały się na Syriuszu.

Obrócił się na drugą stronę i poczuł chłodnawy strumień powietrza z wentylatora uderzający go w lewy policzek. Być może gdyby go zignorował, po chwili świadomość sama by o nim zapomniała, jednak każda próba udawania, że nic nie czuje, wzmagała tylko jego skupienie na irytującej coraz bardziej wentylacji.

Zza cienkiej ścianki pokoju system hydrauliczny statku dał o sobie znać serią cichych tąpnięć. Któraś z rur się zapowietrzyła i Duncan był pewny, że pokładowi mechanicy nie będą w stanie naprawić jej przed końcem podróży.

A to co znowu? Usłyszał zgrzyt tak nieregularny, że z pewnością żaden sprawny mechanizm nie mógł go wydawać. Leżąc w ciemnościach, Duncan usilnie szukał wyjaśnienia, aż wreszcie zaczął panikować. Czy powinien wezwać stewarda i zaalarmować go, że coś się zepsuło?

Już prawie podjął decyzję, gdy nagle gwałtowna zmiana w wysokości i intensywności dźwięku wyzbyła go wszelkich wątpliwości co do jego źródła. Mruczając pod nosem i przeklinając swoje szczęście, Duncan poddał się bezsenności.

Dr Chang zaczęła chrapać...

Ktoś delikatnie potrząsał go za ramię.

- Zostaw mnie - wymamrotał, po czym na wpół świadomie wynurzył się z głębin snu.
- Jeśli się nie pospieszysz - powiedziała dr Chang - przegapisz śniadanie.

Rozdział trzynasty

Najdłuższa podróż

- Mówi kapitan. W ciągu najbliższych piętnastu minut przeprowadzimy manewr korekty kursu i wyjścia z ruchu orbitalnego, to ostatnia szansa, by przyjrzeć się Saturnowi. Statek będzie tak zorientowany, że planeta będzie widoczna z salonu B. Dziękuję.

- To ja dziękuję - pomyślał Duncan, choć gdy dotarł do salonu B, poziom wdzięczności znacznie mu opadł. Tym razem zbyt wielu innych pasażerów dostało wskazówki od stewardów; szczęśliwie jednak udało mu się znaleźć dobry punkt obserwacyjny, choć miejsce to było stojące.

Podróż dopiero co się zaczęła, ale Saturn już był bardzo daleko. Planeta zmniejszyła się do ćwiartki swego zwykłego rozmiaru, była teraz jedynie dwa razy większa niż Księżyc widziany z Ziemi.

Choć skurczona, robiła teraz jeszcze większe wrażenie. Syriusz wzniósł się o kilka stopni w stosunku do równika planety, widać więc było pierścienie w całej okazałości. Cienkie koncentryczne srebrne aureole wyglądały tak sztucznie, że nie sposób było uwierzyć, że nie wyszły spod dłuta jakiegoś zdolnego rzemieślnika, dla którego głównym tworzywem są światy. Na pierwszy rzut oka zdawały się jednolite, ale gdy spojrział uważniej, Duncan dostrzegł prześwitujące przez nie cielsko Saturna. Jego żółty blask kontrastował dziwnie z ich nieskazitelną śnieżną bielą. Sto tysięcy kilometrów poniżej cień pierścieni kładł ciemną opaskę wzdłuż równika. Łatwo można ją było wziąć za nadzwyczajnie ciemne pasmo chmur, łatwiej niż za coś, czego przyczyna leżała daleko w kosmosie.

Na pierwszy rzut oka widać było dwie główne grupy pierścieni, po dokładniejszym przyjrzeniu się można było dostrzec około dwunastu cieńszych obwódek, w których występowały gwałtowne zmiany jasności przylegających sekcji. Odkąd tylko w XVII wieku po raz pierwszy je zaobserwowano, matematycy tacy jak dr Chang starali się poznać ich strukturę. Od dawna wiadomo już było, że to pola grawitacyjne wielu księżyców Saturna

poukładały miliardy orbitalnych cząsteczek w osobne pierścienie, jednak szczegóły tego procesu wciąż pozostawały niejasne.

Co do każdego z pierścieni też były mniejsze lub większe wątpliwości. Na przykład najbardziej zewnętrzny z nich wykazywał się dużą ilością plam lub węzłów, a niewielki skrzep światła widoczny był wyraźnie na jego wschodniej krawędzi. Duncan zastanawiał się, czy to miejsce narodzin nowego księżyca, czy też resztki starego, już zniszczonego?

Nieśmiało zapytał o to dr Chang.

- Obie możliwości były rozważane - odpowiedziała. - Moje badania wskazują na tę pierwszą opcję. Ta kondensacja przy odrobinie szczęścia może przeobrazić się w nowy księżyc w ciągu najbliższych kilku tysięcy lat.

- Nie mogę się z tym zgodzić, pani doktor - wtrącił się inny pasażer. - To czysto statystyczna fluktuacja w gęstości cząsteczek. Tego typu zjawiska zdarzają się dość często i rzadko trwają dłużej niż kilka lat.

- Mniejsze, owszem, ale to jest zbyt intensywne i znajduje się zbyt blisko krawędzi pierścienia B.

- Jednak analiza Vanderplasa problemu Janusa...

Teraz zaczęło to już przypominać strzelaninę jak z dawnych westernów. Oboje równocześnie sięgnęli po swoje komputery, które mieli zamocowane za paskiem, i wycofali się, mrużąc pod nosem równania, na tył sali. Kompletnie zignorowali prawdziwego Saturna, którego przybyli tutaj badać i którego najpewniej nie mieli już nigdy na własne oczy zobaczyć;

- Mówi kapitan. Zakończyliśmy manewr korekty prędkości i teraz ustawimy statek w płaszczyźnie ekliptyki. Mam nadzieję, że widok mieli państwo doskonały, Saturn będzie bardzo daleko, gdy następnym razem będziecie mogli go zobaczyć.

Nie dało się wyczuć żadnego ruchu, ale wielki otoczony pierścieniami glob zaczął powoli schodzić z pola widzenia. Pasażerowie stojący z przodu pochylili się, by lepiej go widzieć, a gdy w końcu skrył się za osłoną otaczającą dolną część statku, rozległ się chór zawiedzionych westchnień. Osłona na dole miała tylko jedno zadanie: blokować promieniowanie z dysz, które mogłoby rozbrzysnąć w kierunku ruchu pojazdu. Nawet najkrótszy taki rozbrzysk spowodowałby całkowitą ślepotę, każdy dłuższy mógłby być zabójczy dla wszystkich na pokładzie.

Syriusz kierował się teraz wprost na Słońce, przyspieszając i pędząc coraz szybciej w kierunku planet wewnętrznych. Wstecz nie można było patrzeć tak długo, jak długo włączony

był napęd. Duncan wiedział, że kiedy znów będzie mógł zobaczyć Saturna gołym okiem, ten nie będzie większy od każdej innej gwiazdy na niebie.

Dzień później, lecąc z prędkością trzystu kilometrów na sekundę, statek minął kolejny ważny punkt. Z pola oddziaływania grawitacji planety wydostał się oczywiście godziny temu, teraz ani Saturn, ani też Słońce nie mogli go przechwycić. Granica, którą Syriusz teraz mijał, była czysto arbitralna: orbita najdalszego księżyca.

Mnemosyne, o średnicy jedynie 15 kilometrów, mogła pochwalić się dwoma skromnymi rekordami. Miała najdłuższy czas obiegu planety - 1139 dni - w średniej odległości dwudziestu jeden milionów kilometrów. Miała też najdłuższy dzień w całym Układzie Słonecznym - zdumiewające 1143 dni. Choć zdawało się oczywiste, że te dwa fakty muszą być w jakiś sposób powiązane, nikt nie znalazł żadnego sensownego wyjaśnienia takiego ślimaczego zachowania Mnemosyne.

Przez czysty przypadek Syriusz mijał ją w odległości mniejszej niż milion kilometrów. Z początku nawet przez najmocniejszy pokładowy teleskop Mnemosyne była tylko drobnym okruchem bez żadnych widocznych cech, jednak gdy szybko urosła do rozmiaru połowy ziemskiego księżyca, pasma światła i cienia zaczęły uwidaczniać się na jej powierzchni, w końcu stały się rozpoznawalne jako kratery. Było to typowe dla wszystkich gęstszych księżyców typu Merkurego - w przeciwieństwie do wewnętrznych kul śnieżnych jak Mimas, Enceladus czy Tethys - ale dla Duncana Mnemosyne była szczególnie interesująca. Znaczyła więcej niż tylko ostatni znacznik na drodze do Ziemi.

Na jej powierzchni znajdował się właśnie Karl, który od wielu tygodni brał udział we wspólnej ekspedycji naukowców z Ziemi i z Tytana na zewnętrzne księżyce Saturna. Badania te trwały, odkąd tylko Duncan pamiętał. Powierzchnia wszystkich tych księżyców wynosiła razem miliony kilometrów kwadratowych, a członkowie misji TTOSS prowadzili bardzo skrupulatne badania. Pojawiały się narzekania na koszty tej misji, a jej krytycy ucichli dopiero wówczas, gdy obiecano, że badania będą na tyle dokładne, że nigdy już nie będzie potrzeby wracać na powierzchnię satelitów. Duncan jakoś nie wierzył w tę obietnicę.

Przyglądał się bladej powierzchni Mnemosyne, aż całkowicie zniknęła za rufą statku, i przez chwilę zastanawiał się, czy powinien wysłać Karlowi słowa pożegnania. Gdyby jednak tak zrobił, zostałyby to odczytane wyłącznie jako złośliwość.

Duncan potrzebował kilku dni, by dostosować się do skomplikowanego planu dnia na pokładzie statku - planu zdominowanego faktem, że jadalnia (tak nazywano przestrzeń położoną bezpośrednio przy restauracji) mogła pomieścić jedynie jedną trzecią pasażerów

naraz. W związku z tym przez dziewięć godzin dziennie co najmniej sto osób coś jadło, podczas gdy pozostałych dwustu pasażerów albo myślało o kolejnym posiłku, albo narzekało na poprzedni. Z tego powodu ochmistrz pokładowy, który służył także jako osoba odpowiedzialna za rozrywkę na pokładzie, miał spore trudności ze zorganizowaniem czegokolwiek sensownego. Nie pomagał mu zwłaszcza fakt, iż większość pasażerów nie życzyła sobie, żeby im cokolwiek organizowano.

Mimo to każdy dzień był luźno rozplanowany wokół serii wydarzeń, na których spora frekwencja zagwarantowana była przez ogólnie panujące znużenie. Półgodzinny skrót wiadomości z Ziemi prezentowany był o ósmej rano i powtarzany o dziesiątej, wieczorem o 19.00 i o 21.00 nadawane były najświeższe wiadomości. Na początku podróży przekazy te nadawane były z półtoragodzinnym poślizgiem, ale z dnia na dzień stawały się coraz bardziej punktualne. Na orbicie okołoziemskiej, tysiąc kilometrów nad równikiem, opóźnienie to miało zniknąć całkowicie i zegarki można będzie wtedy ustawić według czasu lokalnego. Ci spośród pasażerów, którzy o tym zapomną, będą zagrożeni stanem kompletnej konfuzji, a co gorsza - przegapieniem godzin posiłków.

Wszystkie rodzaje nagrań wizualnych zawierających treść kilku milionów książek naukowych i popularnych, a także większość muzycznych skarbów historii ludzkości były dostępne w niewielkiej bibliotece; mogła pomieścić maksymalnie dziesięć osób. Ponadto co wieczór wyświetlano dwa filmy w głównej sali, ich wyboru - o ile wierzyć ochmistrzowi - dokonywali pasażerowie w demokratycznym głosowaniu. Do wyboru były niemal wszystkie filmowe klasyki nawet z początków kina w XX wieku. Po raz pierwszy w życiu Duncan zobaczył *Dzisiejsze czasy* Charliego Chaplina, pełny kanon produkcji Disneya, *Hamleta* Oliviera, *Pather Panchali* Satyajita Raya, *Napoleona Bonaparte* Kubricka, *Moby Dicka* Zymanowskiego i wiele innych starych arcydzieł, o których istnieniu nawet nie wiedział. Największym zainteresowaniem cieszył się jednak cykl *Jeśli dziś jest wtorek, to musi być Mars* - wybór filmów o podróżach w kosmos, nakręconych, nim jeszcze podróże te stały się możliwe. Każdy seans doprowadzał publiczność do radosnej hysterii i trudno było uwierzyć, że niegdyś projekcje te były zakazane w czasie lotów międzyplanetarnych, ponieważ jakiś bezduszny urzędnik uznał, że pokazane w nich katastrofy - na przykład przypadkowe lądowanie na innej planecie, niż zamierzano - mogły zaniepokoić co bardziej nerwowych pasażerów. W rzeczywistości efekt był wręcz odwrotny: śmiech odganiał wszelkie lęki.

Duncan jednak, z całą przesadną skrupulatnością typową dla Makenziech, już drugiego dnia podróży wziął się ostro do pracy.

Miał do wykonania trzy duże zadania: jedno fizyczne, dwa czysto intelektualne. Pierwsze, realizowane pod surowym okiem pokładowego lekarza, polegało na przygotowaniu się do życia w ziemskiej grawitacji. Drugim było nauczenie się, ile tylko się dało, o celu swojej podróży, tak żeby po przybyciu tam nie zachowywał się jak jakiś prosty kuzyn z dalekiej prowincji. Trzecim zadaniem było przygotowanie przemówienia lub przynajmniej napisanie jego w miarę szczegółowego planu, do poprawienia i uzupełnienia w trakcie pobytu na Ziemi.

Ćwiczenia wzmacniające wymagały piętnastominutowych sesji, które dwa razy dziennie odbywały się w pokładowej wirówce lub na „torze wyścigowym”. Nikt nie lubił wirówki; nawet najlepsza muzyka w tle nie wybijała z nudy bycia kręconym w małej kabince, dopóki ręce i nogi nie stawały się ciężkie jak z ołowiu. Ale tor wyścigów był tak świetną zabawą, że działał w zasadzie bez przerwy, a niektórzy entuzjaści domagali się dodatkowych treningów.

Atrakcyjność ta wynikała w znacznej mierze z nowatorstwa pomysłu, któż spodziewałby się w kosmosie rowerów? Tor był wąskim tunelem okrążającym statek i przypominał trochę akcelerator cząsteczek z dawnych czasów, tyle że w tym wypadku cząsteczki same zapewniały swoje przyspieszenie.

Co wieczór przed pójściem do łóżka Duncan wchodził do tunelu, wsiadał na jeden z czterech rowerów i zaczynał pedałować wzdłuż sześćdziesięciometrowej trasy. Pierwsze okrążenie zajmowało mu około pół minuty, przy każdym kolejnym nieco przyspieszał. Robiąc tak, wspinał się coraz wyżej i wyżej po pochyłej i zaokrąglonej ścianie, aż przy pełnej prędkości jechał niemal prostopadle do podłoża. Czuł jednocześnie, jak przybiera na wadze; prędkościomierz roweru był tak skalibrowany, że pokazywał nie tylko prędkość, ale też setne grawitacji, więc rowerzysta wiedział od razu, jak dobrze mu idzie. Czterdzieści kilometrów na godzinę - dziesięć okrążeń Syriusza na minutę - było odpowiednikiem ziemskiej grawitacji. Po kilku dniach ćwiczeń Duncan osiągał tę prędkość na okres dziesięciu minut bez większego wysiłku. Pod koniec podróży stan taki nie sprawiał mu najmniejszego kłopotu, co na Ziemi miało mu się bez wątpienia przydać.

Tor był najlepszą zabawą, gdy znajdowało się na nim dwóch lub trzech rowerzystów naraz, zwłaszcza gdy poruszali się z różnymi prędkościami. Choć wyprzedzanie było surowo zabronione, ściganie się było ogromną frajdą. A dodatkowo ćwiczenia na torze zapewniały mu jeszcze jedną materialną pamiątkę w postaci stylizowanego na średniowieczny rulonu papieru niniejszej treści:

ZAŚWIADCZA SIĘ, ŻE JA, DUNCAN MAKENZIE, POCHODZĄCY Z OASIS CITY NA TYTANIE, POKONAŁEM NA ROWERZE TRASĘ Z SATURNA NA ZIEMIĘ ZE ŚREDNIĄ PRĘDKOŚCIĄ 2 176 420 KILOMETRÓW NA GODZINĘ.

Jego przygotowanie mentalne do życia na Ziemi wymagało znacznie więcej czasu, ale nie było aż tak wyczerpujące. Posiadał już dość dobrą znajomość historii Ziemi, jej geografii i aktualnej polityki, dotąd jednak była ona głównie teoretyczna, ponieważ nijak go nie dotyczyła. Zarówno astronomicznie, jak i psychologicznie Ziemia była bardzo bardzo daleko. Teraz zbliżała się z prędkością milionów kilometrów dziennie.

Co więcej, był teraz otoczony głównie Ziemianami, na pokładzie Syriusza było zaledwie siedmiu pasażerów z Tytana. Czy mu się to podobało, czy nie, Duncan przechodził właśnie swoiste pranie mózgu i siłą wciągany był w zupełnie inną kulturę. Spostrzegł niebawem, że zaczyna używać ziemskich form językowych, przejmuje ową nieco śpiewną intonację powszechną obecnie na Ziemi i coraz częściej używa słów chińskiego pochodzenia. Wszystko to było do przewidzenia, przeszkadzało mu tylko to, że jego szybko oddalający się świat stawał się coraz mniej realny. Obawiał się, że jeszcze przed końcem podróży stanie się pół-Ziemianinem.

Spędzał dużo czasu, przyglądając się typowo ziemskim scenkom, słuchając słynnych debat politycznych, próbując zrozumieć, co dzieje się w kulturze i sztuce, tak aby nie wyjść na kompletnego barbarzyńcę z czeluści kosmosu. Gdy nie siedział przed ekranem, przeglądał szybko małą, ale gęsto zadrukowaną książeczkę pod optymistycznym tytułem *Ziemia w dziesięć dni*. Bawiło go ciągle wykorzystywanie nowych informacji i wypróbowywanie ich na współpasażerach, by zobaczyć ich reakcję oraz by sprawdzić, czy sam dobrze wszystko rozumiał. Czasami odpowiedzią było puste spojrzenie, czasami protekcyjny uśmiešek. Ale wszyscy byli dla niego bardzo uprzejmi i po jakimś czasie Duncan odkrył prawdę w starym porzekadle, że Ziemianie nigdy nie byli *nieintencjonalnie* niegrzeczni.

Oczywiście absurdem było przyklejanie jednej łatki pół miliarda ludziom czy nawet trzystu pięćdziesięciu osobom na pokładzie. Duncan był jednak zaskoczony tym, jak często jego wyobrażenia - a nawet uprzedzenia - doskonale odpowiadały rzeczywistości. Większość Ziemian posiadała nieświadome poczucie wyższości. Na początku przeszkadzało to Duncanowi, później zdał sobie sprawę z tego, że kilka tysięcy lat historii i kultury w pełni to usprawiedliwiają.

Wciąż było zbyt wcześnie, by rozstrzygnąć kwestię tak często omawianą na wszystkich innych światach: Czy Ziemia staje się coraz bardziej dekadenska? Ludzie, których spotkał na pokładzie Syriusza, nie okazywali ani grama owego pustego przewrażliwienia, z

którym często byli utożsamiani - ale oczywiście nie była to próbka reprezentatywna. Każdy, kto miał możliwość podróżowania do najdalszych zakątków zamieszkanego wszechświata, musiał posiadać nadzwyczajne zdolności lub środki.

Musiał więc poczekać ze szczegółowym mierzaniem poziomu dekadencji aż do przybycia na Ziemię. Mogło to być całkiem interesujące zadanie, jeżeli budżet i napięty plan zajęć mu na nie pozwoli.

Rozdział czternasty

Z historii Imperium

Przez sto lat, pomyślał Duncan, nie udałoby mi się tego zaaranżować. Doprawdy mistrzowskie zarządzanie nieprzewidywalnym! Colin byłby ze mnie dumny...

Wszystko zaczęło się przez zupełny przypadek. Gdy odkrył, że główny mechanik nosi bardzo rzadkie nazwisko Mackenzie, naturalnym było, że przedstawił się i że spróbowali znaleźć wspólnych przodków. Jeden rzut oka wystarczył, by wykluczyć pokrewieństwo: Warren Mackenzie, doktor astrotechnologii (specjalność: napędy kosmiczne), był rudy i piegowaty.

Nie miało to znaczenia, bo wesoło przywitał się z Duncanem i chętnie z nim pogawędził. Narodziła się prawdziwa przyjaźń, długo zanim Duncan zdecydował się z niej skorzystać.

- Czasami czuję - żartobliwie uskarżał się Warren - że jestem żywym banałem. Wiesz, że dawno temu wszyscy inżynierowie pokładowi byli Szkotami i nazywali się Mac-coś-tam?

- Nie wiedziałem. A dlaczego nie Niemcy czy Rosjanie? Przecież to od nich się zaczęło...

- Nadajemy na różnych falach. Mówię o statkach, które pływały po wodzie. Tych pierwszych, napędzanych silnikami parowymi, które miały koła łopatkowe po bokach - powstały na początku XIX wieku. Rewolucja przemysłowa zaczęła się w Wielkiej Brytanii, a pierwszy silnik parowy wymyślił Szkot. Gdy parowce zaczęły pływać po świecie, wszyscy ci Mac-coś-tam podążyli wraz z nimi. Nikt inny nie umiał połapać się w tak skomplikowanej maszynierii.

- Silnik parowy? Skomplikowany? Chyba żartujesz...

- A widziałeś go kiedyś? Bardziej zawily, niż byś pomyślał, choć nie trzeba dużo czasu, by się w tym połapać. Tak czy inaczej, tak długo jak silniki parowe były w użyciu -

jakieś sto lat, nie więcej - to Szkoci je obsługiwali. Mam takie hobby, że interesuję się tamtymi czasami, są bardzo podobne do naszych.

- Zaskoczyłeś mnie, mów dalej.

- No wiesz, te stare statki były niewiarygodnie powolne, średnio dziesięć kilometrów na godzinę, przynajmniej frachtowce. Więc podróże na Ziemi trwały całymi tygodniami. Zupełnie jak podróże w kosmosie.

- Rozumiem. W tamtych czasach państwa na Ziemi były niemal tak samo odległe jak planety.

- Tak, niektóre z nich owszem. Najlepszą analogią jest stara Wspólnota Brytyjska - pierwsze i jedyne światowe imperium. Przez prawie sto lat państwa takie jak Kanada, Indie czy Australia polegały wyłącznie na parowcach, które łączyły je z Anglią. Podróż w jedną stronę mogła trwać miesiąc albo i więcej, i nieraz była jedyną taką przygodą w życiu. Tylko bogacze albo osoby na państwowych posadach mogli sobie na to pozwolić. I - zupełnie jak dzisiaj - mieszkańcy kolonii nie mogli nawet ze sobą bezpośrednio rozmawiać. Izolacja psychologiczna była niemal pełna.

- Przecież mieli telefony...

- Tylko do lokalnego użytku, a i tak było ich bardzo niewiele. Pamiętaj, że mówimy o początkach XX wieku. Powszechna światowa komunikacja zaczęła się dopiero pod koniec tego stulecia.

- Coś czuję, że to porównanie jest trochę naciągane - przerwał Duncan. Był zaintrygowany, ale nie do końca przekonany, chciał jednak poznać argumenty Warrena - jak na razie bez żadnego ważniejszego powodu.

- Podam ci lepsze przykłady. Słyszałeś kiedyś o Rudyardzie Kiplingu?

- Owszem, ale nie czytałem nic, co napisał. Bo był pisarzem, prawda? Anglo-Amerykanin, czasowo gdzieś pomiędzy Melvillem a Hemingwayem, zgadza się? AngLit to dla mnie nieznanne terytorium, życie jest zbyt krótkie.

- Wszystko prawda. Ja czytałem Kiplinga - był pierwszym poetą ery maszynowej, a niektórzy twierdzą, że był też najlepszym autorem opowiadań swoich czasów. Nie mnie to oceniać oczywiście, ale doskonale opisał czasy, o których mówię. *McAndrew's Hymn* na przykład, wiersz, w którym stary inżynier rozmyśla o tłokach, kotłach i wałach korbowych, które pchają jego statek dokoła świata. Tamta technologia - o teologii nie wspominając - wymarła trzysta lat temu, ale jej duch jest dziś żywy jak nigdy. Pisał też wiersze i opowiadania o odległych miejscach, tak odległych jak planety dzisiaj. A czasem nawet bardziej egzotycznych od planet! Mój ulubiony wiersz nosi tytuł *Pieśń Miast* - połowy nie

rozumiem, ale hołd, jaki w nim składa miastom takim jak Bombaj, Singapur, Rangun, Sydney, Auckland... Dla mnie to jak Księżyc, Merkury, Mars, Tytan...

Mackenzie urwał z lekkim zakłopotaniem.

- Też próbowałem coś takiego napisać... ale nie martw się, nie będę ci się narzucał ze swoimi rymami.

Duncan mruknął zachęcająco, wiedząc, że będzie to mile widziane. Był całkiem pewien, że jeszcze przed końcem podróży zostanie poproszony o krytykę - czytaj: pochwałę - prób literackich Warrena.

Co przypomniało mu natychmiast o jego własnych obowiązkach. Podróż dopiero co się zaczęła, więc i on powinien brać się do pracy.

Dokładnie dziesięć minut - zarządził George Washington - ani sekundy więcej. Nawet Prezydent dostała tylko piętnaście, a wszystkie planety muszą mieć czasu po równo. Całe wydarzenie miało trwać dwie i pół godziny od chwili wejścia na Kapitol do chwili rozpoczęcia przyjęcia w Białym Domu.

Wciąż wydawało się cokolwiek absurdalnym przebyć trzy miliardy kilometrów tylko po to, by wygłosić dziesięćminutowe przemówienie, nawet z okazji tak doniosłej jak pięćsetlecie. Duncan nie miał zamiaru tracić więcej niż niezbędne minimum na uprzejmości, jak ujął to Malcolm: szczerść podziękowań jest często odwrotnie proporcjonalna do ich długości.

Ku swojemu rozbawieniu - ale przede wszystkim by zapamiętać listę ważniejszych gości - Duncan próbował zacząć mowę od przywitania ze wszystkimi osobami, których obecność potwierdził profesor Washington. Lista była następująca: „Pani Prezydent, Pan Wiceprezydent, Szanowny Prezes Sądu Najwyższego, Szanowny Przewodniczący Senatu, Szanowny Przewodniczący Izby, Ich Wysokość Ambasadorowie Księżyca, Marsa, Merkurego, Ganimedesa i Tytana - przy tym ostatnim planował skinąć głową w kierunku ambasadora Farrella, jeśli będzie w stanie wyłowić jego twarz w tłumie - Czcigodni Przedstawiciele Albanii, Austrandii, Cypru, Czech, Francji, Khmeru, Palestyny, Kalingi, Zimbabwe, Irlandii...

Obliczył, że jeśli miałby zwrócić się do przedstawiciela każdego z pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu terytoriów, którym wciąż zależało jeszcze na jakiejś formie indywidualnego wyróżnienia, straciłby co najmniej ćwierć czasu, jaki mu dano. To w oczywisty sposób było absurdem i miał nadzieję, że zgodzą się z tym także inni mówcy. Bez względu na protokół Duncan zdecydował się na dostojną zwięzłość.

„Mieszkańcy Ziemi” mogło dotyczyć wielu obszarów, dokładnie obszarów pięciokrotnie większych od powierzchni Tytana, imponująca statystyka, o której Duncan nie zapomniał. Tyle że w ten sposób pominąłby resztę gości. Więc może „Przyjaciele z innych światów”? Nie, to było zbyt pretensjonalne, zwłaszcza że większość z nich stanowić będą zupełnie obcy ludzie. No to może: „Pani Prezydent, szanowni goście, znani i nieznanymi przyjaciele z wielu światów”... Już lepiej ale wciąż jeszcze nie to...

Duncan zdał sobie sprawę, że zadanie będzie jeszcze trudniejsze, niż mu się wydawało. Wielu ludzi będzie chciało mu doradzać, ale on wołał - jak dobra stara szkoła Makenziech uczyła - sprawdzić, ile sam może zrobić, zanim poprosi o pomoc. Przeczytał gdzieś, że najlepszym sposobem, by nauczyć się pływać, jest dać się wrzucić na głęboką wodę. Duncan nie umiał pływać - ta umiejętność na Tytanie była szczególnie nieprzydatna - ale rozumiał sens powiedzenia. Jego kariera na scenie solarnej polityki miała zacząć się od wielkiego plusku i to na oczach milionów widzów.

Nie denerwował się, w końcu przemawiał już do całego swojego świata jako ekspert podczas technicznych debat w zgromadzeniu. Wybronił się niezłe z trudnej dyskusji o wadach i zaletach eksplorowania lodowców amoniakowych na górze Nansena; nawet Armand Helmer gratulował mu później, mimo że był odmiennego zdania. W debatach tych, dotyczących przyszłości Tytana, ponosił prawdziwą odpowiedzialność, a jego kariera mogła dobiec gwałtownego końca, gdyby zrobił z siebie głupka.

Publiczność na Ziemi mogła być tysiąc razy większa, ale z całą pewnością dużo mniej krytyczna. Jego słuchacze będą nastawieni bardzo przyjaźnie, chyba że popełni niewybaczalny grzech zanudzenia ich niemal na śmierć.

Tego jednak nie mógł jeszcze zagwarantować, wciąż nie miał pojęcia, jak wykorzysta najważniejsze dziesięć minut swojego życia.

Rozdział piętnasty

Na półmetku

Na ziemskich morzach nazywano to „przekraczaniem linii”. Ilekroć statek przepływał z jednej półkuli na drugą, odbywały się wesołe ceremonie i rytuały, podczas których ci, którzy nigdy wcześniej nie przekraczali równika, poddawani byli przez Neptuna i jego świtę wymyślnym upokorzeniom.

W pierwszych wiekach lotów kosmicznych podobna linia graniczna nie wiązała się z żadnymi fizycznymi zmianami, tylko komputer nawigacyjny wiedział, kiedy statek przestawał być w polu oddziaływania jednej planety i wchodził w zasięg innej.

Ale teraz, u zarania napędów o stałym przyspieszeniu, które potrafiły utrzymywać ciąg przez cały czas trwania podróży, jej środek czy też „punkt zwrotny” miał realne fizyczne znaczenie i psychologiczny wpływ na podróżujących. Żyjąc i poruszając się w warunkach obserwowalnej grawitacji, pasażerowie Syriusza mieli teraz na kilka godzin stracić wagę i wreszcie poczuć, że naprawdę są w kosmosie.

Gdy statek powoli obracał się o sto osiemdziesiąt stopni, pasażerowie obserwowali rotację gwiazd na niebie. Napęd został teraz skierowany dokładnie w odwrotnym kierunku niż w ciągu ostatnich dziesięciu dni, aby statek mógł powoli wytracić swoją gigantyczną prędkość. Teraz można było delektować się myślą, że poruszają się szybciej niż ktokolwiek kiedykolwiek przed nimi - i kontemplować ekscytującą wizję, że gdyby napęd Syriusza nie uruchomił się ponownie, ich statek doleciałby do najbliższych gwiazd już za niecałe tysiąc lat...

Mogli robić to wszystko, jednak większość z nich miała w głowie zupełnie co innego.

Dla większości z nich była to jedyna szansa, by spędzić w stanie nieważkości wystarczająco dużo czasu, aby się tą nieważkością nacieszyć. Zbrodnią byłoby zmarnować taką okazję. Nic dziwnego, że najpopularniejszą pozycją w pokładowej bibliotece w ciągu ostatnich kilku dni była NASA SUTRA stara książka i stary żart tłumaczony już tyle razy, że zupełnie przestał śmieszyć.

Kapitan Ivanov zaprzeczył, ze stosunkowo przekonywującym oburzeniem w głosie, że plan podróży został tak opracowany, by zaspokoić najniższe instynkty pasażerów. Gdy ktoś podniósł ten temat przy stole na dzień przed Punktem Zwrotnym, kapitan przedstawił całkiem wiarygodne uzasadnienie.

- To jedyny logiczny moment, by wyłączyć napęd - tłumaczył. - Między północą a czwartą rano wszyscy pasażerowie będą, ekhm, spać w swoich kabinach. Więc utrudnień będzie bardzo mało. Nie moglibyśmy tak zrobić w ciągu dnia, proszę pamiętać, że kuchnie i łazienki będą nieczynne w czasie nieważkości. Będziemy o tym jeszcze przypominać wieczorem, ale jakiś idiota zawsze czuje się zbyt pewny siebie albo wypije za dużo i nie umie przeczytać instrukcji na tych małych plastikowych woreczkach, które znajdziecie w swoich kabinach.

Sytuacja trochę kusiła Duncana, wspomnienie Mirissy zaczynało blaknąć, a okazji nie brakowało. Dostał kilka oczywistych sygnałów z różnych stron i od grup o różnych

wartościach n od jednego do pięciu. Niełatwo byłoby dokonać wyboru, ale los oszczędził mu tego kłopotu.

Mijał właśnie tydzień podróży, do Zwrotu zostały jeszcze trzy dni. Duncan czuł się już pewien coraz większej bliskości z Warrenem Mackenziem, by pozwolić sobie na pewne aluzje. Nie zostały odrzucone od razu, ale Warren najwyraźniej potrzebował czasu, żeby rozważyć propozycję. Zdecydował się dopiero na dwanaście godzin przed czasem.

- Nie będę ukrywał, że może mnie to kosztować pracę - powiedział. - I byłoby co najmniej krępujące, gdyby się rozeszło. Ale ty jesteś Mackenzie, w dodatku Specjalny Asystent Zarządcy na Tytanie i tak dalej. W najgorszym razie, ale mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, powiemy, że twoje życzenie było oficjalne.

- Oczywiście w pełni to rozumiem i bardzo doceniam to, co dla mnie robisz. Nie zawiodę cię.

- Musimy tylko ustalić czas. Jeśli wszystko pójdzie gładko - a nie ma powodu, by stało się inaczej - wykonam moją pracę w ciągu dwóch godzin i będę mógł odprawić moich asystentów. Znikną jak meteory, na pewno już mają coś w planach, tego jestem pewien, więc miejsce będzie do naszej dyspozycji. Zadzwoń do ciebie o drugiej lub zaraz gdy tylko będzie możliwe.

- Mam nadzieję, że to nie stoi na przeszkodzie żadnym twoim planom, hmm, osobistym?

- Ani trochę, czar nowości dla mnie już trochę wyblakł. Z czego się śmiejesz?

- Właśnie zdałem sobie sprawę - odpowiedział Duncan - że gdyby ktoś przyłapał nas dwóch razem o drugiej w nocy w Punkcie Zwrotnym, mielibyśmy doskonałe alibi.

Duncan miał jednak słabe poczucie winy, gdy płynął korytarzem za Warrenem Mackenziem. Nieważki - ale z pewnością nie bezsenne - statek mógł wydawać się opuszczony, bo nie było teraz powodu, by ktokolwiek schodził poniżej ładowni na poziomie trzecim. Nie musieli więc nawet udawać, że zmierzają na niewinną schadzkę.

Poczucie winy go nie opuszczało i doskonale wiedział dlaczego. Wykorzystywał przyjaciela dla swoich tajnych celów, twierdząc, że jego zainteresowanie Napędem Asymptotycznym nie jest niczym więcej niż zainteresowaniem człowieka, który liznął w życiu trochę inżynierii. Ale może Warren nie był aż tak naiwny, jak się wydawał; w zasadzie nie mógł nie wiedzieć, że napęd ten stanowi zagrożenie dla całej ekonomii społeczeństwa, z którego wywodził się Duncan. W taktowny sposób być może nawet starał się mu pomóc.

- Możesz być rozczarowany - powiedział Warren, gdy mijali włączający poziomy drugi i trzeci. - Tam jest niewiele do oglądania. Ale to co widać, może wielu przyprawić o koszmary, dlatego nie wpuszczamy tu nikogo.

To chyba nie najważniejszy powód - pomyślał Duncan. Napęd w zasadzie nie był tajemnicą; istniało mnóstwo literatury na jego temat, od najbardziej ezoterycznych dokumentów matematycznych aż do opisów tak uproszczonych, że zawierających się w zdaniach typu: „Zapinasz pasy i w drogę”. Można było za to powiedzieć, że ziemski Urząd Transportu Kosmicznego był zastanawiająco wykrętny, gdy przychodziło omówić praktyczne szczegóły, i tylko wybrany personel dopuszczony był do pomniejszej asteroidy, na której napęd był produkowany. Znanych było kilka rozmazanych zdjęć asteroidy 4,587, na których widać było dwie cylindryczne struktury ponad tysięczkilometrowej długości wystające w kosmos z obu stron małego światka, który był tylko prawie niewidoczną plamką pomiędzy nimi. Wiadomo było, że są to akceleratory miażdżące materię przy takich prędkościach, że topiąc się tworzyła węzeł czy też osobliwość będącą sercem napędu. To była cała informacja dostępna poza UTK.

Duncan płynął kilka metrów za swoim przewodnikiem korytarzem pełnym rur i kabli na ścianach, całą tą anonimową hydrauliką każdego pojazdu morskiego, powietrznego czy kosmicznego na przestrzeni ostatnich trzystu lat. Jedyne znacząca liczba uchwytów i znacząca ilość gęstego obicia zdradzały, że jest to wnętrze pojazdu przystosowanego do stanu nieważkości.

- Widzisz tę rurkę? - spytał Warren. - Tę małą czerwoną?

- Widzę. Co to jest?

Duncan z pewnością nie spojrzałby na nią po raz drugi, była nie grubsza od ołówka.

- To jest główny dopływ paliwa. Możesz wierzyć albo i nie. Tędy płynie sto gramów wodoru na sekundę, jakieś osiem ton dziennie przy maksymalnym ciągu.

Duncan zastanowił się, co też dawni projektanci raket pomyśleliby o tej cienkiej rurce. Spróbował wyobrazić sobie gigantyczne rury i pompy Saturnów, które pierwsze wyniosły człowieka na Księżyc; ciekawe, ile one spalały. Był pewien, że konsumowały więcej paliwa na sekundę niż Syriusz przez cały dzień. To była niezła miara tego, ile technologia osiągnęła w ciągu ostatnich trzystu lat. A za kolejne trzysta?...

- Uważaj na głowę, to są zwoje odchylające. Nie ufamy tradycyjnym nadprzewodnikom, te są kriogeniczne.

- Zwoje odchylające? Po co?

- A zastanawiałeś się kiedyś, co by było, gdyby ten strumień ognia dotknął kiedyś poszycia statku? Zwoje trzymają go w odpowiedniej pozycji, a poza tym dają nam nad nim pełną kontrolę wektorową.

Wisielei teraz obok masywnego - a jednak zdumiewająco małego - cylindra, który mógłby być lufą XX-wiecznego działka pokładowego. Więc to była komora reakcyjna napędu, trudno było nie czuć niemal przesadnego strachu przed tym, co znajdowało się zaledwie kilka centymetrów od nich. Duncan łatwo mógłby objąć metalową rurę ramionami, dziwnie było móc objąć rękami osobliwość, a więc jak twierdziły niektóre teorie, cały wszechświat...

Mniej więcej pośrodku pięciometrowej rury mały fragment obudowy został zdemontowany, jak drzwi do miniaturowego skarbca w banku, i zastąpiony kryształową szybą. Przez to oczywiście tymczasowe otwarcie wniknął mikroskop zamontowany na ruchomym ramieniu, które mogło być zdemontowane po użyciu.

Inżynier przyczepił się w wygodnej pozycji przy okularze mikroskopu i delikatnie pokręcił śrubą mikrometryczną.

- Popatrz - powiedział, gdy był zadowolony z ustawienia.

Duncan podpłynął do okularu i przytwierdził się niezręcznie do stanowiska. Nie wiedział, co może tam zobaczyć, i pamiętał, że oko musi się przyzwyczaić, nim będzie mogło wysłać zrozumiałe sygnały do mózgu. Wszystko, co było kompletnie niezrozumiałe, mogło pozostać całkiem dosłownie niewidoczne, więc po pierwszym spojrzeniu nie był zanadto zawiedziony.

To co zobaczył, było doskonale zwyczajne: siatka z linii grubości włosa krzyżujących się pod kątem prostym, taka jakich używa się do pomiarów optycznych. Choć przyglądał się uważnie jasno podświetlonemu polu widzenia, nic innego nie znalazł; równie dobrze mógłby patrzeć na czystą kartkę papieru technicznego.

- Przyjrzyj się przecięciu linii na samym środku - doradził Warren - i bardzo powoli przekręć gałkę w lewo. Pół obrotu wystarczy, w dowolną stronę.

Duncan posłuchał go, ale wciąż przez kilka sekund nie był w stanie nic dostrzec. W końcu zauważył, że maleńkie wybrzuszenie przesuwają się po linii, gdy tylko poruszał gałką. Wyglądało to tak, jakby patrzył na siatkę przez szklaną tafłę z jednym maleńkim bąbelkiem powietrza lub inną skazą.

- Widzisz?

- Tak - ledwo. Jakby soczewka rozmiaru główki szpilki. Bez siatki w życiu bym jej nie dostrzegł.

- Szpilki! To największa przesada, jaką słyszałem. Węzeł jest mniejszy od jądra atomu. Nie widzisz go oczywiście, jedynie zniekształcenie, jakie wywołuje.

- A jednak są w nim tysiące ton materii!

- Tysiąc lub dwa - powiedział inżynier wymijająco. - Miał już dwanaście lotów i jest bliski nasycenia. Wkrótce będziemy musieli zainstalować nowy. Oczywiście ten mógłby nadal zasysać wodór tak długo, jak byśmy go karmili, ale nie możemy wozić ze sobą tyle niepotrzebnej masy, bo odbije się to na wydajności pojazdu. Zupełnie jak dawne statki morskie: obrastały glonami i bardzo zwalniały, jeśli ich często nie czyszczono.

- Co się robi ze starymi węzłami, gdy stają się zbyt ciężkie? Czy to prawda, że wrzuca się je do Słońca?

- To nie miałyby sensu, węzeł przeleciałby przez Słońce i wyleciałby po drugiej stronie. Prawdę mówiąc, nie wiem, co się robi z tymi starymi. Być może łączy się je w jedną wielką cząsteczkę? Mniejszą od neutronu, ale ważącą miliony ton?

Duncan miał jeszcze tuzin innych pytań. Jak transportowano te maleńkie, acz niewyobrażalnie ciężkie obiekty? Teraz, gdy Syriusz poruszał się swobodnie, Węzeł pozostawał oczywiście na swoim miejscu - ale co trzymało go wewnątrz rury, gdy tylko pojawiała się przyspieszenie? Duncan sądził, że musiała to być kombinacja potężnych pól elektrycznych i magnetycznych.

- A co by było - spytał Duncan - gdybym spróbował go dotknąć?

- Wiesz, absolutnie wszyscy o to pytają.

- Nie dziwię się. Jak brzmi odpowiedź?

- No cóż, musiałbyś najpierw rurę rozhermetyzować, a gdy tylko dostałoby się do środka powietrze, zaczęłoby się istne piekło...

- To spróbujmy inaczej. Jestem w skafandrze, wczługuję się do środka tej rury, wyciągam palec...

- Bardzo mądrze! Ale gdybyś tak zrobił, gdyby choć opuszek twojego palca dostał się do środka - nie więcej niż milimetr - fale sił grawitacyjnych zaczęłyby się o niego rozbijać. Gdy tylko pierwszych kilka atomów znalazłoby się w tym polu, musiałyby oddać równowagę swojej masy i energii, a ty byś pomyślał, że prosto w twarz wybuchła ci mała bomba wodorowa. Eksplozja najpewniej wyrzuciłaby cię z rury z prędkością dosyć bliską prędkości światła.

Duncan zaśmiał się nerwowo.

- No to trzeba by niezłego mądrali, by wykraść ci to чудо. Nie masz przez nie koszmarów?

- Nie, to jest narzędzie, które umiem obsługiwać i rozumiem jak działa. Nie umiałbym sobie wyobrazić siebie za to z działem laserowym, one mnie przerażają. Wiesz, stary Kipling jak zwykle świetnie to ujął. Pamiętasz, jak o nim rozmawialiśmy?

- Tak.

- Napisał wiersz pod tytułem „Sekret Maszyn”, jest w nim kilka wersów, które często sobie tutaj powtarzam:

Lecz pamiętaj Prawo, które nami rządzi
Nie jesteśmy po to, by kłamstwo osądzić
Miłość, przebaczenie są nam równie obce
Jeśli błąd popełnisz to już z tobą koniec

- I to dotyczy wszystkich maszyn - wszystkich sił naturalnych, których nauczyliśmy się używać. Nie ma żadnej różnicy między ogniem pierwszego jaskiniowca a osobliwością w sercu Napędu Asymptotycznego.

Godzinę później Duncan leżał bezsennie w swoim pośłaniu, czekając, aż Napęd zostanie włączony, a Syriusz zacznie zwalniać, by w końcu bezpiecznie dotrzeć na Ziemię. Wciąż widział tę niewielką skazę w strukturze kosmosu, wiszącą w polu widzenia mikroskopu, i wiedział, że ten widok będzie go prześladował do końca życia. I wiedział też, że Warren Mackenzie nie zdradził żadnej tajemnicy; wszystko, co dziś usłyszał, było opisane już tysiące razy. Ale żadne słowa ani zdjęcia nie są w stanie oddać tego emocjonalnego wrażenia, jakiego dziś doświadczył.

Zaczęły go szarpać jakieś małe palce, na Syriuszu wracała grawitacja. Z bardzo daleka dobiegł dźwięk zawrota Napędu. Duncan powiedział sobie, że słucha płaczu umierającej materii oddającej statkowi całą swą energię i masę w chwili ostatecznego rozpadu. Z każdą minutą kilka kilogramów wodoru wpadało do tego maleńkiego, nienasyconego wiru - dziury, której nie dało się zapełnić.

Duncan źle spał tej nocy. Śniło mu się, że sam też spadał i spadał w jakiś nieskończony odmet, nieskończenie głęboko. Gdyby upadł, zostałby rozbity na molekuly, atomy, skurczony do nieskończenie małych rozmiarów. W jednej chwili wszystko by zniknęło wraz z nim w pojedynczym błysku promieniowania...

Moment ten nigdy nie nastąpił, ponieważ w kosmosie czas rozciąga się nieskończenie, mijające sekundy stają się coraz dłuższe... i dłuższe - aż w końcu został na zawsze uwięziony w niezmiennej wieczności.

Rozdział szesnasty

Port Van Allen

Gdy Duncan po raz ostatni na pokładzie Syriusza kładł się spać, Ziemia wciąż znajdowała się w odległości pięciu milionów kilometrów. Wydawała się teraz wypełniać niebo - i wyglądała dokładnie jak na zdjęciach. Śmiał się, gdy starsi podróżni uprzedzali go przed tym zdumiewającym widokiem, teraz był gorzko zdumiony sam sobą i swoim wzruszeniem.

Statek przeciął ziemską orbitę i zbliżali się od strony Słońca. Hemisfera poniżej była doskonale oświetlona. Białe kontynenty chmur przykrywały niemal całą tę stronę, na której trwał dzień, i tylko gdzieś widać było ląd, bez mapy niemożliwy do zidentyfikowania. Najlepiej widoczna była biała, lodowa czapa Antarktydy; na dole musi być bardzo zimno - pomyślał Duncan i szybko zdał sobie sprawę z tego, że w porównaniu z jego światem tu i tak były tropiki.

Ziemia była piękną planetą, co do tego nie było wątpliwości. Ale była też obca, jej biało-niebieskie barwy nie ocieplały tego wizerunku. To był prawdziwy paradoks, że Tytan ze swoimi pomarańczowymi chmurami wyglądał z kosmosu dużo gościnniej.

Duncan został w salonie B, gdzie podziwiał zbliżającą się Ziemię i żegnał z tymczasowymi przyjaciółmi, dopóki Port Van Allen nie rozbłysł niczym mała gwiazda na czarnym tle kosmosu. Później przybrał kształt połyskującego pierścienia, a jeszcze później gigantycznego powoli obracającego się koła. Waga stopniowo zanikała, a Napęd, który przywiódł ich tu z drugiego końca Układu Słonecznego, zmniejszał ciąg aż do zera; później były już tylko lekkie szarpnięcia, gdy silniki delikatnie korygowały kurs.

Stacja kosmiczna wciąż się powiększała, jej rozmiary były niewiarygodne, nawet biorąc pod uwagę trzysta lat jej ciągłego rozwoju. Teraz całkiem przesłoniła planetę, której handlem zarządzała. Chwilę później ledwo wyczuwalna wibracja dała pasażerom sygnał, że statek przycumował. Kapitan potwierdził to po kilku sekundach.

- Witamy w Port Van Allen, bramie do Ziemi. To była prawdziwa przyjemność podróżować z państwem, życzę udanego pobytu na Ziemi. Proszę postępować zgodnie z zaleceniami stewardów i upewnić się, że żadne rzeczy osobiste nie pozostały w kabinach. Z przykrością muszę też przypomnieć, że troje pasażerów nie uiszcilo jeszcze swoich rachunków, ochmistrz będzie oczekiwał na te osoby przy wyjściu.

Kilka drwiących pomruków było reakcją na tę informację, ale szybko zostały zagłuszone hałasami schodzenia z pokładu. Choć wszystko miało być dokładnie zaplanowane, chaos był nieokiełznany. Pasażerowie kierowali się do niewłaściwych wyjść, podczas gdy z głośników wywoływano osoby z nieprawdopodobnymi nazwiskami. Duncan dostał się do portu dopiero po godzinie, a bagaże dostarczono mu dopiero dwa dni później.

Zamieszanie osłabło wreszcie, gdy ludzie precyzyjnie przeszli przez wąski dok i ustawili się w odpowiednich miejscach na stacji. Duncan uważnie słuchał instrukcji i wraz ze swoją alfabetyczną grupą stanął w kolejce do Urzędu Kwarantanny. Wszystkie pozostałe formalności były dopełnione od wielu godzin drogą radiową, teraz czekało go coś, z czym elektronika poradzić sobie nie mogła. Zdarzało się, że pasażerów zawracano w tym miejscu, niemal na progu Ziemi, i Duncan czekał na swoją kolej nie bez obawy.

- Nie mamy zbyt wielu gości z Tytana - powiedział oficer medyczny, który sprawdzał jego kartę. - Klasyfikujesz się do grupy księżycowej, mniej niż ćwierć g. Pierwszy tydzień na dole może być dość ciężki, ale młody jesteś i szybko się przyzwyczaisz. To zawsze pomaga jeśli oboje rodzice pochodzą z...

Lekarz umilkł w pół zdania, gdy doszedł do pola MATKA. Duncan był już przyzwyczajony do takiej reakcji i od dawna się tym nie przejmował. Bawiło go nawet zakłopotanie, w jakie popadali zwykle urzędnicy w tym miejscu. Oficer medyczny nie zadał przynajmniej głupiego pytania, jakie często przychodziło do głowy laikom i na które już dawno miał przygotowaną odpowiedź: - Oczywiście, że mam pepek, najlepszy, jaki dało się kupić.

Inny powszechny mit - że sklonowani mężczyźni muszą być ponad normę męscy, „ponieważ mają podwójnego ojca” mądrze pozostawiał bez komentarza. Kilka razy nieźle na tym wyszedł.

W kolejce czekało jeszcze sześć innych osób, doktor więc zwalczył w sobie zawodową ciekawość i wysłał Duncana „na górę”, do tej sekcji stacji, gdzie panowały typowo ziemskie warunki. Zdawało się, że winda porusza się całe wieki po jednej ze szprych gigantycznego koła i gdy wreszcie dotarła na obręcz, Duncan czuł się już bardzo ociężały.

Drzwi otworzyły się i na uginających się nogach wyszedł z klatki. Choć znajdował się wciąż tysiąc kilometrów nad powierzchnią Ziemi, a jego nowa waga była całkowicie sztucznie wywołana, czuł, że planeta miała go już w swoim okrutnym uścisku. Gdyby nie zdołał zdać tego testu, odesłano by go z powrotem do domu.

Co prawda dla tych, którzy nie zdali, przygotowane były szybkie treningi wzmacniające, były one jednak przeznaczone głównie dla powracających mieszkańców

Księżycu. Dla tych, którzy nie spędzili większości dzieciństwa na Ziemi - a więc i dla Duncana - trening taki mógłby być niebezpieczny i najprawdopodobniej nie dopuszczono by go do niego.

Szybko jednak zapomniał o tych lękach, gdy wszedł do pomieszczenia i zobaczył Ziemię wypełniającą pół nieba i przesuwającą się wzdłuż wielkich okien, które zresztą same w sobie stanowiły cud kosmicznej techniki. Duncan nie zastanawiał się nawet, ilu tonom powietrza muszą dawać odpór, i gdy podszedł do najbliższego, łatwo wyobraził sobie, że nic kompletnie nie oddziela go od próżni kosmosu. Dziwne, zarazem radosne i straszne uczucie.

Miał zamiar wypełnić listę kontrolną, którą dostał od lekarza, ale ten niezwykle widok uniemożliwił mu to. Stał jak zamurowany, przerzucając tylko swoją nową wagę z nogi na nogę, gdyż nieznanne mu dotąd mięśnie zaczęły wyraźnie narzekać.

Port Van Allen okrążył Ziemię w ciągu dwóch godzin, obracał się też wokół własnej osi trzy razy na minutę. Po chwili Duncan odkrył, że potrafi ignorować obrót stacji; jego mózg był w stanie go nie zauważać, jak nieistotnego szumu w tle czy stałego ale neutralnego zapachu. Gdy tylko osiągnął ten stan, zaczął sobie wyobrażać, że jest sam we wszechświecie, ludzki satelita przelatujący z dnia w noc nad równikiem. Ziemi wyraźnie przybywało, gdyż zaokrąglona linia zmroku oddalała się powoli w miarę jego przesuwania się na wschód.

Jak zwykle lądu prawie nie było widać, a to co przeblyskiwało spod chmur, zdawało się nie mieć żadnego związku z mapami. Z tej wysokości nie było też widać najmniejszego znaku życia ani tym bardziej inteligencji. Trudno było uwierzyć, że większość historii ludzkości miała miejsce pod tym białym dywanem i że dopiero trochę ponad trzysta lat temu pierwsi ludzie nauczyli się wznosić ponad chmury.

Wciąż jeszcze szukał śladów życia, gdy dysk znów zaczął się kurczyć, a z głośników zaczęto nawoływać pasażerów do wyjść numer dwa i trzy, skąd mieli udać się na Ziemię.

Miał czasu tylko tyle, by skorzystać z łazienki, równie słynnej jak okna, i znów zjeżdżał windą na terminal odlotów, gdzie w zupełnej nieważkości przygotowywano prom orbita-Ziemia.

W promie nie było okien, ale każdy z pasażerów miał swój ekran wizyjny zamontowany na fotelu przed sobą. Można było wybrać widok z przodu, z tyłu lub z dołu promu. Wybór nie był całkiem wolny, ale tego nie rozgłaszano. Nieprzyjemne obrazy - jak ostatnie chwile cumowania czy lądowania - były umyślnie cenzurowane przez pokładowy komputer.

Miło było znów nic nie ważyć - nawet jeśli stan ten miał trwać jedynie pięćdziesiąt minut potrzebnych do wejścia w atmosferę - i oglądać, jak Ziemia powoli z planety

przeobrażała się w świat. Krzywa horyzontu stawała się coraz bardziej płaska, widać było skrawki wysp i spiralną mgławicę wielkiego huraganu szalejącego w milczeniu gdzieś poniżej. Wreszcie coś, co Duncan umiał rozpoznać: wąski skrawek wybrzeża Kalifornii. Prom spadał znad Pacyfiku w kierunku swojej naziemnej bazy, wciąż odległej o setki kilometrów.

Przelatywali teraz nad górami, z tej odległości niemal całkiem płaskimi, i nagle pojawił się pod nimi krajobraz niemal marsjański - pocięty przecinającymi się kanionami. To musi być Colorado - pomyślał Duncan - no i znów zaczyna się grawitacja.

Czuł, jak zapada się głębiej i głębiej w doskonale obitym fotelu, który tak dobrze rozłożył ciężar, że Duncan prawie nie czuł dyskomfortu. Trudno było mu jednak oddychać, dopóki nie przypomniał sobie rady z „Podręcznika dla pasażerów”, który udało mu się w końcu przejrzeć. Nie należało próbować brać głębokich oddechów, a raczej krótkie ostre wdechy i wydechy, by odciążyć mięśnie klatki piersiowej. Spróbował i zadziałało.

Nagle rozległ się huk i promem zatrzęsło, ekrany wizyjne rozbłysły płomieniami towarzyszącymi wejściu w atmosferę i momentalnie przełączyły się automatycznie na widok z rufy statku. Kaniony i pustynie znikwały w tyle, a na ich miejsce pojawiły się jeziora - najwyraźniej sztuczne - z widocznymi wyraźnie maleńkimi plamkami łodzi. Duncan zauważył wielki ślad w kształcie litery V, długi na kilometry, zapewne jakiejś łodzi poruszającej się po wodzie z ogromną prędkością, choć z tej wysokości ruchu w zasadzie nie było widać.

Potem widok zmienił się zaskakująco gwałtownie. Przez chwilę zdawało mu się, że znów lecą nad oceanem, tak jednolity był widok poniżej. Z tej wysokości nie był w stanie dostrzec poszczególnych drzew, ale lecieli właśnie nad bezgranicznymi lasami amerykańskiego Midwestu.

To naprawdę był dowód życia, i to na taką skalę, jakiej nie mógłby sobie wyobrazić. Na całym Tytanie rosło mniej niż sto drzew, ludzie dbali o nie i chronili je z najwyższą starannością. Pod nim rozciągały się ich niezliczone miliony.

Duncan natknął się gdzieś na określenie „puszcza pierwotna” i słowa te przypomniały mu się teraz od razu. Tak musiała wyglądać Ziemia przed tysiącleciami, nim jeszcze człowiek zaczął zmieniać ją siekierą i ogniem. Dziś, u zmierzchu ery rolnictwa, Ziemia zaczynała wracać do swojego pierwotnego stanu.

Choć trudno było w to uwierzyć, Duncan wiedział, że „pierwotna puszcza” rozciągająca się pod nim bezkresnie nie była starsza niż jego dziadek. Jeszcze dwa wieki temu wszystko to było terenem rolniczym, poszatkiwanym gigantyczną szachownicą pól

uprawnych, a jesienią pokrytym złotym zbożem. (Kwestia tych tutejszych pór roku była jeszcze jedną rzeczą, której nie umiał pojąć). Na świecie wciąż jeszcze istniało wiele farm, prowadzonych przez ekscentrycznych hobbistów lub organizacje badań biologicznych, ale zniszczenia dwudziestego wieku nauczyły ludzi nigdy więcej nie polegać na technologii, której efektywność wynosiła w najlepszym razie jeden procent.

Na zachodzie Słońce zachodziło z nienaturalną prędkością, wynikającą z prędkości ruchu promu. Zatrzymało się nad horyzontem na kilka sekund i zaraz zniknęło. Las był widoczny może jeszcze przez minutę, po czym utonął w mroku.

Ale nie w ciemności. Jakby za przyczyną magicznej różdżki drobne linie światła rozbłysnęły na dole - pajęczyny światła rozciągające się jak okiem sięgnąć. Gdzieś trzy lub cztery linie spotykały się w jaśniejszym punkcie; były też oddzielne wyspy światła, najwyraźniej niepołączone z główną siecią. To był kolejny dowód obecności człowieka, ten wielki las był gęściej zamieszkały, niż wydawało się za dnia. Duncan nie mógł powstrzymać się jednak od porównywania tego widoku ze starymi zdjęciami z początków ery atomowej, gdy miliony kilometrów kwadratowych błyszcząły w nocy z taką siłą, że ludzie na Ziemi nie mogli nawet obserwować gwiazd.

Nagle dostrzegł osobną konstelację mrugających światła poruszającą się niezależnie od krajobrazu poniżej. Przez chwilę nie wiedział, co to jest, aż w końcu uświadomił sobie, że patrzy na duży statek powietrzny, poruszający się nie szybciej niż chmury ze swoim ładunkiem towarów lub pasażerów. To było jedno z tych doświadczeń, jakich na Tytanie brakowało. Postanowił spróbować takiego lotu, gdy tylko będzie miał okazję.

Wreszcie pojawiło się miasto - całkiem duże, przynajmniej stutysięczne. Prom był już tak nisko, że z łatwością można było dostrzec budynki, drogi, parki oraz jasno oświetlony stadion, zapewne arenę jakichś wydarzeń sportowych. Miasto zostało z tyłu i po chwili wszystko zniknęło w szarej mgłę oświetlanej mrugającymi reflektorami, niezbyt imponującej wedle standardów z Tytana. Wewnątrz kabiny nie słychać było burzy, przez którą właśnie przelatywali, ale wibracja silników brzmiała teraz inaczej i poczuł, że prom opada gwałtownie. Mimo to kompletnie zaskoczył go moment, w którym nastąpił nagły wzrost wagi i delikatny wstrząs, a na ekranie pojawiło się morze mokrego betonu, ogromna ilość światła oraz kilka autobusów i pojazdów serwisowych poruszających się szybko w ulewnym deszczu.

Po trzydziestu latach Duncan Makenzie wrócił do świata, w którym się urodził, ale którego nigdy nie widział.

Część III

Ziemia

Rozdział siedemnasty

Washington, D. C.

- Przepraszam za pogodę - powiedział George Washington. - Mieliśmy tu kiedyś urzędzenia do lokalnej kontroli klimatu, ale zrezygnowaliśmy z nich, gdy parada z okazji Dnia Niepodległości utknęła w śniegu.

Duncan zaśmiał się grzecznie, choć nie był pewien, czy powinien uwierzyć w tę historię.

- Nie przeszkadza mi to - powiedział. - Pierwszy raz widzę prawdziwy deszcz.

Nie całkiem była to prawda. Często poruszał się w amoniakowych burzach i doskonale pamiętał kaskady trującego płynu spływające po szybie zaledwie kilka centymetrów przed jego oczami. Ten deszcz był jednak nieszkodliwy - co więcej, był dobroczynny - wszak woda to źródło życia zarówno tutaj, jak i na Tytanie. Gdyby otworzył teraz drzwi, być może przemókłby doszczętnie, na pewno jednak by nie umarł. Wypracowane przez całe życie instynkty samozachowawcze były jednak trudne do przezwyciężenia i wiedział, że opuszczenie limuzyny wymagałoby od niego teraz dużego wysiłku woli.

Limuzyna też była całkiem prawdziwa - kolejna nowość dla Duncana. Nigdy wcześniej nie podróżował w tak rozpustnym wręcz luksusie, z konsolą komunikacyjną po jednej stronie i świetnie wyposażonym barkiem po drugiej. Washington dostrzegł jego pełne podziwu spojrzenie i skomentował:

- Robi wrażenie, co? Teraz już się takich nie produkuje. To był ulubiony samochód prezydenta Bernsteina.

Duncan nie pamiętał dokładnie wszystkich amerykańskich prezydentów - w końcu teraz było ich już dziewięćdziesięciu pięciu - ale z grubsza potrafił ulokować Bernsteina w czasie. Obliczył to sobie szybko, nie uwierzył i policzył raz jeszcze.

- To znaczy, że ten samochód ma ponad sto pięćdziesiąt lat!

- A wytrzyma pewnie jeszcze i drugie tyle. Oczywiście tapicerka - z prawdziwej skóry, zauważ - wymieniana jest co jakies 20 lat. Gdyby te siedzenia potrafiły mówić, miałyby całkiem ciekawe historie do opowiedzenia. Zresztą w swoim czasie, prawdę mówiąc, potrafiły, ale zapewniam cię, że teraz są całkowicie odpluskwione.

- Odpluskwione? Ach, rozumiem. Ja i tak nie mam żadnych tajemnic.

- Więc wkrótce kilku ci dostarczymy. To jedna z naszych specjalności.

Podczas gdy piękny stary samochód pędził w niemal doskonałej ciszy pod nadzorem swojego automatycznego kierowcy, Duncan próbował przyjrzeć się okolicy, przez którą przejeżdżali. Port kosmiczny znajdował się pięćdziesiąt kilometrów od miasta - nikt jak dotąd nie wynalazł bezszelestnej rakiety - a na czteropasmowej autostradzie panował spory ruch. Duncan naliczył około dwudziestu różnych pojazdów i choć wszystkie poruszały się w tym samym kierunku, widok był cokolwiek niepokojący.

- Mam nadzieję, że wszystkie te pojazdy są automatycznie sterowane - powiedział nieco zdenerwowany.

Washington wyglądał na zszokowanego.

- Oczywiście - powiedział. - Ręczne kierowanie pojazdem na drogach publicznych jest przestępstwem od co najmniej stu lat. Choć wciąż zdarzają się jeszcze psychopaci, którzy zabijają siebie i innych.

To była ciekawa uwaga. Ziemia nie rozwiązała więc jednak wszystkich swoich problemów. Jednym z największych zagrożeń społeczeństwa technologicznego byli nieprzewidywalni szaleńcy próbujący wyrazić swoją frustrację - świadomie czy też nie - poprzez sabotaż. W przeszłości zdarzały się okropne przypadki tego typu, najbardziej znane było chyba zniszczenie reaktora Gondwana na początku XXI wieku. Jako że Tytan był bardziej podatny na takie zagrożenia, Duncan chętnie pociągnąłby ten temat, jednak zaledwie godzinę po przylocie byłoby to co najmniej nietaktowne.

Był całkiem pewien, że gdyby popełnił takie faux pas, Washington zgrabnie zmieniłby temat, nie narażając go na najmniejsze zakłopotanie. W ciągu tych kilkadziesiąt minut ich znajomości Duncan zauważył, że jego gospodarz jest świetnym dyplomata, z pewnością siebie możliwą tylko u ludzi pochodzących z rodzin o wielowiekowej tradycji. Mimo to trudno byłoby sobie wyobrazić kogoś mniej pasującego do tego wykwiutnego nazwiska, ponieważ ten tutaj George Washington był niski, łysy i raczej przy tuszy, miał brązowy odcień skóry, eleganckie ubranie i nosił całe mnóstwo biżuterii. Łysina i otyłość były o tyle zaskakujące, że przecież łatwo było takie cechy poprawić. Z drugiej strony jednak dodawały mu one pewnej nobliwości, więc pewnie decyzja o ich pozostawieniu była całkowicie świadoma. Był to kolejny delikatny temat, którego Duncan wolał nie poruszać, przynajmniej dopóki nie pozna swojego gospodarza znacznie lepiej. A i wtedy być może także nie.

Samochód przejeżdżał właśnie smukłym mostem rozstawionym nad szeroką brązową rzeką. Widok takiej ilości prawdziwej wody był imponujący, nawet jeśli tego wieczoru wyglądała na bardzo zimną i ponurą.

- Potomac - powiedział Washington - ale poczekaj, aż zobaczysz go w słoneczny dzień, gdy cały muł już spłynie. Wtedy rzeka jest błękitna i mieni się od słońca, i w życiu byś nie uwierzył, że trzeba było aż dwustu lat ciężkiej pracy, by ją do takiego stanu przywrócić. A to kompleks Watergate, oczywiście rekonstrukcja - oryginał zburzono około 2000 roku, choć demokraci chcieli uczynić z niego narodowy pomnik. I Centrum Kennedy'ego - z grubsza oryginalne. Raz na jakieś pięćdziesiąt lat architekci próbują je ratować, ale teraz już się chyba poddadzą.

Byli więc w Waszyngtonie. Miasto wciąż grzało się (choć akurat tej nocy niezbyt dosłownie) w swej dawnej chwale. Duncan czytał, że wygląd stolicy nie zmienił się zbytnio w ciągu ostatnich trzystu lat i rzeczywiście łatwo było w to uwierzyć. Większość dawnych budynków rządowych i publicznych została zachowana z całą dbałością o szczegóły, w ten sposób, jak mówili krytycy, powstało największe zamieszkałe muzeum na świecie.

Nieco później samochód skręcił w drogę wiodącą wśród wspaniale utrzymanych trawników. Z panelu kontrolnego dobiegło ich delikatne brzęczenie, a nad kierownicą rozświetlił się napis: PRZEJDŹ DO TRYBU RĘCZNEGO. George Washington chwycił kierownicę i z ostrożną prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę jechał dalej wśród kwiatów i rzeźbionych żywopłotów. Zatrzymał się przy wejściu do widocznie bardzo starego budynku, który wydawał się zdecydowanie zbyt wielki, by być prywatną posiadłością, ale też zbyt mały jak na hotel. Widniała na nim jednak tabliczka z napisem tak wyszukany, że aż trudnym do odczytania: HOTEL JUBILEUSZOWY.

Profesor Washington miał niezwykle dar odpowiadania na pytania, których jeszcze nie zdążono zadać:

- W XIX wieku wybudował go baron kolejowy. Chciał mieć gdzie zabawiać kongresmenów i inwestycja zwróciła mu się z kilkoma tysiącami procent zysku. Przejeliśmy budynek na czas obchodów, większość oficjalnych gości będzie tu mieszkać.

Ku zdumieniu Duncana - ale też ku jego skrępowaniu, jako że obsługa osobista na Tytanie była zupełnie nieznana - jego skromny bagaż pochwycili dwaj czarni dżentelmeni ubrani we wspaniałe liberie. Jeden z nich zwrócił się do niego w miękkim, melodyjnym języku, z którego Duncan nie zrozumiał ani słowa.

- Przesadzasz, Henry - delikatnie upomniał go Washington. - Może i jest to najprawdziwszy żargon niewolników, cóż z tego jednak, jeśli rozumieją go wyłącznie historycy języka tacy jak ty? I skąd ty masz taki makijaż? Mnie chyba też by się przydał.

Mimo tego apelu Duncan znów nie zrozumiał odpowiedzi. Jadąc w górę pozłacaną klatką maleńkiej windy, Washington tłumaczył:

- Obawiam się, że profesor Murchison zanadto zagłębia się w ducha epoki. Ale za to widać na tym przykładzie, jaki postęp zrobiliśmy. Jeszcze kilkaset lat temu, gdyby zasugerować mu, że miałby zagrać jednego ze swoich pokorniejszych przodków, choćby tylko w trakcie jakiejś parady, urwałby ci głowę. A dziś świetnie się bawi i czuję, że trudno będzie odesłać go z powrotem na wykłady w Georgetown.

Washington spojrział na swoją pulchną brązową rękę i westchnął.

- Coraz rzadziej spotyka się prawdziwy czarny kolor skóry. Nie jestem rasowym snobem - dodał szybko - ale smutno będzie, gdy wszyscy będziemy jednakowi. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, że posiadasz cokolwiek nieuczciwą przewagę w tym względzie?

Duncan patrzył na niego przez chwilę ze zmieszaniem i bez zrozumienia. Nigdy nie zastanawiał się nad kolorem swojej skóry bardziej niż nad kolorem włosów; w gruncie rzeczy gdyby ktoś go niespodziewanie o to zapytał, miałby spory problem z natychmiastową odpowiedzią. Na pewno nigdy nie myślał o sobie jako o „czarnym”, teraz zdał sobie sprawę ze zrozumiałą satysfakcją, że był o kilka odcieni ciemniejszy niż George Washington, potomek afrykańskich królów.

Gdy drzwi pokoju zamknęły się za nim i nie musiał już niczego udawać, Duncan z ulgą rozsiadł się w jednym z wygodnych foteli. Fotel od razu przechylił się do tyłu tak zmysłowo, że uznał, iż był to model wybrany specjalnie dla gości ze światów o słabszej grawitacji. Washington był bez wątpienia świetnym gospodarzem i pomyślał chyba o wszystkim. Mimo to Duncan wiedział, że minie sporo czasu, nim poczuje się tu naprawdę komfortowo.

Oprócz grawitacji było jeszcze kilka innych rzeczy, które znacznie subtelniej przypominały mu, że nie jest u siebie. Na przykład sama wielkość pokoju - według standardów z Tytana, pomieszczenie było ogromne. A wystrój był tak bogaty, że w życiu takiego nie widział. Chyba że w historycznych sztukach teatralnych. Tutaj jednak było to jak najbardziej na miejscu, mieszkał w samym środku historii. Budynek zbudowano jeszcze, zanim po raz pierwszy ludzie zaczęli poruszać się w powietrzu, a większość mebli najwyraźniej pochodziła z epoki. Szafki pełne delikatnych szklanych naczyń, obrazy olejne, dziwne stare fotografie sztywno pozujących i dawno zapomnianych eminentów (być może nawet samego Washingtona? Nie, wtedy nie było jeszcze fotografii), ciężkie kotary - nic z tych rzeczy nie dałoby się znaleźć na Tytanie i Duncan wątpił, czy ich holograficzne odwzorowania znajdowały się choćby w zbiorach Biblioteki Centralnej.

Sama konsola komunikacyjna wyglądała, jakby pochodziła z poprzedniego stulecia. Choć wszystkie elementy były znajome - pusty szary ekran, alfanumeryczna klawiatura, obiektyw kamery i głośniki - sposób, w jaki została zaprojektowana, postarzał ją znacząco. Gdy uznał, że znów może przejść kilka kroków bez ryzyka upadku, Duncan podszedł do niej i ciężko opadł na stojące przy niej krzesło.

Model i numer seryjny znajdowały się tam gdzie zawsze, wybite na bocznej ścianie obudowy ekranu. I tak, była data, 2183. Prawie sto lat temu.

Prócz lekkiego zamazania liter *e* i *a* na przyciskach nie miała prawie żadnych śladów użytkowania. Ale też czemu miałyby je mieć maszyna niezawierająca ani jednej ruchomej części?

To było kolejne stanowcze przypomnienie, że Ziemia była bardzo starym światem i nauczyła się dbać o swoją przeszłość. Nowość sama w sobie była tylko reliktem stuleci marnotrawstwa. Jeśli jakieś urządzenie funkcjonowało w satysfakcjonujący sposób, nie zmieniano go wyłącznie z powodu nowej mody, ale tylko wówczas, gdy się zepsuło lub gdy pojawiła się fundamentalna zmiana funkcjonalna. Domowa konsola komunikacyjna - tak zwana komsola - osiągnęła technologiczną doskonałość w połowie XXI wieku i Duncan był gotów się założyć, że na Ziemi istniały jeszcze egzemplarze, które działały bez przerwy od co najmniej dwustu lat.

A nie była to nawet dziesiąta część historii tego świata. Po raz pierwszy w życiu Duncan doświadczył niemal przygniatającego poczucia niższości. Nigdy tak naprawdę nie wierzył, że Ziemianie potraktują go jak barbarzyńcę z dalekiej ciemności, teraz nie był już tego taki pewien.

Rozdział osiemnasty

Ambasada

Minisec Duncana, z którego funkcjami nie do końca się jeszcze zapoznał, był pożegnalnym prezentem od Colina. Jego poprzedni model wciąż działał co prawda bez zarzutu i żał mu było się z nim rozstawać, ale obudowa była już zniszczona i trudno było nie przyznać, że w podróż na Ziemię powinien zabrać coś bardziej eleganckiego.

‘Sec miał standardowy rozmiar wszystkich urządzeń tego typu, dopasowany do przeciętnej ludzkiej dłoni. Na pierwszy rzut oka nie różnił się bardzo od podręcznych

kalkulatorów, które do powszechnego użytku weszły pod koniec XX wieku. Miał jednak znacznie więcej zastosowań i Duncan nie umiał sobie wyobrazić życia bez niego.

Z powodu ograniczonych możliwości manewru ludzkich palców nie miał więcej klawiszy niż jego przodkowie przed trzystu laty. Każdy jednak z pięćdziesięciu przycisków miał nieskończoną ilość funkcji zależnych od trybu działania - symbol na każdym przycisku zmieniał się właśnie w zależności od wybranego trybu. W trybie alfa-numerycznym 26 przycisków wyświetlało litery alfabetu, a dziesięć pokazywało cyfry od zera do dziewięć. W trybie matematycznym litery znikaly i zastępowaly je znaki mnożenia, dzielenia, dodawania, odejmowania i wszelkich innych matematycznych funkcji.

Innym trybem był „Słownik”. ‘Sec przechowywał ponad sto tysięcy słów, których definicje wyświetlane były na małym jasnym ekranie, na którym dłuższe informacje można było przewijać strona po stronie. „Zegar” i „Kalendarz” także używały wyświetlacza, ale by poradzić sobie z większą ilością informacji, należało podłączyć urządzenie do dużo większego ekranu standardowej komsoli. Dało się to zrobić przy użyciu interfejsu optycznego zamontowanego w urządzeniu - niewielkiego nadajnika i odbiornika, operującego w ultrafiolecie. Jeśli tylko komsola i ‘sec pozostawały w zasięgu wzroku, mogły wymieniać informacje z prędkością megabajtów na sekundę. Więc gdy wewnętrzna pamięć urządzenia była zapelniona, łatwo można było dane przenieść do innego, bardziej pojemnego komputera. Albo odwrotnie: ważne dane mogły być załadowane z komputera do pamięci ‘seca.

Duncan używał go teraz w najprostszy możliwy sposób: jako dyktafonu, co dla tak potężnego urządzenia było wręcz obraźliwe. Najpierw trzeba było zająć się jednak szczególnie ważną sprawą: kwestią bezpieczeństwa.

Najlepszym hasłem powinno być łatwe do zapamiętania słowo, najlepiej takie, którego nie będzie się używać w danym kontekście. Jeszcze lepszym byłoby słowo nieistniejące, w ten sposób nigdy nie uruchomiono by ‘seca przypadkowo.

Wpadł na nie dość szybko. Istniało jedno imię, którego nigdy nie zapomni; a gdyby tak jeszcze celowo zapisać je z błędem...

Uważnie wpisał słowo KALINDY oraz serię komend ustawień pamięci. Potem odczepił niewielki mikrofon i przypiął go sobie do koszuli, nagrał kilka słów testowych i sprawdził, czy urządzenie odtwarza je tylko po podaniu poprawnego hasła.

Duncan nigdy nie prowadził pamiętnika, ale postanowił zacząć, gdy tylko przybył na Ziemię. W ciągu kilku tygodni miał spotkać więcej ludzi i odwiedzić więcej miejsc niż w całym swoim dotychczasowym życiu. Wielu z tych przeżyć z pewnością nie będzie umiał odtworzyć z pamięci po powrocie na Tytana. Postanowił nie pominąć żadnego szczegółu,

zwłaszcza że wspomnienia, jakie teraz zachowywał, będą mieć nieocenioną wartość w przyszłości. Ileż to razy na starość, zastanawiał się, będzie odtwarzał sobie te nagrania z młodości...

„12 czerwca 2276. Wciąż próbuję przyzwyczaić się do ziemskiej grawitacji, ale nie wiem, czy kiedykolwiek mi się to uda. Potrafię już jednak ustać całą godzinę bez większego bólu. Wczoraj widziałem człowieka, który dosłownie skakał, nie mogłem uwierzyć własnym oczom...

George, który myśli o wszystkim, zamówił dla mnie masażystę. Nie wiem, czy to pomoże, ale z pewnością będzie ciekawym doświadczeniem”.

Duncan przerwał nagranie i zastanowił się nad tym niedopowiedzeniem. Takie luksusy były na Tytanie skrajnie rzadkie, on sam nigdy wcześniej nie miał masażu. Bernie Patras, ów miły i wyluzowany młodzieniec, który go wczoraj odwiedził, wykazał się niezwykłą (wręcz oszałamiającą) znajomością fizjologii i dał Duncanowi kilka użytecznych rad. Specjalizował się w gościach z innych światów i polecił mu znakomite lekarstwo na problemy grawitacyjne.

- Spędzaj godzinę dziennie w kąpieli, przynajmniej przez pierwszy miesiąc. Choćbyś nie wiem jak był zajęty, nie pozwól innym zajęciom wykreślić tego ćwiczenia ze swojego planu dnia. Jeśli naprawdę musisz, to wiele rzeczy możesz robić w wannie: czytać, dyktować i tak dalej. Taki Ambasador Księżyca na przykład potrafił z wanny prowadzić briefingi, mówił, że tak lepiej mu się myśli...

To musiał być chyba mało dyplomatyczny widok - pomyślał Duncan. - Nawet w tym mieście, które widziało już chyba wszystko.

„Jestem tu już trzy dni, ale dopiero dzisiaj mam wystarczająco dużo energii, motywacji i czasu, by uporządkować myśli. Ale odtąd, przyrzekam, będę nagrywał wspomnienia codziennie.

Pierwszego dnia rano George - tak wszyscy go nazywają - zabrał mnie do ambasady, która mieści się zaledwie kilkaset metrów od hotelu. Ambasador Robert Farrell przeprosił, że nie mógł przywitać mnie w porcie kosmicznym, powiedział: Wiedziałem, że będziesz w dobrych rękach, George jest najlepszym organizatorem na świecie.

George zostawił nas samych i odbyliśmy długą prywatną rozmowę.

Poznałem Boba Farrella podczas jego ostatniej wizyty na Tytanie, trzy lata temu. Świetnie mnie pamięta, przynajmniej takie sprawiał wrażenie, które jak sądzę, jest jednak częścią sztuki dyplomacji. Był bardzo pomocny i przyjazny, ale miałem wrażenie, że trochę mnie sonduje i nie mówi wszystkiego, co wie. Rozumiem, że jest w dwuznacznej sytuacji

jako Ziemiąnin, który musi reprezentować nasze interesy. Kiedyś może to spowodować trudności, ale nie wiem, jak można rozwiązać ten problem, skoro nikt spośród urodzonych na Tytanie nie mógłby zamieszkać na Ziemi.

Na szczęście nie jest to pilny problem, bo Umowa Wodorowa nie będzie renegotjowana do 2280 roku. Ale na mojej liście było wiele pomniejszych kwestii, które będzie musiał przemyśleć. Na przykład: Czemu dostawy wyposażenia nie mogą być szybsze? Czy można jakoś poprawić rozkład lotów? Na czym utknęła kwestia wymiany studentów? - i inne równie wstrząsające pytania. Obiecał umówić mnie z ludźmi, którzy mogli wyjaśnić te sprawy, ja natomiast starałem się dać mu do zrozumienia, że chciałbym jak najwięcej czasu poświęcić na zwiedzanie Ziemi. W końcu jest naszym reprezentantem nie tylko w Waszyngtonie, ale i na całej planecie.

Wydawał się bardzo zaskoczony faktem, że chcę pozostać na Ziemi przez prawie rok, ale na tym etapie uznałem, że lepiej nie wyjawiać mu głównego powodu. Jestem pewien, że i tak sam szybko się domyśli. Kiedy taktownie zapytał o mój budżet, wyjaśniłem, że Komitet Jubileuszowy bardzo nam pomógł i że w Banku Światowym jest wciąż trochę pieniędzy Makenziech, które zdecydowałem się wykorzystać.

- Rozumiem - powiedział. - Stary Malcolm ma już ponad sto dwadzieścia lat, prawda? Nawet na Ziemi nie zostawia się wiele na fundusz społeczny.

Później dodał, choć bez entuzjazmu, że moje osobiste wydatki mogą być oficjalnie ujęte w budżet bieżący ambasady. Powiedziałem, że to ciekawa propozycja i że ją rozważę.

Zaoferował też pomoc przy tworzeniu mojej mowy, co było bardzo miłe. Gdy powiedziałem, że wciąż nad nią pracuję, przypomniał mi, że koniecznie powinienem mieć ostateczny jej zarys przed końcem czerwca, tak aby wszyscy ważni komentatorzy mogli się z nią zawczasu zapoznać. W przeciwnym razie może ona utonąć w oceanie krasomówstwa Czwartego Lipca. Była to celna uwaga, o której wcześniej nie pomyślałem.

- Ale czy inni mówcy nie zachowują się dokładnie tak samo? - zapytałem.

- Oczywiście - odpowiedział. - Ale ja mam przyjaciół we wszystkich ważnych mediach, a poza tym trwa teraz spore zainteresowanie Tytanem. Wciąż jesteście odważnymi pionierami na rubieżach Układu Słonecznego, rzeźbiącymi nową cywilizację wśród zupełnej dziczy. Niewielu ludzi chciałoby pewnie do was dołączyć, ale uwielbiamy słuchać o takich bohaterach.

Pomyślałem wtedy, że powinniśmy lepiej się rozumieć, i postanowiłem trochę się z nim podrażnić:

- Więc to prawda, że Ziemia staje się dekadencją?

Spojrzał na mnie z uśmiechem i szybko odparł:

- Nie, nie jesteśmy dekadency - po czym zawahał się na chwilę i dodał: - ale następne pokolenie już będzie.

Zastanawiam się, na ile był to żart.

Później przez dziesięć minut rozmawialiśmy o wspólnych znajomych, Helmerach, Wongach, Morganach i Lee. Zdaje się, że on zna wszystkich ważnych ludzi na Tytanie. Na koniec zapytał o babcię Ellen. Odpowiedziałem, że miewa się dokładnie tak samo jak zawsze, co on zrozumiał bez dalszych wyjaśnień. Wtedy wrócił George i zabrał mnie na swoją farmę... Po raz pierwszy mogłem przyjrzeć się krajobrazowi w pełnym świetle słońca. Wciąż nie mogę się otrząsnąć z wrażenia...

Rozdział dziewiętnasty

Mount Vernon

- Nie traktuj programu zbyt serio - powiedział George Washington. - Codziennie coś się zmienia. Ale twoje główne terminy - zaznaczyłem je - nie będą już przesuwane. Zwłaszcza czwarty lipca.

Duncan przejrzał małą broszurę, którą dostał, gdy wsiadali do limuzyny prezydenta Bernsteina. Dokument był zniechęcający, przepełniony wystąpieniami, przyjęciami, balami, pochodami i koncertami. W pierwszych dniach lipca mało kto w stolicy będzie miał czas na sen, a Duncan szczególnie współczuł pani prezydent Claire Hansen.

Ustalono, że w tym rocznicowym roku będzie ona nie tylko pełnić obowiązki prezydenta Stanów Zjednoczonych, ale też całej Ziemi. Ona sama oczywiście nie prosiła się o żadną z tych posad; gdyby tak było - lub gdyby pojawił się choć cień podejrzenia o takie faux pas - została by automatycznie wyeliminowana. Od blisko stu lat niemal wszystkie ważne polityczne stanowiska na Ziemi zajmowali ludzie losowo wskazani przez komputer z puli obywateli o odpowiednich kwalifikacjach. Ludzkość potrzebowała kilku tysięcy lat, by zrozumieć, że pewnych stanowisk nie można powierzać ludziom, którzy tak gorąco się o nie starają, zwłaszcza jeśli okazywaliby oni zbyt wiele entuzjazmu. Jak ujął to pewien bystry komentator polityczny: „Chcemy prezydenta, który będzie się bronił rękami i nogami przed Białym Domem, ale później postara się z całych sił, by w nagrodę za dobre sprawowanie dostać trochę wolnego”.

Duncan odłożył program, będzie jeszcze mnóstwo okazji, żeby przeczytać go później. Teraz skupił się tylko na tym, co widział za oknem. Po raz pierwszy oglądał Ziemię w pełnym świetle dnia.

Co zresztą samo w sobie już było problemem, nigdy wcześniej nie był wystawiony na tak jasne światło. I choć go ostrzegano, wciąż był zdumiony ostrym blaskiem słońca tysiąc razy jaśniejszego niż to, które delikatnie świeciło nad jego własnym światem. Gdy samochód w trybie automatycznym bezszelestnie mknął przez obrzeża Waszyngtonu, on cały czas manipulował ustawieniami swoich słonecznych okularów, aby znaleźć wreszcie odpowiedni poziom.

Był jak nowo narodzone dziecko, które po raz pierwszy ogląda świat. Niemal każdy obiekt w polu widzenia był dla niego nowością lub czymś, co znał tylko z nagrań. Wrażenia spływały do niego w takim tempie, że czuł się kompletnie zagubiony. Wreszcie uznał że najlepiej będzie skupić się na jednej tylko kategorii obiektów i ignorować całą resztę - choćby z największą siłą domagały się jego uwagi.

Na przykład drzewa. Były ich miliony, ale tego akurat się spodziewał. Czego nie przewidział, to faktu, że miały one najprzeróżniejsze kształty, rozmiary i kolory. I nie umiał nazwać żadnego z nich; jak sobie ze wstydem zdał sprawę, w gruncie rzeczy nie potrafił nazwać nawet żadnego z tych kilku drzew w Meridian Park na Tytanie. Tutaj miał do czynienia z całym złożonym wszechświatem, który jednocześnie był częścią codziennego życia ludzkości od momentu jej powstania. Nie umiał nawet ułożyć jednego zdania na ten temat, zupełnie brakowało mu słownictwa.

Albo kwiaty. Z początku Duncan nie wiedział, co ma myśleć o przypadkowych kolorowych polach pojawiających się tu i ówdzie od czasu do czasu. Kwiaty zdarzały się też na Tytanie, zwykle jednak w postaci bardzo drogich pojedynczych okazów, choć w parku rosło kilka grup po kilkanaście sztuk każda. Tutaj były tak samo niezliczone jak drzewa, choć przybierały jeszcze bardziej zróżnicowane formy. I w tym wypadku także nie znał nazw żadnego z nich. Ten świat pełen był piękna, o którym on nie umiałby opowiedzieć. Życie na Ziemi miało przynieść wiele nieoczekiwanych frustracji...

- Co to było?! - wykrzyknął nagle.

Washington przechylił się do tyłu, by przyjrzeć się temu niewielkiemu czemuś, co właśnie przemknęło przed nimi.

- Chyba wiewiórka. Pełno ich w tych lasach, i oczywiście ciągle wpadają pod koła. Tego problemu też nikt jeszcze nie umiał rozwiązać. - Przerwał i po chwili zapytał: - Zdaje się, że ty nigdy jeszcze nie widziałeś wiewiórki, prawda?

Duncan zaśmiał się ponuro, bo wcale nie było mu do śmiechu.

- Ja nigdy jeszcze nie widziałem żadnego zwierzęcia. Z wyjątkiem człowieka.

- Nie macie zoo na Tytanie?

- Nie. Dyskutujemy o tym od dawna, ale jak na razie wydaje się to zbyt skomplikowane do przeprowadzenia. A szczerze mówiąc, myślę, że większość ludzi obawia się, że coś mogłoby się popsuć. Pamiętasz plagę szczurów w kolonii księżycowej? Najbardziej jednak obawiamy się owadów. Gdyby okazało się, że mała muszka przedostała się przez system kwarantanny, zaczęłaby się światowa histeria. Mamy miłe, sterylne warunki i chcemy je utrzymać w stanie nienaruszonym.

- Hm - zamyślił się Washington. - Nie będzie ci łatwo przyzwyczać się do naszego brudnego, pełnego robali świata. A przecież bardzo wielu ludzi narzeka od dziesiątków lat, że na Ziemi zrobiło się zbyt czysto. Bzdury gadają, rzecz jasna, mamy teraz więcej dzikich obszarów niż mieliśmy od tysiąca lat.

Samochód wjechał na szczyt niewielkiego wzgórza i po raz pierwszy Duncan miał szeroki widok na całą okolicę. Widział wszystko w promieniu dwudziestu kilometrów i widok ten był poruszający. To prawda, że na Tytanie spoglądał na dużo większe - i o niebo bardziej dramatyczne - krajobrazy, ale w jego świecie były one nieubłagane zabójcze i gdy poruszał się po jego powierzchni, przed wrogim środowiskiem chronić go musiały najnowocześniejsze technologie. Nie mógł pojąć, że tutaj, gdziekolwiek by nie stanął, nie groziło mu najmniejsze niebezpieczeństwo, że wszędzie mógł oddychać swobodnie w atmosferze, która nie wysuszyłaby jego płuc w ciągu kilku sekund. Wiedza ta nie dawała mu poczucia wolności, raczej przyprawiała o zawrót głowy.

Jeszcze gorzej było, gdy spojrzał w niebo, zupełnie inne od niskiej karmazynowej pokrywy chmur nad Tytanem. Przebył połowę Układu Słonecznego, nigdy dotąd jednak nie doświadczył ogromu przestrzeni i odległości tak mocno jak teraz, gdy spoglądał na solidne białe chmury płynące przez błękitną otchłań, która zdawała się nigdzie nie kończyć. Nie miało sensu powtarzać sobie, że dzieli go od nich zaledwie dziesięć kilometrów, odległość, którą statek kosmiczny przebyłby w ułamek sekundy. Nawet gwiazdy Drogi Mlecznej nie dawały takiego poczucia nieskończoności.

Patrząc na pola i lasy ciągnące się po horyzont pod szerokim niebem, Duncan po raz pierwszy pojął ogrom planety Ziemi według jedynej miary, jaka się liczyła: skali jednego człowieka. I zrozumiał nagle ową tajemniczą uwagę, jaką Robert Kleinman rzucił przed wylotem w kierunku Saturna: „Kosmos jest mały, tylko planety są wielkie”.

- Gdybyś znalazł się tutaj trzysta lat temu - powiedział Washington z dużą satysfakcją - jakieś osiemdziesiąt procent terenu zajmowałyby domy i autostrady. Teraz to tylko dziesięć procent, a wciąż jest to jeden z najgęściej zabudowanych obszarów na kontynencie. Trochę to zajęło, ale udało nam się w końcu posprzątać bałagan, jaki zostawiło nam dwudzieste stulecie. Przynajmniej znaczącą większość, część zostawiliśmy dla przestrogi. Mamy kilka miasteczek przemysłowych w nienaruszonym stanie w Pensylwanii. Wizyta tam to niezapomniane przeżycie, ale jedno z tych, których nie chciałbyś powtórzyć.

- Najtrudniejsze w zajmowaniu się gośćmi z innych światów takimi jak ty - mówił dalej Washington po krótkiej przerwie - jest to, że zdarza mi się długo mówić o rzeczach, o których wy doskonale wiecie, ale grzecznie się do tego nie przyznajecie. Kilka lat temu wiozłem tędy statystyka z Tranquility i zrobiłem mu wspaniały wykład o zmianach populacji w regionie Virginii na przełomie ostatnich trzystu lat. Myślałem, że go to zainteresuje, i faktycznie tak było. Gdybym wtedy przygotował się tak dobrze, jak zazwyczaj to robię, wiedziałbym, że napisał wielką pracę na ten temat. Później przysłał mi jej egzemplarz z uprzejmą dedykacją.

Duncan zastanawiał się, jak dobrze Washington przygotował się do jego wizyty, bez wątplenia zadanie odrobił całkiem nieźle.

- Jestem w tych sprawach totalnym laikiem, ale powinienem pamiętać, że technologia roztapiania skał była równie istotna na Ziemi, jak i poza nią.

- Nie moja działka, ale zapewne masz rację. Gdy okazało się, że taniej i łatwiej jest wytopić dom pod ziemią niż wybudować go na powierzchni - i zamontować w środku ekrany wizyjne lepsze niż jakiegokolwiek okno - nic dziwnego, że mieszkanie na powierzchni straciło swój urok.

Samochód zwolnił, jego komputerowy mózg wykrył przed nimi zjazd z autostrady. Odbił z niej i pojechał wąską drogą, która po chwili gwałtownie zmieniła się w ledwo widoczną pokrytą trawą dróżkę. Washington przejął kierownicę na sekundę przed tym, jak na tablicy rozbłysł napis AUTOMATYCZNY KIEROWCA WYŁĄCZONY.

- Zabieram cię na farmę z kilku powodów - powiedział. - Wkrótce zaczną przybywać kolejni goście i nasze życie nabierze większego tempa. To może być ostatnia okazja, żebyśmy w ciszy i spokoju omówili razem twój program. Poza tym przybysze z innych światów w miejscu takim jak to mogą szybko nauczyć się bardzo wiele o Ziemi. Ale będąc zupełnie szczerym, prawda jest taka, że jestem bardzo dumny z tego miejsca i lubię się nim popisywać.

Zbliżali się teraz do wysokiego kamiennego muru ciągnącego się setki metrów w obu kierunkach. Duncan próbował obliczyć, ile pracy wymagało ułożenie i połączenie tych

wszystkich różnorodnych kamieni ręcznie, bo na pewno była to ręczna robota. Liczba była tak ogromna, że nie chciało mu się wierzyć.

Wielka brama przed nimi zrobiona była z *prawdziwego* drewna. Była niepomalowana i widział słoje desek. Otworzyła się automatycznie i wjeżdżając Duncan przeczytał tabliczkę. Odwrócił się do profesora zdumiony.

- Ale myślałem, że... - zaczął.

George Washington wyglądał na lekko zakłopotanego.

- To taki mój żart - przyznał. - Prawdziwe Mount Vernon jest jakieś pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód stąd. Musisz to zobaczyć.

Duncan był pewien, że to ostatnie zdanie będzie słyszał jeszcze nieraz w najbliższych miesiącach, aż do wylotu z powrotem na Tytana.

Wewnątrz murów droga - teraz pokryta ubitym żwirem - wiodła wprost przez szachownicę niewielkich pól. Niektóre z nich były zaorane, na jednym Duncan zobaczył traktor, najwyraźniej kierowany bezpośrednio przez człowieka, którego widać było na nieosłoniętym kabiną siodełku. Duncan poczuł, jakby cofnął się w czasie.

- A tak w ogóle rozpoznajesz któreś z tych zbóż? - spytał profesor.

- Obawiam się, że nie. Ale to chyba trawa, prawda?

- Cóż, w zasadzie wszystko tutaj jest trawą. Każde zboże jest trawą: jęczmień, ryż, kukurydza, pszenica, owies... Uprawiamy je wszystkie, z wyjątkiem ryżu.

- Ale dlaczego? To znaczy poza powodami naukowymi i archeologicznymi. A co z wydajnością? Czy w tym systemie nie trzeba całego kilometra kwadratowego, by wyżywić jednego człowieka?

- Być może na Saturnie. Obawiam się, że zgubiłeś kilka zer. Gdyby była taka potrzeba, ta mała farma zapewniłaby pokarm dla pięćdziesięciu osób, choć dieta ta byłaby raczej monotonna.

- Nie wiedziałem... O Boże, a to co?!

- Nie poznajesz? Żartujesz...

- Wiem, że to koń... Ale jest gigantyczny! Myślałem, że...

- No cóż, skąd mógłbyś wiedzieć. Ale poczekaj, aż zobaczysz słonia. Charlemagne jest prawdopodobnie największym żyjącym obecnie koniem. To perszeron, waży ponad tonę. Jego przodkowie wozili na grzbiecie rycerzy w pełnej zbroi. Chcesz go poznać?

Duncan chciał powiedzieć: „nie bardzo”, ale było już za późno. Washington zatrzymał samochód i ogromne stworzenie zbliżyło się do nich powoli.

Do tej pory limuzyna była zamknięta i podróżowali z włączoną klimatyzacją. Okna się teraz uchyliły i Prastara Ziemia uderzyła Duncana swoją naturalną wonią w nozdrza.

Profesor Washington pochylił się nad swoim skulonym gościem i wyciągnął w stronę okna otwartą dłoń, na której w magiczny sposób pojawiły się dwie kostki cukru. Paszcza trąciła dłoń delikatnie, jakby składała na niej pocałunek, i cukier zniknął jakby wchłonięty. Łagodne oko, z tej odległości rozmiaru ludzkiej pięści, spojrzało wprost na Duncana, który zaczął się śmiać histerycznie, gdy tylko stwór się wycofał.

- Co cię tak rozbawiło? - spytał Washington.

- Spójrz na to z mojego punktu widzenia. Właśnie spotkałem swojego pierwszego Potwora z Kosmosu. Dzięki Bogu nie był wrogo nastawiony.

Rozdział dwudziesty

Smak miodu

- Mam nadzieję, że dobrze spałeś - powiedział George Washington, gdy wyszli przed dom w jasny letni poranek.

- Całkiem nieźle, dziękuję - odpowiedział Duncan, tłumiąc ziewnięcie. Chciałby, żeby to była prawda.

Było niemal tak źle jak podczas pierwszej nocy na Syriuszu. Wtedy hałasy były mechaniczne, teraz wydawały je - *stworzenia*.

Największym błędem było pozostawienie otwartego okna na noc, ale kto mógł to wiedzieć?

- O tej porze roku nie potrzebujemy klimatyzacji - tłumaczył George. - Tym lepiej, bo jej tu nie mamy. W tym czterechsetletnim domu był problem nawet z zainstalowaniem elektryczności. Jeśli będzie ci zimno, tu masz kilka koców. Prymitywne, ale skuteczne.

Duncanowi nie było zimno, noc była bardzo łagodna. I dużo się działo w jej trakcie.

Słyszał głuchoe odgłosy, które po dłuższej chwili przypisał końskim kopytom przemierzającym nocą pola. Coś dziwnie skrzypiało i szeleściło tuż za jego oknem, był też jeden wysoki pisk, nagle urwany, który nie mógł być niczym innym, jak ostatnim krzykiem jakiejś pechowej bestyjki, którą spotkał przedwczesny koniec.

W końcu zasnął. Po chwili jednak gwałtownie zbudziła go najstraszniejsza rzecz, jakiej może doświadczyć człowiek w całkowitych ciemnościach obcej sypialni. *Coś* było w jego pokoju.

Poruszało się niemal bezszelestnie, jednak z ogromną prędkością. Trwało jakieś ciche rozgorączkowanie, a od czasu do czasu rozlegał się pisk tak wysoki, że Duncan zastanawiał się, czy mu się to wszystko nie śni. Po paru minutach uznał jednak, że fenomen jest bardzo realny. Cokolwiek to było, z pewnością umiało latać. Cóż jednak mogło poruszać się z taką prędkością w kompletnej ciemności bez zderzania się z meblami i ścianami sypialni?

Zastanawiając się nad tym, Duncan zrobił to, co każdy rozsądny człowiek zrobiłby na jego miejscu: schował się pod kołdrą. Wkrótce, ku jego wielkiej uldze, szeleszcząca zjawą z kilkoma jeszcze ostrymi piskami odleciała w noc. Gdy tylko uspokoił nerwy, wyskoczył z łóżka i zamknął okno. Mimo to dopiero po kilku godzinach jego układ nerwowy wrócił do normy.

W jasnym świetle poranka jego nocne lęki wydawały się tak głupie, jak bez wątpienia były, postanowił więc nie zadawać swojemu gospodarzowi żadnych pytań na temat tej nocnej wizyty; najpewniej był to jakiś nocny ptak lub duży owad. Wszyscy wiedzieli, że na Ziemi nie było już żadnych niebezpiecznych zwierząt, chyba że w dobrze strzeżonych rezerwach.

Stworzenia, które George najwyraźniej uparł się teraz mu pokazać, wyglądały jednak dosyć groźnie. W przeciwieństwie do Charlemagne miały wbudowaną broń.

- Spodziewam się - powiedział Washington z częściowym przekonaniem - że rozpoznasz te zwierzęta?

- Oczywiście, znam *trochę* ziemskiej zoologii. Skoro to zwierzę ma nogi z każdej strony, a do tego rogi, to nie jest to koń, ale krowa.

- Dostajesz tylko pół punktu. Nie wszystkie krowy mają rogi. A skoro o tym mowa, konie też kiedyś miały po jednym rogu, ale wymarły, gdy nie było już dziewic, które mogły je okiełznać.

Duncan nie był pewien, czy to żart, ale nagle jego uwagę coś odwróciło - to zupełnie niewiarygodne coś leciało właśnie w ich stronę.

Było niewielkie - rozpiętość skrzydeł z pewnością nie przekraczała dziesięciu centymetrów - i nadlatywało dziwnym, falującym, zygzakowym ruchem. Często zdawało się już-już przysiądać na jakimś krzaczku lub kępce trawy, ale w ostatniej chwili zmieniało zdanie. Jak żywy klejnot błyszczało wszystkimi kolorami tęczy; piękno tego stworzenia uderzyło Duncana jak nagłe objawienie. Jednocześnie jednak zadawał sobie pytanie, czemu służyć miała taka pełna energii - wręcz arogancka - cudowność.

- Co to jest? - zapytał szeptem swojego towarzysza, gdy stworzonko latało bezsensownie tam i z powrotem kilka metrów ponad trawą.

- Motyl.

Ale Duncan prawie go nie słyszał. Ta mieniąca się kolorami istota, szybująca bez wysiłku w powietrzu, sprawiła, że zapomniał o silnym polu grawitacyjnym, którego był teraz zakładnikiem. Ruszył w stronę motyla biegiem - z nieuniknionym skutkiem.

Na szczęście upadł na czystą kępkę trawy.

Pół godziny później, czując się dość dobrze, ale raczej głupio, Duncan siedział na liczącej stulecia farmie z obandażowaną kostką wyciągniętą na taborecie. Pani Washington i jej dwie młode córki przygotowywały obiad. Został tu przyniesiony niczym ranny rycerz z pola bitwy, przez dwóch silnych chłopów, którzy poradzieli sobie z jego wagą z łatwością i którzy - nie umiał tego nie dostrzec - emanowali szczególną wonią Charlemagne'a.

Dziwnie musi się mieszkać - pomyślał - w czymś, co przecież jest prawdziwym muzeum, nawet jeśli się ma takie hobby; on sam ciągle bałby się zepsuć jakiś cenny artefakt, taki jak na przykład kołowrotek, który pokazała mu pani Washington. Jednocześnie doceniał fakt, że miało to ogromny sens. Inaczej nie można było naprawdę zrozumieć przeszłości, a na Ziemi wciąż wielu było ludzi, którzy uważali to za atrakcyjny styl życia. Dwadzieścia kilka osób zatrudnionych na farmie mieszkało tu na stałe, latem i zimą. Nie umiał ich sobie wyobrazić w żadnym innym otoczeniu, nawet gdyby ich porządnie wyszorować.

Kuchnia za to była idealnie czysta, dobiegał z niej też najbardziej atrakcyjny zapach. Duncan umiał rozpoznać zaledwie kilka ze składników tego zapachu, jednego był za to pewien całkowicie, i to pomimo faktu, że dziś spotkał się z nim po raz pierwszy w życiu. Był to apetyczny aromat świeżo upieczonego chleba.

Będzie dobrze, uspokoił swój delikatny żołądek. Musiał przymknąć oczy na to, że niemal wszystko na stole wyrosło z brudu i na naturalnym nawozie i nie pochodziło z doskonale czystych chemikaliów w sterylnej fabryce. W ten sposób ludzkość żyła przez niemal całą swą historię, dopiero w ostatnim czasie pojawiły się alternatywy.

Przez jedną krótką skręcającą wnętrze chwili obawiał się, że zostanie poczęstowany prawdziwym mięsem, Washington zapewnił go jednak, że tak nie będzie. Mięso wciąż było dostępne i żadne prawo go nie zakazywało, choć wiele razy próbowano taki zakaz uchwalić. Przeciwnicy prohibicji wskazywali, że wszelkie próby prawnego forsowania zasad moralnych przynosiły zwykle efekt przeciwny od zamierzonego. Gdyby mięso było zakazane, wówczas wszyscy chcieliby go spróbować, nawet jeśli nie było to dobre dla ich zdrowia. Zresztą była to nieszkodliwa perwersja... Nieprawda - argumentowali zwolennicy ustawy - ta perwersja wyrządza nienaprawialne szkody tysiącom niewinnych zwierząt, ożywiając od dawna wymierający zawód rzeźnika. Debata ta zdawała się nie mieć końca.

Upewniony, że obiad będzie składał się z niespodzianek, ale nie z koszmarów, Duncan postanowił rozkoszować się nim tak bardzo, jak tylko będzie w stanie. I nawet mu się udało; odważnie stawiał czoła wszystkiemu, co przed nim postawiono, trzecią część odrzucając po pierwszym kęsie, tyle samo tolerując, a resztę połykając z wielkim smakiem. Okazało się, że nie było niczego, co bardzo by mu nie smakowało, ale niektóre potrawy miały smak zbyt dziwny lub zbyt skomplikowany, by docenił je od razu. Ser na przykład był zupełną nowością. Podano sześć różnych jego rodzajów i spróbował każdego. Czuł, że po jakimś czasie mógłby nawet rozsmakować się w dwóch ostatnich gatunkach. Tyle że nie był to najlepszy pomysł, jako że chemików na Tytanie trudno było przekonać do wprowadzania nowych wzorów smaków w ich syntezytorach żywności.

Niektóre produkty wyglądały całkiem znajomo, takie ziemniaki czy pomidory smakowały tak samo jak wszędzie indziej w Układzie Słonecznym. Spotkał się już z nimi wcześniej, znał je jako luksusowe towary farm hydroponicznych, ale nigdy nie potrafił wzbudzić w sobie większego dla nich entuzjazmu, skoro kosztowały po kilkanaście solarów za kilogram.

Danie główne było, hmm, interesujące. Były to cynaderki zapiekane w cieście i być może ta niezachęcająca nazwa trochę go zniechęciła. Doskonale wiedział że wszystkie składniki zrobione są na bazie wysoko proteinowej soi. Washington przyznał, że to jedyny element nie wyhodowany na farmie, ponieważ potrzebna do tego technologia była nazbyt skomplikowana.

Deser nie był problemem, składał się z wielu różnych owoców, w większości nieznanymi Duncanowi nawet z nazwy. Niektóre były mdłe w smaku, inne bardzo przyjemne, ale czuł, że wszystkie były absolutnie bezpieczne. Szczególnie smakowały mu truskawki, choć nie tknął śmietankowego kremu, z którym były podane, gdy odkrył metodą taktownego wypytywania, w jaki dokładnie sposób śmietana jest produkowana.

Był całkiem już najedzony, gdy pani Washington podała ostatnią niespodziankę: małe drewniane pudełko zawierające woskowy plaster miodu. Odkąd tylko pamiętał, termin ten pojawiał się w jego życiu na określenie delikatnej struktury; z dużym trudem był w stanie pojąć, że ten plaster był prawdziwym, oryginalnym egzemplarzem skonstruowanym przez ziemskie owady.

- Właśnie zaczęliśmy hodować pszczoły - wyjaśnił profesor. - Fascynujące stworzenia, ale wciąż nie wiemy, czy są warte tyle zachodu. Myślę, że miód ci zasmakuje. Spróbuj koniecznie ze świeżym chlebem.

Gospodarze obserwowali go w napięciu, gdy rozprawiał na kromce złocistą masę, która - jak pomyślał - wyglądała dokładnie jak olejek nawilżający. Miał nadzieję, że będzie smakowała lepiej, ale był gotowy dosłownie na wszystko.

Zapadła długa cisza. Wziął kolejny kęs, i jeszcze jeden...

- No i? - zapytał George w końcu.

- To jest... pyszne... najlepsza rzecz, jaką w życiu jadłem.

- Tak się cieszę - powiedziała pani Washington. - George, pamiętaj, żebyśmy wysłali trochę miodu do hotelu dla pana Makenziego.

Pan Makenzie tymczasem bardzo powoli smakował chleb z miodem. Jego twarz przybrała odległy, zamyślony wyraz, który jego gospodarze wzięli za wyraz gastronomicznej rozkoszy. Prawdziwego powodu nie odgadliby nigdy.

Duncan nigdy nie interesował się kuchnią jakoś szczególnie i nie starał się kosztować wszystkich nowości importowanych od czasu do czasu na Tytana. Zresztą żadna z nich nie smakowała mu specjalnie, gdy już musiał ich spróbować, na jego twarzy wciąż pojawiał się grymas na myśl o rzekomym przysmaku o nazwie kawior. Był więc absolutnie pewien, że nigdy wcześniej nie jadł miodu.

A jednak rozpoznał go od razu, choć to tylko połowa tajemnicy. Tak jak słowo, które ma się na końcu języka, ale za żadne skarby nie można go sobie przypomnieć, tak wspomnienie tego smaku leżało gdzieś poza poziomem świadomości. To musiało być bardzo dawno temu, ale kiedy? I gdzie? Przez krótką chwilę niemal uwierzył w reinkarnację. Duncanie Makenzie, w poprzednim życiu musiałeś być pszczelarzem na Ziemi...

A może mylił się, myśląc, że zna ten smak; być może wrażenie to wywołało jakieś drobne uszkodzenie w jego systemie nerwowym. A zresztą jakież to mogło mieć znaczenie?

A jednak wiedział, że z jakiegoś powodu rzecz była bardzo ważna.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Calindy

Paczkę dostarczono do pokoju Duncana, w czasie gdy czytał. Był to mały, zgrabnie zapakowany walcowaty przedmiot, wysoki na jakieś piętnaście centymetrów i o średnicy jakichś dziesięciu. Nie miał pojęcia, co mogło być w środku.

Zważył to w ręce kilka razy: było dość ciężkie, ale nie aż tak, by mógł to być metal. Postukał w to coś palcem, odgłos był głuchy i bez echa.

Porzucił więc spekulacje i rozdarł papier, którym przedmiot był oklejony.

Mt Vernon Farm.

Drogi Duncanie, przepraszamy za opóźnienie, ale mieliśmy tu mały wypadek. Którejś nocy Charlemagne wdarł się do pasieki. Na szczęście - albo i nie, zależy od punktu widzenia - nasze pszczoły nie żądają. Tak czy inaczej produkcja musiała zostać wstrzymana.

Pamiętając, jak bardzo nasz miód smakował ci ostatnio, Clara i ja przesyłamy ci tę oto pamiątkę Twojej wizyty u nas.

George

Miło z ich strony - pomyślał Duncan. Gdy zdjął papier, znalazł w środku przezroczysty plastikowy słoik wypełniony po brzegi złocistą masą. Mechanizm blokujący zakrętkę sprawił mu trochę kłopotu - trzeba było ją ścisnąć, zanim dała się odkręcić. Po kilku frustrujących minutach udało mu się to w końcu.

Zapach był wspaniały - i po raz kolejny miał poczucie, że skądś go zna. Jak mały chłopiec, nie mógł się powstrzymać i zanurzył palec w słoiku, a później oblizał go dokładnie.

Coś zaczynało mu się przypominać; gdzieś w najgłębszych zakamarkach umysłu, najbardziej prymitywny - i najpotężniejszy - ze zmysłów otwierał drzwi zamknięte od lat.

Ciało przypominało sobie wcześniej niż mózg. Gdy rozluźnił się w przypiływie czysto zwierzęcej rozkoszy, wszystko do niego wróciło.

Miód smakował jak Calindy...

Wcześniej czy później i tak by się z nią skontaktował. Ale potrzebował czasu, żeby czuć się tu pewniej i tak bardzo „u siebie”, jak to było możliwe. Tak sobie wmawiał, ale nie był to jedyny powód.

Logiczna część jego umysłu nie życzyła sobie, by dał się wciągnąć w wir, który pochłonął go, gdy był młodym chłopcem. Ale w sprawach sercowych logika zawsze przegrywa. Na dłuższą metę może co najwyżej powiedzieć: „A nie mówiłam?”... Ale wtedy zwykle jest już za późno.

Znał ciało Calindy, ale był zbyt młody, by poznać jej miłość. Teraz był mężczyzną i Karl nie mógł nic zrobić, żeby go powstrzymać.

Najpierw trzeba było odnaleźć Calindy; był trochę rozczarowany, że ona jeszcze się z nim nie skontaktowała, wszak wiadomość o jego przylocie musiała być w mediach dość głośna. Może było jej to obojętne? A może była zakłopotana? Musiał zaryzykować.

Duncan podszedł do komsoli, ekran rozjaśnił się, gdy musnął przycisk włącznika. Był to cud, o jakim nie śnił żaden poeta, okno, z którego widać było wszystkie lądy i wszystkie morza. Przez to okno przepływać mogło wszystko, cokolwiek Człowiek; wiedział o swoim Wszechświecie, i każde dzieło sztuki, które ocalił od zgubnego działania Czasu. Wszystkie biblioteki i wszystkie muzea, jakie kiedykolwiek istniały, można było zwiedzić dzięki temu ekranowi, a miliony podobnych mu urządzeń lśniły jak gwiazdy na powierzchni Ziemi. Nawet najmniej wrażliwy z ludzi musiał być pod wrażeniem myśli, że można by było żyć tysiąc razy i nie zajmować się niczym innym niż komsolą, a i tak udałoby się ledwie liźnąć wiedzę przechowywaną w potrójnie zabezpieczonych bankach pamięci, z których każdy strzeżony był pilniej niż najcenniejszy skarb. Nieco ironicznym był fakt, że dwa z tych podziemnych kompleksów zostały urządzone w dawnych centrach sterowania bronią nuklearną.

Duncana nie interesowało teraz dziedzictwo ludzkości, miał dużo skromniejszy cel przed sobą. Wstukał słowo INFO, a ekran wyświetlił natychmiast:

WYBIERZ KATEGORIĘ

1. Ogólne
2. Nauka
3. Historia
4. Sztuka
5. Rozrywka
6. Geografia
7. Katalog Ziemski
8. Katalog Księżycowy
9. Katalog Planetowy

...i tak dalej w ponad trzydziestu kategoriach.

Wybierając 7, Duncan przypomniał sobie swoje pierwsze zetknięcie z systemem ziemskich komsoli. Kategorie były takie same jak na Tytanie, ale przycisk URUCHOM znajdował się po lewej stronie klawiatury i przez to zapomniał go wcisnąć. Nic więc się nie

wydarzyło przez dobre pięć sekund, a później na ekranie pojawiła się naprawdę piękna dziewczyna i słodkim głosem, którego Duncan mógłby słuchać przez wieczność, powiedziała: „Zdaje się że potrzebujesz pomocy. Czy na pewno wcisnąłeś klawisz URUCHOM?”.

Gapił się na nią, dopóki nie znikła z ekranu z uśmiechem, który na długo został w jego pamięci. Choć powtórzył ten sam błąd pięć razy z rzędu, nigdy już się nie pojawiła. Za każdym razem twarz była inna; trudno, powiedział w końcu do siebie, one i tak już pewnie wszystkie od lat nie żyją.

Gdy wyświetlił się Katalog Ziemski, poproszono go, by wpisał nazwisko, imiona, numer osobisty i ostatni znany adres - państwo, region, kod pocztowy. Ale z tym był problem, nie miał kontaktu z Calindy od dobrych pięciu lat i nigdy nie znał jej numeru osobistego. Z początku nie umiał sobie nawet przypomnieć jej nazwiska; gdyby brzmiało Smith, Wong albo Lee, zadanie byłoby beznadziejne.

Wpisał ELLERMAN, CATHERINE LINDEN, pozostałe pola wypełnił, wpisując NIEZNANE. Komsola zapytała: JAKIEJ INFORMACJI POSZUKUJESZ? Odpowiedział: - Adres i numer wideo: URUCHOM.

A jeśli Calindy zmieniła nazwisko? Mało prawdopodobne, nie była typem kobiety, która dałaby się zdominować jakimkolwiek mężczyźnie, nawet gdyby była z nim w dłuższym związku. Już łatwiej było sobie wyobrazić, że to mężczyzna przyjmuje jej nazwisko niż na odwrót.

Nie zdążył jeszcze skończyć tej myśli a - ku jego zdumieniu - ekran wyświetlił:

ELLERMAN, CATHERINE LINDEN

North Atlan

New York

New York

Numer Osobisty: 373:496:000:000

Numer Wideo: 99:373:496:000:000

Szybkość, z jaką system zlokalizował Calindy, była tak wielka, że o kilkanaście sekund wyprzedziła chwilę, w której Duncan zdał sobie sprawę z dwóch jeszcze bardziej zaskakujących faktów.

Pierwszy był taki, że Calindy udało się zdobyć zupełnie wyjątkowy - dosłownie jeden na milion - numer osobisty; drugi natomiast, że udało jej się zawrzeć go w swoim numerze wideo. Duncan nie uwierzyłby, że to możliwe. Karl kiedyś próbował zrobić tak samo i nawet

jemu się to nie udało. Siła perswazji Calindy była wyjątkowa, zdał sobie sprawę, że trochę jej nie doceniał.

Więc była w pobliżu, nie tylko na tej planecie, ale też na tym samym kontynencie, raptem pięćset kilometrów od niego. Musiał tylko wybrać jej numer i znów mógł spojrzeć w oczy, które tak często uśmiechały się do niego ze stereoskopu.

Wiedział, że to zrobi, co do tego nigdy nie było wątpliwości. A jednak wciąż się wahał, poniekąd delektując się tym czekaniem, a poniekąd zastanawiając się, co też właściwie powinien powiedzieć. Nadal tego nie wiedział, a jednak niemal odruchowo wpisał czternaście cyfr, które otworzyły drzwi do przeszłości.

Duncan w życiu by jej nie poznał, gdyby minęli się na ulicy, zapomniał, co może zrobić przez lata ziemską grawitacja. Przez długie sekundy wpatrywał się w ekran, niezdolny wydusić choć słowa. Wreszcie ona przerwała ciszę z lekko niecierpliwym:

- Tak? O co chodzi?

Zanim zdołał odpowiedzieć, zmusił się do złapania tchu.

- Calindy - powiedział. - Nie pamiętasz mnie?

Wyraz jej lśniących oczu zmienił się niezauważalnie. Potem pojawił się ślad uśmiechu, choć raczej ostrożnego. Bądź rozsądny - powiedział sobie Duncan - pewnie cię nie poznaje po piętnastu latach. Ileż tysięcy ludzi musiała spotkać tu w międzyczasie, na tym zatłoczonym świecie? (I jak wielu kochanków, po Karlu?).

Ale zdumiała go jak zwykle.

- Oczywiście, Duncan, miło cię widzieć. Wiedziałam, że jesteś na Ziemi, i zastanawiałam się, kiedy zadzwonisz.

Poczuł się nieco speszony, zapewne tak, jak chciała, żeby się poczuł.

- Przepraszam - powiedział. - Byłem niewiarygodnie zajęty, Jubileusz, no wiesz...

Im dłużej wpatrywał się w ekran, tym więcej znajomych cech znajdował na tej obco wyglądającej twarzy po drugiej stronie. Wpływ lat nie był tak wielki, jak się spodziewał, wszystko, czego nie rozpoznawał, było najwyraźniej sztuczne. Zmieniła kolor włosów, które już nie były czarne, ale brązowe w nieco złotawym odcieniu. Kształt twarzy był ten sam, skóra koloru kości słoniowej równie piękna jak dawniej. Gdy wymazał z pamięci obraz ze stereoskopu, widział z całą pewnością, że to była Calindy - doroślejsza i jeszcze bardziej pociągająca.

Dostrzegł też, że siedziała w zatłoczonym biurze, anonimowe postacie krążyły cały czas wokół niej, co jakiś czas wręczając jej pliki dokumentów. Jakoś nigdy nie umiał sobie wyobrazić Calindy w roli menadżerki, ale był pewny, że jeśli tylko zależało jej na tym

wizerunku, z pewnością radziła sobie znakomicie. Było jednak jasne, że nie był to najlepszy moment na poufałości, jedyne, na co liczył, to spotkanie - i to tak szybko, jak tylko było to możliwe.

Przebył całą tę długą drogę z Saturna, nie powinno być więc problemu z pokonaniem tych kilkuset kilometrów między Waszyngtonem a Nowym Jorkiem. Ale najwyraźniej jakiś problem był, odniósł nawet wrażenie, że po jej stronie pojawiło się wahanie, nawet niechęć. Sprawdziła w bardzo napiętym kalendarzu, podała kilka dat i najwyraźniej ze sporą ulgą przyjęła fakt, że kolidowały one z planami Duncana.

Był już całkiem zniechęcony, gdy Calindy nagle zapytała:

- Czekaj, a w następny piątek jesteś wolny?

- Chyba tak, dałbym radę - to było prawie za tydzień, musiał uzbroić się w cierpliwość.

- Wspaniale - powolny, figlarny uśmiech pojawił się na jej twarzy i przez chwilę patrzyła na niego dawna Calindy. - Doskonale, i będzie to jak najbardziej odpowiednie... Lepiej bym tego nie wymyśliła.

- Czego byś nie wymyśliła? - zapytał.

- Skontaktuj się z van Hyattami pod tym numerem - oni mieszkają w okolicach Waszyngtonu - i rób dokładnie to, co ci powiedzą. Powiedz im, że Enigma kazała cię przyprowadzić jako mojego osobistego gościa. To mili ludzie, polubisz ich. Ale teraz naprawdę muszę kończyć, do zobaczenia za tydzień - zawahała się na chwilę, po czym dodała ostrożnie: - Tylko uprzedzam, że będę potwornie zajęta, więc nie będziemy mieli wiele czasu. Ale obiecuję, na pewno ci się spodoba.

Duncan patrzył na nią niepewnie. Pomimo jej zapewnienia czuł się zawiedziony; poza tym nie znosił brać udziału w czymś, nad czym nie miał kontroli. To Makenzowie zawsze rządili ludźmi, dla ich dobra oczywiście, nawet gdy ofiary myślały inaczej. Odwrotna sytuacja sprawiała, że czuł dyskomfort.

- Przyjadę - powiedział - ale przynajmniej powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi.

Calindy zrobiła ten mały, uparty grymas, który tak dobrze pamiętał.

- Nie - odpowiedziała stanowczo. - Złamałabym główną zasadę mojej organizacji, a nawet wiceszefowa nie może sobie na to pozwolić.

- Jakiej organizacji?

- Naprawdę nie wiesz? - zapytała z uśmiechem zachwyty. - Myślałam, że Enigma jest dobrze znana, ale skoro o nas nie słyszałeś, to jeszcze lepiej! Każdy na Ziemi powie ci, jak

brzmi nasze hasło... - odwróciła się na chwilę, by odebrać dokumenty od kolejnej zabieganej asystentki. - Do widzenia, Duncan, naprawdę muszę już lecieć. Do zobaczenia niebawem.

- Hasło! - niemal wrzasnął na nią.

Przesłała mu małego całusa.

- Spytaj van Hyattów. Pa pa!

Ekran zgasł.

Duncan nie od razu skontaktował się z van Hyattami, poczekał kilka minut, aż napięcie opadnie, po czym zadzwonił do swojego gospodarza i głównego doradcy.

- George - powiedział - czy słyszałeś kiedykolwiek o organizacji, która nazywa się Enigma?

- Tak, oczywiście. Co z nimi?

- Znasz ich hasło?

- Zdumiewamy.

- He?

Washington powtórzył hasło, powoli je sylabizując.

- No cóż, zdumiałeś mnie. Co to oznacza?

- Można powiedzieć, że dostarczają bardzo wyrafinowanej rozrywki, są jakby impresariami działającymi na bardzo indywidualnej zasadzie. Idziesz do nich, gdy się nudzisz i potrzebujesz czegoś nowego. W znacznej mierze ich praca opiera się na elemencie zaskoczenia. Ale skąd się o nich dowiedziałeś? Mam nadzieję, że się nie nudzisz?

Duncan roześmiał się.

- Na taki luksus jeszcze nie miałem czasu. Rozmawiałem właśnie z dawną znajomą, która okazała się wiceszefową tej organizacji i zaprosiła mnie do udziału w ich wydarzeniu za tydzień. Co doradzasz?

- Jakikolwiek program przygotowali na za tydzień, z pewnością będzie to zupełnie nieszkodliwe. Twoje szanse przeżycia oceniam bardzo wysoko.

- Dziękuję - powiedział Duncan - to mi wystarczy.

Van Hyattowie, gdy przedstawił im się chwilę później, podali mu nieco więcej szczegółów. Byli uprzejmą, ale dość nerwową parą w średnim wieku, co samo w sobie było do pewnego stopnia uspokajające.

- Kazano nam - powiedział Bill van Hyatt - stawić się nad rzeką Hudson w starych ubraniach. Napisali też, że „kaski będą przygotowane na wszelki wypadek”. Zastanawiam się, po co u licha nam kaski.

Duncan szybko umówił szczegóły spotkania z nimi za tydzień, rozłączył się i zaczął rozważać, czy słusznie postąpił.

Dopiero po jakimś czasie uświadomił sobie ciekawe przemilczenie po stronie Calindy. Zdziwiło go ono i jednocześnie zasmuciło: w ogóle nie zapytała o Karla.

Rozdział dwudziesty drugi

Duch z Grand Banks

Na brzegu rzeki znajdowała się niezliczona ilość małych sklepików i kawiarenek, jak też kilkadziesiąt małych doków pełnych łodzi wypoczynkowych. Choć transport morski niemal całkowicie był już od dwustu lat zapomniany, sama woda wciąż fascynowała znaczną część ludzkości. Nawet w tej chwili jaskrawo pomalowany parowiec pełen żądnych widoków turystów sunął powoli wzdłuż brzegu New Jersey. Duncan zastanawiał się, czy był to autentyczny dawny statek, czy współczesna rekonstrukcja.

Hyattowie poprowadzili Duncana w kierunku gigantycznego, półprzezroczystego walcowatego budynku położonego wzdłuż ponad trzystumetrowej części nabrzeża. Okazał się tymczasową strukturą, zupełnie niepasującą rozmiarem i wyglądem - do uważnie zaprojektowanego wszystkiego wokół.

Razem z innymi osobami, które najwyraźniej też były częścią grupy Enigmy, weszli do małego budynku, podobnego do śluzy powietrznej na tyle, że łatwo można sobie było wyobrazić, że zaraz wyruszą w kosmos. Faktycznie, był to rodzaj śluzy, w której znajdowała się cała masa ubrań roboczych, gumowe buty i kaski, które tak bardzo okupowały wyobraźnię Billa van Hyatta. W pełnym zaciekawionego oczekiwania milczeniu, jedynie z niepewnymi uśmiechami na twarzach, przeszli do kolejnego pomieszczenia.

Duncan nie zdziwił się, widząc tam statek, w zasadzie tego właśnie się spodziewał. Ale jego ogrom zupełnie go zaskoczył. Statek niemal całkowicie wypełniał budynek, w którym się znajdował. Duncan wiedział, że pod koniec XX wieku tankowce były gigantyczne, nie sądził jednak, że tak samo wielkie mogły być pasażerskie liniowce. A że był to statek pasażerski, wynikało jednoznacznie z ilości pokładów i iluminatorów.

Platforma widokowa na której stali była na tym samym poziomie co pokład główny i dokładnie naprzeciwko mostka kapitańskiego. Po prawej Duncan widział jeden wielki, lecz obcięty maszt i labirynt dźwigów, kołowrotów, wentylatorów i luków sięgających aż po dziób statku. Po lewej rozciągała się ku rufie nieskończona stalowa ściana wypunktowana setkami

iluminatorów. Nad tym wszystkim pochylały się trzy wielkie kominy, niemal dotykające dachu budynku. Z ich rozmieszczenia widać było, że brakuje czwartego.

Było też wiele innych oznak zniszczenia. Okna były powybijane, fragmenty pokładu wyrwane, a gdy spojrział w dół na kil, Duncan dostrzegł ogromną metalową łatę, długą na co najmniej sto metrów tuż pod poziomem wody.

Dopiero wtedy wszystkie elementy układanki znalazły się na miejscu. Tamtego dnia był jeszcze małym chłopcem żyjącym w bardzo odległym świecie, ale doskonale pamiętał, jak po trzystu pięćdziesięciu latach dziewiczego rejsu Titanic wreszcie dotarł do Nowego Jorku.

- Nigdy później nie zbudowano już niczego takiego. To był koniec pewnej epoki - epoki przepychu i elegancji, którą stał w proch wybuch pierwszej ze światowych wojen dwa lata później. Później oczywiście budowano i większe, i szybsze statki, przez jakieś pół wieku, dopóki rozwój lotnictwa nie zamknął tego rozdziału na zawsze. Ale żaden statek nie mógł się równać z Titanikiem pod względem luksusu, jaki tu wszędzie widzicie. Jego utonięcie zламаło zbyt wiele serc.

Duncan wierzył w każde słowo, wciąż zdawało mu się, że śni. Wspaniała sala balowa z ogromnymi lustrami, połączanymi kolumnami i miękkim, gęstym dywanem była bogatsza niż wszystko, co był w stanie sobie dotąd wyobrazić. A fotel, w którym właśnie się zanurzył, sprawił, że niemal zapomniał o ziemskiej grawitacji. Najbardziej niewiarygodny był jednak fakt, że wszystko, na co teraz patrzył, i wszystko, czego dotykał, przez trzysta pięćdziesiąt lat leżało na dnie Atlantyku.

Nie miał pojęcia, że w morskiej głębinie czas zatrzymywał się niemal jak w kosmosie.

- Wszystkie szkody - tłumaczył ich przewodnik - powstały pierwszego ranka. Gdy tonął, dwie i pół godziny po tym, jak lodowa góra rozerwała poszycie sterburty, szedł na dno dziobem w dół, niemal pionowo. Wszystko, co nie było przymocowane, poleciało do przodu, dopóki nie zatrzymało się na przegrodzie czołowej. Na szczęście - a świadczy to też o tym, jaką Titanic miał znakomitą konstrukcję - wszystkie trzy silniki pozostały na miejscu. Gdyby one się oderwały, kadłub byłby tak zniszczony, że nigdy nie udałoby się nam go uratować.

Ale gdy już osiadł na dnie, trzy kilometry pod powierzchnią wody, był bezpieczny na wieki. Temperatura wody wynosi tym zaledwie dwa stopnie, a kombinacja chłodu i ciśnienia powstrzymuje rozkład i rdzę. W chłodniach znaleźliśmy mięso tak świeże jak wtedy, gdy wypływało z Southampton 10 kwietnia 1912 roku, także wszystko, co zamknięto w puszkach i butelkach, jest w doskonałym stanie.

Gdy go podnosiliśmy - prosta robota, choć zatkanie wszystkich dziur i wzmocnienie wszystkich słabych miejsc zajęło nam rok - najpierw musieliśmy pozbyć się wody z jego wnętrza. Udało nam się to przy pomocy nieinwazyjnych zimnych rakiet, jakie wymyślili ludzie od ratownictwa morskiego. Naturalnie warunki pogodowe były krytyczne; szczęśliwie na 15 kwietnia 2262 roku prognoza była idealna, więc Titanic znalazł się z powrotem na powierzchni dokładnie trzysta pięćdziesiąt lat po zatonięciu. Warunki były takie same jak wtedy - martwa cisza i straszny ziąb - i nie uwierzycie, gdy tylko zaczęliśmy go holować, natknęliśmy się na górę lodową.

W końcu dociągnęliśmy go do Nowego Jorku i wypełniliśmy azotem, by powstrzymać rdzę. Powoli go suszyliśmy. To było łatwe - podmorscy archeolodzy ratowali już statki dziesięć razy starsze od Titanica. Jednak, co pokazuje skalę tej pracy, zajęło nam to jak na razie czternaście lat i potrwa pewnie jeszcze z dziesięć. Trzeba posortować tysiące fragmentów zniszczonych mebli, usunąć setki ton węgla, i to ręcznie, kawałek po kawałku.

Czasami pytają nas, dlaczego to robimy - poświęcamy czas i miliony solarów, by zachować przeszłość. Cóż, mogę podać kilka praktycznych, przyziemnych powodów. Ten statek jest częścią naszej historii, badając go, możemy lepiej rozumieć nas samych i naszą cywilizację. Ktoś kiedyś powiedział, że zatopiony statek jest jak kapsuła czasu, ponieważ zachowują się w nim różne artefakty, przedmioty codziennego użytku, dokładnie w takim stanie, w jakim były wówczas, gdy ich używano. A Titanic był przekrojem całego społeczeństwa, i to w ostatniej chwili przed jego rozpadem.

Mamy luksusową kabinę Johna Jacoba Astora z wszystkimi cennymi i osobistymi przedmiotami, które najbogatszy człowiek swoich czasów zabierał do Nowego Jorku. Stać by go było na zakup dwunastu Titaniców. Mamy też zestaw narzędzi Pata O'Connora, które wniósł na pokład w Queenstown, mając nadzieję zacząć nowe lepsze życie w kraju, którego nigdy miał nie ujrzeć. Mamy nawet pięć suwerenów, które udało mu się zaoszczędzić po latach pracy tak ciężkiej, że nie możemy sobie tego wyobrazić.

To dwa ekstrema, między nimi mamy przykłady każdej możliwej drogi życia - bezcenny skarb dla historyków, ekonomistów, artystów, inżynierów. Poza tym jest jeszcze magia tego statku, dzięki której pamięć o nim przetrwała tyle stuleci. Historia pierwszej i ostatniej podróży Titanica musi być powtarzana na nowo każdemu pokoleniu, by nie zapomniano o tym, jak silny może być los i przypadek.

Duncan był tak zaabsorbowany opowieścią że nie rozpoznał kobiety, która weszła do sali głównej i stała w jednym z pokrytych ornamentami drzwi.

Nawet z kaskiem na głowie i w nieprzemakalnym pozbawionym kształtu kombinezonie, zakrywającym ją od stóp po szyję, Calindy nadal wyglądała sztywno. Wstał i podszedł do niej, ignorując spojrzenia pozostałych członków grupy. W milczeniu rozłożył ramiona, objął ją i pocałował w usta. Nie była tak wysoka, jak ją zapamiętał - a może sam urósł - i musiał się pochylić.

- No proszę - powiedziała, gdy wyswobodziła się z uścisku.

- Po piętnastu latach...

- Ani trochę się nie zmieniłaś.

- Oszust. Mam nadzieję, że jednak się zmieniłam. W wieku dwudziestu jeden lat byłam nieodpowiedzialną panią.

Ta błyskotliwa rozmowa urwała się po chwili, oboje przyglądali się sobie nawzajem i wszyscy w pomieszczeniu patrzyli na nich z zainteresowaniem. Jestem pewien - pomyślał Duncan gorzko - że wszyscy myślą, że jesteśmy dawnymi kochankami. Chciałbym, żeby tak było...

- Duncan, *skharbie*, przepraszam, zawsze zaczynam mówić z dwudziestowieczną manierą, gdy tu jestem. Panie Makenzie, proszę wybaczyć mi na chwilę, muszę przywitać się z pozostałymi gośćmi, później oprowadzę cię po statku.

Obserwował, jak skacze od grupki do grupki, witając się ze wszystkimi, potwierdzając, że wszystko idzie zgodnie z planem, istne wcielenie skutecznej menadżerki. Czy odgrywała teraz kolejną swoją rolę, czy była to właśnie prawdziwa Calindy, jeżeli taka istota w ogóle istniała?

Wróciła do niego po pięciu minutach otoczona grupą swoich asystentów i współpracowników.

- Duncan, zdaje się, że nie poznałeś komandora Innesa. Wie o tym statku więcej niż ci, którzy go budowali. Będzie nas po nim oprowadzał.

- Bardzo mi się podobała pańska opowieść - powiedział Duncan, ściskając dłoń komandora. - Wspaniale jest spotkać prawdziwego pasjonata.

Przez kolejną godzinę zwiedzali wnętrza statku i Duncan był naprawdę wdzięczny za ochronne ubranie, które dostał przy wejściu. Błoto i olej wciąż zalegały na pokładzie G, kilka razy uderzył głową w drabinki i systemy wentylacji, ale wysiłek i niewygodność były warte tej wycieczki. Tylko w ten sposób mógł poznać i docenić wysiłek włożony w budowę tego pływającego miasta. Najbardziej poruszająca była możliwość dotknięcia wygiętych do środka fragmentów stalowego poszycia, wyobraził sobie lodowatą wodę wpadającą do wnętrza statku owej tragicznej nocy.

Był wykończony, gdy wspiał się wreszcie przez wszystkie pokłady z najniższego G do najwyższego A (kiedyś - obiecał komandor Innes - uruchomimy na nowo windy) i nic nie mogło ucieszyć go bardziej niż lunch w sali dla palących w pierwszej klasie.

Gdy próbował namówić Calindy na spotkanie w jakichś mniej hektycznych okolicznościach, ona była dziwnie wykrętna. Nie żeby była nieprzyjazna, zdawało się, że autentycznie cieszy się z jego obecności. Ale *coś* ją martwiło - cały czas trzymała go na dystans. Wyglądało to niemal tak, jakby ktoś ją ostrzegł, że Duncan przywiózł na Ziemię jakieś zabójcze bakterie z Tytana. Jedyne, co udało mu się z niej wyciągnąć, to wymijającą obietnicę, gdy się żegnali, że skontaktuje się z nim, „gdy tylko sezon się skończy” - cokolwiek mogło to oznaczać.

Enigma nie zawiodła go, ale jej wiceszefowa zaintrygowała go i zasmuciła jednocześnie. Duncan rozmyślał o tym przez całą półgodzinną podróż próżniowym metrem z powrotem do Waszyngtonu. (Dzięki Bogu Hyattowie zostali w Nowym Jorku, w jego obecnym stanie nie zniosłby ich towarzystwa).

Wiedział, że nic nie może poradzić. Gdyby próbował ją nachodzić jak jakiś zakochany amant, tylko pogorszyłby sytuację. Niektóre problemy rozwiązać może tylko czas - o ile w ogóle można je rozwiązać.

Czekało go dużo pracy, szybko zapomni o Calindy...

Przy odrobinie szczęścia, być może nawet na jakąś godzinę.

Rozdział dwudziesty trzeci

Echnaton i Kleopatra

Sir Mortimer Keynes rozsiadł się w swoim fotelu w gabinecie przy Harley Street i z klinicznym zainteresowaniem przyglądał się Duncanowi Makenziemmu po drugiej stronie Atlantyku.

- Więc jesteś ostatnim ze słynnych Makenziech... I chcesz się upewnić, że tak już nie zostanie?

To było stwierdzenie, nie pytanie. Duncan nie próbował na to odpowiadać, przyglądał się za to mężczyźnie, który niemal w dosłownym sensie był jego stwórcą.

Mortimer Keynes miał dobrze ponad osiemdziesiąt lat i wyglądał jak kudłaty, wynędzniały lew. Był w nim powiew autorytetu, ale też rezygnacji i osobności. Po półwieczu

bycia uznawanym za najlepszego na Ziemi lekarza genetyka, nie oczekiwał już od życia żadnych niespodzianek. Ale też nie całkiem jeszcze stracił zainteresowanie ludzką komedią.

- Powiedz mi - ciągnął - czemu sam przyjechałeś tu aż z Tytana. Dlaczego nie wysłałeś odpowiednich próbek biotypu?

- Jestem tu w interesach - odpowiedział Duncan. - Zostałem też zaproszony na obchody pięćsetlecia. Nie mogłem zmarnować takiej okazji.

- Ale i tak mogłeś wysłać próbki wcześniej. Teraz będziesz musiał poczekać tu dziewięć miesięcy. Oczywiście jeśli chcesz zabrać syna ze sobą.

- Ta wyprawa była zaaranżowana dość niespodziewanie i w bardzo krótkim czasie. Tak czy inaczej mam tu co robić. To moja jedyna szansa, żeby zobaczyć Ziemię, za kolejnych dziesięć lat nie byłbym w stanie znieść tutejszej grawitacji.

- Dlaczego to dla ciebie takie ważne, żeby wyprodukować kolejnego stuprocentowego Makenziego?

Zapewne Colin też przeszedł przez to samo z Keynesem - ale to działo się trzydzieści lat temu i diabli wiedzą ile klonowań doktor przeprowadził od tamtej pory. Zapewne nie pamiętał tamtej rozmowy, ale też z pewnością miał dokładne uwagi zapisane w swoim komputerze, które teraz sprawdzał na ekranie wbudowanym w biurko.

- Żeby odpowiedzieć na to pytanie - zaczął Duncan powoli - muszę opowiedzieć panu historię ostatnich siedemdziesięciu lat na Tytanie.

- To nie będzie konieczne - przerwał lekarz, nagle bacznie przyglądając się swojemu ekranowi. - To stara historia, tylko szczegóły różnią się w zależności od epoki. Słyszałeś o Echnatonie?

- O kim?

- A o Kleopatrze?

- Tak, była egipską królową, prawda?

- Królową Egiptu, owszem, ale nie Egipcjanką. Kochanka Antoniusza i Cezara, ostatnia i największa postać z rodu Ptolemeuszy.

Cóż to do licha ma wspólnego ze mną? - myślał Duncan. Nie po raz pierwszy i z pewnością nie po raz ostatni czuł się przygnieciony wagą i złożonością ziemskiej historii. Colin, który interesował się przeszłością wiedziałby pewnie, do czego zmierza Keynes, ale Duncan był zagubiony.

- Chodzi mi o problem sukcesji. Jak się upewnić, że po twojej śmierci dynastia trwać będzie w sposób, jakiego byś sobie życzył. Tego się oczywiście zagwarantować nie da, ale da się zwiększyć szanse, gdy zostawiasz po sobie swoją idealną kopię.

Egipscy faraonowie wykonali w tym kierunku heroiczny wysiłek - bez nowoczesnej technologii lepiej się tego osiągnąć nie dało. Ponieważ uważali się za bogów, nie mogli się żenić ze zwykłymi śmiertelnikami. Wchodzili więc w związki ze swoimi siostrami i braćmi. Rezultat czasem był genialny, czasem jednak dochodziło do deformacji - w wypadku Echnatona i jedno i drugie. Kontynuowali tę tradycję przez ponad tysiąc lat, ostatnim ogniwem była Kleopatra.

Gdyby faraonowie umieli się klonować, bez wątplenia by tak robili. Byłoby to rozwiązanie doskonałe, neutralizujące problem bezpłodności. Rodzi jednak problemy innej natury. Ponieważ geny przestają się mieszać ze sobą zegar ewolucji zostaje zatrzymany. Oznacza to koniec jakiegokolwiek biologicznego postępu.

Do czego on zmierza? - myślał Duncan niecierpliwie. Rozmowa w ogóle nie układała się tak, jak to sobie zaplanował. Sprawa wydawała się na tyle prosta, że wystarczyło się jedynie umówić, tak jak zrobili to Malcolm i Colin siedem i trzy dekady temu. Tymczasem człowiek, który przeprowadził więcej klonowań niż ktokolwiek inny na świecie, sprawiał wrażenie, jakby chciał go odwieść od tego pomysłu. Czuł się zdezorientowany i cokolwiek wściekły.

- Nie mam nic przeciwko klonowaniu - mówił Keynes dalej - o ile związane jest ono z naprawą genów. Jak zapewne wiesz, w twoim wypadku jest to niemożliwe. Gdy klonowano cię z Colina, to był w najczystszej formie zabieg wymierzony w zachowanie dynastii. Uzdrowienie nie wchodziło w grę - jedynie polityka i osobista próżność. Jestem głęboko przekonany, że obaj twoi poprzednicy wierzyli, że robią to dla dobra Tytana, i być może mieli absolutną rację. Obawiam się jednak, że ja już przestałem odgrywać rolę Boga. Przykro mi, panie Makenzie. Życzę udanego pobytu na Ziemi. Do widzenia.

Duncan z opuszczoną szczęką gapił się w pusty ekran. Nie zdążył nawet odwzajemnić pożegnania ani tym bardziej przekazać pozdrowień od Colina człowiekowi, który ich obu stworzył.

Był zaskoczony, zawiedziony i zraniony. Bez wątplenia mógł znaleźć inną klinikę, ale nigdy nawet nie przyszło mu do głowy, by udać się w tej sprawie w miejsce inne niż to, z którego sam pochodził. Czuł się jak syn odrzucony przez własnego ojca.

Było w tym coś tajemniczego. I nagle, w przeblysku intuicji, zgadł wytłumaczenie. Sir Mortimer sklonował samego siebie - i źle się skończyło.

Teoria ta była genialna i miała w sobie wystarczająco dużo poetyckiej prawdy. Tyle że nie była prawdziwa.

Rozdział dwudziesty czwarty

Gry towarzyskie

Duncan coraz mniej obawiał się podejrzanych manifestacji ziemskiej kultury. Robiły na nim wrażenie, i owszem, ale już go nie przytłaczały. Zbyt mocny kompleks kolonialnej niższości z pewnością zepsułby mu przyjemność bycia na tym przyjęciu.

Był już na kilku balach odkąd przybył na Ziemię, ten był jednak zdecydowanie największy. Zorganizowało go Narodowe Towarzystwo Geograficzne - a nie, to jutro - zorganizowała go zatem Fundacja Kongresu, czymkolwiek by była, i w marmurowych salach znajdowało się co najmniej tysiąc gości.

- Gdyby dach spadł na nas teraz - podsłuchał czyjąś pełną pychy uwagę - Ziemia zaczęłaby biegać w kółko jak kurczak bez głowy.

Ale nie było powodu obawiać się takiej katastrofy. Budynek Narodowej Galerii Sztuki stał już od czterystu lat. Wiele ze zgromadzonych w nim skarbów było oczywiście znacznie starszych, nikt chyba nie byłby w stanie oszacować wartości obrazów i rzeźb wystawionych na widok w tych murach. *Portret Ginevry Benci* Leonarda, cudownie odnowiony *Dawid Michała Anioła*, *Portret Williama Maughama* Picassa, *Marsjański świt* Levinskiego - to tylko niektóre z najbardziej znanych dzieł zebranych tam przez stulecia. Duncan wiedział, że każdy z nich mógł zobaczyć w wersji hologramowej w znacznie większym zbliżeniu niż tutaj - ale to jednak nie to samo. Choć kopie mogły być technicznie doskonałe, to tu były oryginały, na zawsze wyjątkowe; duchy dawno umarłych artystów wciąż tutaj mieszkaly. Po powrocie na Tytana będzie mógł się przechwalać przed przyjaciółmi: Tak, stałem o metr od prawdziwego Leonarda.

Rozbawiła go także świadomość faktu, że nigdy w swoim świecie nie mógłby poruszać się wśród takiego tłumu, pozostając zupełnie anonimowym. Wątpił, by było tu więcej niż dziesięć osób znających go z widzenia. Był nadal, jak zgrabnie ujął to George Washington, jednym z najważniejszych nieznanym ziemskich celebrytów. Jeśli nie wydarzy się nic niespodziewanego, zachowa ten status aż do przemówienia, które ma wygłosić czwartego lipca. A być może i jeszcze dłużej.

Jego tożsamość można było jednak łatwo odczytać z plakietki, którą nosił w klapie. Dużymi literami było na niej napisane: DUNCAN MACKENZIE, TYTAN. Uznał, że niegrzecznie będzie się klócić o błędną pisownię; podobnie jak Malcolm odpuścił sobie ten temat lata temu.

Na Tytanie podobne plakietki byłyby zupełnie niepotrzebne, tutaj były konieczne. Rozwój mikroelektroniki relegował do przeszłości dwa problemy, które pod koniec XX wieku były nie do rozwiązania: jak na dużym przyjęciu dowiedzieć się, kto jest kim, i jak zlokalizować konkretną osobę? Gdy Duncan zameldował się w foyer, znalazł się przed wielką tablicą zawierającą setki nazwisk. Była to lista gości, a dokładniej lista tych gości, którzy chcieli, aby ich obecność była ogólnie wiadoma. Spędził kilka minut, przeglądając ją i wybrał kilka potencjalnych celów. Był tam oczywiście George, a także ambasador Farrell, na nich jednak nie zamierzał polować, widział się z nimi przecież codziennie.

Przy każdym nazwisku znajdował się przycisk i mała dioda. Po wciśnięciu przycisku plakietka gościa emitowała dyskretne brzęczenie, słyszalne tylko dla noszącego plakietkę; równocześnie dioda zaczynała mrugać. Miał wtedy dwie możliwości.

Mógł przeprosić osoby, z którymi aktualnie rozmawiał, i zacząć przemieszczać się w kierunku centralnego miejsca spotkań. Po przybyciu tam - co mogło zająć zarówno minutę, jak i pół godziny, w zależności od liczby spotkań *en route* - wzywający rozmówca wciąż mógł tam czekać lub też - zniechęcony - odejść.

Drugą możliwością było wciśnięcie przycisku na samej plakietce, która wyłączała sygnał. Światelko na tablicy zapalało się wówczas jednolicie, informując świat, że dana osoba nie życzy sobie, by jej przeszkadzano. Tylko najbardziej nachalny, źle wychowany gość mógł zignorować taką informację.

Choć niektórzy gospodarze uważali ów system za zbyt zimny i mechaniczny i nie chcieli go używać za żadną cenę, to jednak wszystkie jego niedoskonałości były celowe. Wystarczyło nie odebrać plakietki po przyjściu, by być wyłączonym z systemu, wówczas uważano, że dany gość się nie pojawił. By uniknąć takich podstępów, w recepcji zawsze czekał zestaw fałszywych plakietek, a ich użycie było akceptowane i w pełni zrozumiałe. Widząc znajomą twarz z plakietką JAN KOWALSKI albo ANNA NOWAK, nie należało o nic się dopytywać. Jednak plakietki JEZUS CHRYSZTUS czy JULIUSZ CEZAR były zdecydowanie krytykowane.

Duncan nie szukał anonimowości, był gotów spotkać się z każdym, kto na takie spotkanie miałby ochotę. Zostawił więc swoją plakietkę włączoną i udał się do bogato zastawionego bufetu, później zajął miejsce przy jednym z mniejszych stolików. Choć funkcjonował teraz w ziemskiej grawitacji lepiej, niż się spodziewał, wolał wykorzystywać każdą okazję, by usiąść choć na chwilę. A w tym wypadku było to tym szczególnie zrozumiałe, że nawet Ziemiańskie usiedliby na jego miejscu, chyba że potrafiliby zgrabnie manipulować na stojąco trzema talerzami i kieliszkiem.

Przybył jako jeden z pierwszych gości - było to szaleństwo, z którego nie udało mu się wyleczyć aż do końca pobytu na Ziemi - i zanim skończył smakować nieznane przysmaki, sala była już całkiem pełna. Postanowił pokręcić się wśród innych gości, by nie zostać uznanym za tego, kim faktycznie był: zagubionego i samotnego outsidera.

Nie podsłuchiwał świadomie, ale Makenzowie mieli nadzwyczaj dobry słuch, a Ziemianie - przynajmniej ci uczestniczący w przyjęciach - najwyraźniej chcieli, by informacje, które posiadali, były znane jak najszerszej. Jak elektron zagubiony w półprzewodniku Duncan przepływał od jednej grupki do następnej, od czasu do czasu witając się z kimś kurtuazyjnie, ale nigdzie nie zatrzymując się na dłużej niż kilka minut. Czuł się dobrze w roli biernego obserwatora, a dziewięćdziesiąt procent rozmów, które podsłuchał, było nudne i bez znaczenia. Choć nie wszystkie...

Nie znoszę takich przyjęć, a ty?

To podobno jedyny zestaw oryginalnych antycznych, niepalnych mebli na świecie. Oczywiście usiąść na nich nie można.

...kupując po 1,50 i sprzedając po 1,80. Uwierzyłybyś, że dorośli ludzie kiedyś spędzali całe życie robiąc takie rzeczy?

Ambicją Billa jest zostać zastrzelonym przez zazdrosną żonę w wieku dwustu lat.

A jak idzie rewolucja? Gdybyście potrzebowali więcej pieniędzy z Komitetu Sposobów i Środków, dajcie znać.

Jedzenie powinno być podawane w pigułkach, jak Pan Bóg przykazał...

Jest tu ktoś, z kim ona nie spała? No, może ten posąg Zeusa...

Przygotowuję petycję, by chronić dzikie obszary na Księżycu.

Myślałem, że chodziło o Pas Van Allena...

Nie, to było rok temu.

W tym momencie plakietka Duncana zaczęła brzęczeć delikatnie. Zupełnie go to zaskoczyło i dopiero po chwili przypomniał sobie, że była to część systemu spotkań. Rozejrzał się w poszukiwaniu punktu spotkań, którego do tej pory nawet nie próbował sprawdzić. W końcu dostrzegł dyskretny mały banner z informacją L-S TUTAJ. Oczywiście znajdował się na drugim końcu sali i potrzebował dobrych pięciu minut, by przecisnąć się przez tłum.

Kilku zupełnie obcych mężczyzn czekało z nadzieją pod bannerem, na próżno przyglądał się im, szukając jakichś znajomych rysów twarzy. Ale gdy znalazł się w odległości umożliwiającej odczytanie nazwiska na plakietce, jeden z mężczyzn oderwał się od pozostałych i podszedł do niego z wyciągniętymi dłońmi.

- Panie Makenzie, jakże się cieszę, że pan przyszedł! Zajmę panu tylko kilka minut.

Ze swoich gorzkich doświadczeń Duncan wiedział, że było to jedno z największych ziemskich niedopowiedzeń. Spojrzał uważnie na rozmówcę, próbując zgadnąć, o co może mu chodzić. Wygląd mężczyzny był stosunkowo uspokajający: bardzo schludny, niewysoki człowiek z kozią bródką ubrany w tradycyjne chińsko-indyjskie *shervani* zapięte aż po samą szyję. Nie wyglądał na nudziarza ani na fanatyka, ale oni rzadko są łatwi do rozpoznania.

- Oczywiście, panie, yyy, Mandel'stahn. Jak mogę panu pomóc?

- Zamierzałem się z panem skontaktować - a zupełnie szczęśliwie zobaczyłem pańskie nazwisko na liście gości dzisiaj. Wiedziałem że może być tylko jeden Makenzie... A to D. przed nazwiskiem to Donald, Douglas, David...?

- Duncan.

- Ach tak. Przejdźmy może do tamtego stolika, tam będzie ciszej, poza tym uwielbiam ten obraz, *Fair Wind* Winsłowa Homera, choć może technika jest nazbyt dosłowna - niemal czuć zapach ryb na pokładzie, ale cóż za przypadek, ten obraz ma dokładnie czterysta lat! Nie sądzi pan, że przypadki są fascynujące? Zbierałem je przez całe życie...

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem - odpowiedział Duncan, już czując się nieco przytłoczony jego gadaniną. Bał się, że jeśli jeszcze chwilę posłucha Mandel'stahma, to zaraz zacznie mówić tak samo jak on. Czego chciał ten człowiek? I czy można w jakiś sposób odkryć intencje kogoś, kto wyrzuca z siebie słowa najwyraźniej pod wpływem przypadkowych impulsów?

Na szczęście gdy tylko usiedli, pan Mandel'stahn zaczął mówić w dużo bardziej spójny sposób. Najpierw rozejrzał się podejrzliwie, czy aby na pewno nikt z wyjątkiem rybaków Winsłowa Homera nie mógłby ich podsłuchać, potem wrócił do rozmowy jednak zupełnie innym tonem głosu.

- Obiecałem, że zajmę tylko chwilę. Oto moja wizytówka, znajdzie pan na niej mój numer. Tak, nazywam siebie sprzedawcą antyków, ale kryje się pod tym mnóstwo różnych grzechów. Najbardziej interesują mnie kamienie szlachetne - mam jedną z największych prywatnych kolekcji na świecie. Więc pewnie już pan wie, dlaczego tak zależało mi na spotkaniu z panem.

- Proszę mówić dalej.

- Tytanit, panie Makenzie. Na Ziemi jest może z tuzin okazów, z czego pięć znajduje się w muzeach. Nawet Instytut Smithsonian nie posiada własnego egzemplarza, a ich kurator od kamieni - ten wysoki mężczyzna, o, tam - jest z tego powodu naprawdę nieszczęśliwy. Jak rozumiem, orientuje się pan, że tytanit jest jednym z niewielu materiałów, których nie da się replikować?

- Tak, słyszałem - odpowiedział Duncan bardzo już ostrożnie. Pan Mandel'stahn z całą jasnością przedstawił już swoją sprawę, ale nie swoje intencje.

- Rozumie pan zatem, że gdyby śniady rogaty dżentelmen nagle stanął przede mną w tumanach dymu, oferując kilka gramów tytanitu w zamian za mój podpis krwią na cyrografie, nie przejmowałbym się zanadto, co tam napisano drobnym drukiem.

Duncan nie był pewien, do czego odnosi się określenie „rogaty” ale ogólnie zrozumiał, co Mandel'stahn chce powiedzieć, i tylko przytaknął głową.

- No więc coś takiego właśnie się dzieje od jakichś trzech miesięcy, może nie aż w tak dramatycznej formie oczywiście. Skontaktował się ze mną w wielkiej konfidencji sprzedawca, który twierdzi, że posiada tytanit na sprzedaż, i to w partiach po dziesięć gramów każda. Co by pan na to powiedział?

- Byłbym bardzo podejrzliwy. Najpewniej to podróbka.

- Tytanitu nie da się podrobić.

- Cóż, syntetyk?

- Też o tym pomyślałem, to ciekawa koncepcja, ale oznaczałoby to kilka naukowych przełomów, których nie dałoby się utrzymać w tajemnicy. Z pewnością nie byłaby to praca łatwa, jak na przykład w fabryce diamentów. Nikt nie wie, jak powstaje tytanit. Istnieją co najmniej cztery teorie dowodzące, że on nie ma prawa istnieć.

- A widział pan kiedyś tytanit?

- Oczywiście, fragment z nowojorskiego Muzeum Historii Naturalnej i bardzo piękny okaz z Muzeum Geologicznego w South Kensington w Londynie.

Duncan powstrzymał się od przyznania, że jeszcze piękniejszy egzemplarz znajduje się w Hotelu Jubileuszowym niecałe dziesięć kilometrów stąd. Dopóki tajemnica się nie

rozwiąże i dopóki nie pozna lepiej pana Mandel'stahma, tę informację powinien jednak zachować dla siebie. Nie wierzył w możliwość włamania, ale głupio byłoby jednak ryzykować.

- Nie do końca rozumiem, jak mógłbym panu pomóc. Jeśli ma pan pewność, że tytanit jest prawdziwy i że nie został zdobyty nielegalnie, to w czym kłopot?

- No właśnie. Nie wszystko, co rzadkie, jest cenne - ale wszystko, co cenne, jest rzadkie. Jeśli ktoś odkrył kilka kilogramów tytanitu, to stałby się on kolejnym powszechnym kamieniem szlachetnym jak opał, szafir czy rubin. Naturalnie nie chcę robić dużej inwestycji, jeśli istnieje ryzyko, że cena mogłaby za chwilę gwałtownie spaść.

Spostrzegł zdziwione spojrzenie Duncana i szybko dodał:

- Oczywiście teraz, gdy motyw zysku już nie istnieje, robię to dla czystej zabawy. Bardziej chodzi mi tutaj o moją reputację.

- Rozumiem. Jestem pewien, że gdyby ktoś znalazł coś takiego, dawno bym już o tym wiedział. Byłoby to zgłoszone mojemu rządowi.

Brwi pana Mandel'stahma uniosły się nieco.

- Być może. A być może nie. Zwłaszcza gdyby znalezisko pochodziło skądinąd. Odnoszę się oczywiście do teorii, jakoby nie był to minerał dostępny wyłącznie na Tytanie.

Jesteś niezłe poinformowany - pomyślał Duncan - i zdaje się, że o tytanicie wiesz więcej niż ja.

- Chodzi panu o teorię, jakoby większe złoża znajdowały się na innych księżycach?

- Tak. W gruncie rzeczy pewne ślady zostały odkryte na Japecie.

- Pierwsze słyszę, ale też nie informowano by mnie o tym, gdyby rzecz dotyczyła większej ilości. Co właśnie, jak rozumiem, pan podejrzewa?

- Między innymi.

Przez kilka sekund Duncan w milczeniu rozważał to, co usłyszał. Jeśli to prawda - a nie umiał znaleźć powodu, dla którego Mandel'stahm miałby go okłamywać - to jego obowiązkiem jako wysoko postawionego na Tytanie urzędnika było sprawdzenie tych informacji. Ale dodatkowa praca była teraz ostatnią rzeczą jakiej pragnął, zwłaszcza jeśli mogłaby prowadzić do zagmatwanych komplikacji. Jeśli jakiś spryciarz szmuglował tytanit, Duncan wolałby pozostać w błogiej niewiedzy. Miał poważniejsze zmartwienia na głowie.

Być może Mandel'stahm zrozumiał powód jego wahania i dodał po cichu:

- Może tutaj chodzić o znaczną sumę. Ja tym oczywiście nie jestem zainteresowany, ale większość rządów jest zwykle wdzięczna osobom, którym uda się wykryć utratę ich dochodów. Będę zaszczycony, jeśli uda mi się pomóc panu uzyskać tę wdzięczność.

Rozumiem cię doskonale - powiedział Duncan w duchu - i w ten sposób propozycja staje się dużo ciekawsza. Nie był pewien, czy na Tytanie istnieją odpowiednie regulacje prawne, czy w ogóle przewidziana jest jakaś nagroda, ale nietaktownie byłoby się do tego przyznać, będąc Specjalnym Asystentem Głównego Zarządcy. Zadanie byłoby jednak łatwiejsze, jeśli - jak się ponuro spodziewał - będzie musiał postarać się o dodatkowe solary przed końcem swojego pobytu.

- Zróbmy tak - powiedział do Mandel'stahma. - Jutro wyślę stosowną wiadomość na Tytana i rozpoczniemy małe śledztwo w tej sprawie, bardzo dyskretnie rzecz jasna. Jeśli dowiem się czegoś, odezwę się do pana. Proszę się jednak wiele nie spodziewać, być może nawet nic z tego nie wyniknie.

Mandel'stahmowi najwyraźniej bardzo odpowiadał taki układ i odszedł z aż nadmiernymi zapewnieniami wdzięczności. Duncan uznał, że i na niego już pora: od dwóch godzin bezustannie był na nogach i kręgosłup zaczynał się już domagać odpoczynku. Idąc w stronę wyjścia, rozglądał się za George'em Washingtonem i udało mu się go znaleźć - pomimo jego niewielkiego wzrostu - bez użycia systemu plakietek.

- Wszystko w porządku? - zapytał George.

- Tak, bardzo interesujący wieczór. Poznałem pewną ciekawą postać, przedstawia się jako ekspert od kamieni szlachetnych...

- Ivor Mandel'stahm. Czego chciał ten stary lis od ciebie?

- Cóż, informacji. Byłem uprzejmy, ale chyba niezbyt pomocny. Powinienem traktować go poważnie? Można mu ufać?

- Ivor naprawdę jest największym na świecie ekspertem od kamieni. A w tym biznesie nie można sobie pozwolić choćby na cień podejrzeń. Możesz mu ufać całkowicie.

- Dziękuję, tego chciałem się dowiedzieć.

Pół godziny później, już w hotelu, Duncan otworzył walizkę i wyciągnął zestaw pentomina, który dostał od babci Ellen. Nawet na niego nie spojrzął, odkąd przyleciał na Ziemię. Ostrożnie podniósł krzyż z tytanitu i trzymał go chwilę pod światło...

Pierwszy raz zetknął się z tytanitem u babci i dokładnie pamiętał, kiedy to było. Była z nim Calindy, musiał więc mieć szesnaście lat. Nie pamiętał tylko, jak to się stało, biorąc pod uwagę niechęć babci do obcych (a nawet do krewnych), taka wizyta musiała stanowić spore dyplomatyczne wyzwanie. Pamiętał, że Calindy bardzo chciała spotkać się ze słynną starszą panią chciała też przyprowadzić przyjaciół, ten pomysł jednak został jej stanowczo wybity z głowy.

Był to akurat jeden z tych dni, kiedy babcia Ellen w pełni kontaktowała na tych samych falach co świat zewnętrzny, w związku z czym traktowała Calindy jak osobę rzeczywiście obecną. Bez wątpienia fakt, że miała do pokazania fascynującą nowość, łączył się z jej niezwykłą przyjaznością.

Nie był to pierwszy odkryty egzemplarz tytanitu, raczej drugi czy trzeci - był za to największy, bo ważył aż piętnaście gramów. Miał nieregularny kształt i Duncan właśnie zdał sobie sprawę, że krzyż, który trzymał w ręce, musiał być z tamtego okazu wycięty. W tamtych czasach nikt nie sądził, że tytanit może mieć jakąś większą wartość, był po prostu ciekawostką.

Babcia wypolerowała fragment długości kilku milimetrów i okaz leżał właśnie pod okiem dwuobiektywowego mikroskopu, padał nań promień białego światła z trójchromatycznego lasera. Większość światel w pokoju była wyłączona, jednak rozproszone i odbite plamy, wiele z nich rozbitych całkowicie na trzy barwy składowe, świeciły nieruchomo w najbardziej nieoczekiwanych miejscach na ścianach i suficie. Pokój sprawiał wrażenie, jakby należał do magika lub alchemika, i w gruncie rzeczy tak było. W dawnych czasach Ellen Makenzie zapewne uznano by za czarownicę.

Calindy patrzyła przez mikroskop przez dłuższą chwilę, podczas gdy Duncan czekał mniej lub bardziej cierpliwie. Później cofnęła się niechętnie, szepcząc:

- Jest piękny, nigdy czegoś takiego nie widziałam!

Sześciokątny korytarz światła, zmniejszający się aż do nieskończoności, obrysowany milionami iskrzących się punktów w geometrycznie doskonałym układzie. Zmieniając ostrość, Duncan zagłębiał się w ten korytarz, nigdy nie docierając do jego końca. Niesamowite, że taki wszechświat znajduje się w kawałku skały o grubości jednego milimetra.

Najmniejsza zmiana pozycji i lśniący sześciokąt zniknął, widok zależał przede wszystkim od kąta padania światła i ustawienia kryształu. Później nawet sprawne dłonie babci Ellen potrzebowały kilku minut, by znów go odnaleźć.

- Wyjątkowe - powiedziała radośnie (Duncan nigdy nie widział jej tak uszczęśliwionej) - i nie znam żadnego wyjaśnienia tego zjawiska, zaledwie kilka teorii. Nawet nie wiem, czy oglądamy prawdziwą strukturę, czy może jakieś trójwymiarowe prążki mory, o ile takie są możliwe.

Działo się to piętnaście lat temu - od tamtej pory powstały setki teorii, wszystkie już dziś obalone. Panowało jednak przekonanie, że nadzwyczajnie idealna sieć krystaliczna tytanitu musiała powstać z kombinacji bardzo niskich temperatur i całkowitego braku

grawitacji. Jeśli teoria ta była prawdziwa, tytanit nie mógł powstać na żadnej z planet i nie bliżej Słońca niż w okolicach orbity Neptuna. Niektórzy naukowcy na tym przekonaniu zbudowali nawet całą wielką teorię „międzygwiazdnej krystalografii”.

Były też jeszcze bardziej szalone sugestie. Coś tak dziwnego jak tytanit musiało oczywiście przemówić do spekulatywnych żądz Karla.

- Nie wierzę, że to naturalny materiał - powiedział kiedyś Duncanowi. - Coś takiego nie miało prawa powstać. To pozostałość po wyższej cywilizacji, taka jakby kryształowa pamięć.

Duncan był pod wrażeniem, była to jedna z tych teorii, które brzmiały aż nazbyt nieprawdopodobnie i co parę lat ktoś je „odkrywał na nowo”. Ale im dłużej trwała nie prowadząca donikąd dyskusja, zainteresowanie publiczności malało, jedynie geolodzy i gemmolodzy uważali, że tytanit jest źródłem nieustającej fascynacji - jak zademonstrował to niedawno Mandel'stahn.

Makenzowie zawsze dotrzymywali obietnic, nawet w najbardziej błahych sprawach. Duncan postanowił wysłać wiadomość do Colina z samego rana. Nie było pośpiechu. Częściowo spodziewał się, a częściowo miał nadzieję, że będzie to ostatni raz, gdy słyszy o tej sprawie.

Bardzo ostrożnie odłożył krzyż z tytanitu z powrotem do pudełka, pomiędzy figury F, N, U i V. Któregoś dnia naprawdę musi odrysować ten układ.

Gdyby klocki kiedyś wypadły z pudełka, mógłby potrzebować godzin, by ułożyć je z powrotem na miejscu.

Rozdział dwudziesty piąty

Rywale

Po rozmowie z Mortimerem Keynesem Duncan lizał rany w milczeniu przez kilka dni. Nie miał ochoty omawiać tej sprawy ze swoimi przyjaciółmi, George'em Washingtonem i ambasadorem Farrellem. I choć nie wątpił, że Calindy znalazłaby rozwiązanie, do niej też wahał się zadzwonić. Instynkt, a nie logika, podpowiedział mu, że nie byłby to najlepszy pomysł. Zastanawiając się nad tym, Duncan z żalem przyznał przed sobą że choć pożądał Calindy, a być może nawet kochał się w niej, to zupełnie jej przy tym nie ufał.

Kategoria „ogłoszenia” w komsoli nie przydała mu się za bardzo. Gdy wpisał w niej „klonowanie”, wyskoczyło kilkadziesiąt nazwisk i adresów, z których żaden nic mu nie

mówił. Nie zdziwiło go, że na liście nie było już Keynesa; gdy sprawdził jego dane w systemie, pojawiła się informacja „emerytura”. Mógł być sobie zaoszczędzić wstydu, gdyby sprawdził to wcześniej, ale kto by się spodziewał?

Jak wiele tego rodzaju problemów także i ten rozwiązał się sam niespodziewanie. Jęczał z bólu pod bezlitośnie zręcznymi rękami Berniego Patrasy, gdy nagle zdał sobie sprawę, że osoba, która mogła mu pomóc, była właśnie tu.

Sekrety można mieć przed swoim służącym, ale nie przed masażystą. Z Berniem Duncan nawiązał wesołą kpiarską wręcz przyjaźń, która oczywiście nie wpływała w najmniejszym stopniu na profesjonalizm masażysty, dzięki temu Duncan choć wciąż jednak nie do końca mobilny, to jednak systematycznie nabierał sił.

Bernie był nieuleczalnym plotkarzem, co chwila rzucał skandalizujące historie, Duncan zauważył jednak, że nigdy nie ujawniał nazwisk i trzymał w tajemnicy swoje źródła informacji jak profesjonalny dziennikarz. Przy całym jego gadulstwie można mu było ufać. A poza tym miał odpowiednie doświadczenia w medycznych kręgach. Do tego zadania był idealny.

- Bernie, chciałbym cię prosić o przysługę.

- Oczywiście. Powiedz tylko, czy to mają być chłopcy, czy dziewczyny, ile sztuk i wymiary w przybliżeniu, resztą się zajmę.

- Ja mówię poważnie. Wiesz, że jestem klonem, prawda?

- Tak.

Duncan spodziewał się tego, nie była to najlepiej strzeżona tajemnica w Układzie Słonecznym.

- Auć... Słyszałeś o człowieku nazwiskiem Mortimer Keynes?

- Ten chirurg genetyczny? Jasne.

- Tak, on mnie sklonował. Dzwoniłem do niego ostatnio, żeby się, hmm, przywitać. Dziwnie się zachowywał, w zasadzie był bardzo nieprzyjemny.

- Nie nazwałś go chyba „doktorem”? Ci od genetyki tego nie znoszą.

- Nie, przynajmniej wydaje mi się, że nie. Nie chodziło o nic osobistego. Próbował mi tylko powiedzieć, że klonowanie jest złym pomysłem i że jest mu przeciwny. Czuję, że powinienem przeprosić za to, że żyję.

- Rozumiem. Ale co chcesz, żebyśmy zrobili? Mam dość wysokie stawki za morderstwo, ale jakoś się dogadamy.

- Zanim do tego dojdziemy, mógłbyś popytać wśród swoich znajomych lekarzy. Bardzo chciałbym wiedzieć, czemu sir Mortimer zmienił zdanie, o ile oczywiście ktokolwiek zna powód.

- Dowiem się, nic się nie martw, choć to pewnie zajmie kilka dni.

Berniemu to zadanie oczywiście bardzo się spodobało, był jednak nadmiernym pesymistą jeśli chodzi o czas realizacji - zadzwonił do Duncana już następnego dnia rano.

- Łatwo poszło - obwieścił tryumfalnie. - Wszyscy znają tę historię, sam też powinienem być ją pamiętać. Włączysz nagrywanie? Wysyłam ci kilka kilobajtów z *World Timesa*...

Tragikomiczna historia pojawiała się w ziemskich mediach przez kilka miesięcy jakieś piętnaście lat temu. Zresztą od czasu do czasu wciąż jeszcze wracało jej echo. Była to stara opowieść - stara jak ludzkość, powtarzana od wieków w tej czy innej formie. Duncan przeczytał kilka akapitów i już mógł sam sobie dopowiedzieć resztę.

Był sobie raz wspaniały, lecz starzejący się chirurg i jego równie wspaniały młody asystent, który naturalnym biegiem zdarzeń miał zostać jego następcą. Razem znali smak tryumfów i porażek i tak blisko byli ze sobą związani, że świat myślał o nich jak o jednej osobie.

Wtedy nastąpiła kłótnia na temat nowej techniki, którą młodszy z nich opracował. Nie było potrzeby, twierdził, czekać odwiecznych dziewięciu miesięcy pomiędzy poczęciem a narodzinami, skoro cały proces był teraz pod kontrolą. Jeśli podjąć odpowiednie środki bezpieczeństwa, by zabezpieczyć zdrowie kobiety, która nosiła ciężę, nie było powodu, by ta trwała dłużej niż dwa-trzy miesiące.

Z oczywistych powodów twierdzenie to wzbudziło szerokie zainteresowanie, mówiło się nawet żartobliwie o „natychmiastowych klonach”. Mortimer Keynes nie kwestionował teorii młodszego kolegi, ale potępił wszelkie próby wprowadzenia ich do użytku. Z konserwatyżmem, o którym niektórzy mówili, że jest cokolwiek nie na miejscu, upierał się, że Natura wybrała okres dziewięciu miesięcy nie bez powodu i ludzkość powinna się tego trzymać.

Biorąc pod uwagę, jak wielką zmianę klonowanie wprowadziło do zwykłego procesu reprodukcji, wyglądało to na dość dziwne zachowanie najlepszego specjalisty od klonowania, co zresztą szybko wytknęli mu krytycy. To jednak sprawiło tylko, że sir Mortimer był jeszcze bardziej uparty i czytając między wierszami, Duncan nabierał pewności, że prawdziwe obiekcje chirurga były inne od tych, które wyrażał. Z jakiegoś nieznanego powodu doświadczył kryzysu tożsamości: stał się nie tyle przeciwnikiem skrócenia ciąży, co całego procesu klonowania.

Młodszy naukowiec oczywiście nie zgadzał się z jego stanowiskiem kompletnie. Ich dyskusja stawała się coraz bardziej gorzka, a przy tym coraz bardziej publiczna, zwłaszcza że

podjudzali ją łowcy sensacji, ciekawi, kto kogo wreszcie pokona. Po nieudanej próbie pogodzenia obu panów ich współpraca dobiegła końca i nigdy więcej ze sobą nie rozmawiali. Głównym problemem organizatorów wszelkich kongresów medycznych było upewnienie się, że na żadnym spotkaniu nie będą obecni obaj jednocześnie.

To był koniec zawodowej kariery Mortimera Keynesa; słynna klinika, którą założył, została zamknięta, choć wciąż zachował swój gabinet przy Harley Street i w niewielkim zakresie udzielał porad. Jego był współpracownik, który miał niezwykły dar zdobywania prywatnych i publicznych funduszy, natychmiast założył własną klinikę i kontynuował swoje eksperymenty.

Im dłużej czytał z rosnącą ciekawością i ekscytacją tym bardziej Duncan zdawał sobie sprawę, że właśnie kogoś takiego potrzebuje. Miał czas, by zdecydować, czy skorzysta z przyspieszonego klonowania, czy nie; dobrze było natomiast wiedzieć, że taka opcja istniała i że w razie potrzeby mógłby wrócić na Tytana o kilka miesięcy wcześniej, niż planował.

Teraz musiał tylko zlokalizować dawnego współpracownika sir Mortimera. Całe szczęście, że wyszukiwanie nie musiało opierać się wyłącznie na nazwisku, było to bowiem jedno z najpopularniejszych nazwisk na świecie, w katalogu komsoli pojawiało się pół miliona razy. Szukał więc w „ogłoszeniach”.

I tak na małej wysepce u wybrzeży Afryki Duncan znalazł El Hadj Yehudi ben Mohammeda.

Ledwo zdążył zaaranżować lot na Zanzibar, gdy z Tytana przyszła sensacyjna wiadomość. Wysłana była z numeru Colina, ale Duncan nie mógł jej odszyfrować, dopóki nie zdał sobie sprawy, że oprócz standardowego szyfru użyto także prywatnego kodu Makenziech. Jednak nawet po dwóch rundach przetwarzania danych w miniseku, wiadomość pozostawała wciąż cokolwiek zagadkowa:

PRIORYTET AAA BEZPIECZEŃSTWO AAA
BRAK ŚLADU WYSYŁKI TYTANIT REJESTRACH DEPARTAMENT
SUROWCÓW OSTATNICH DWÓCH LATACH MOŻLIWE ZŁAMANIE PRZEPISÓW
FINANSOWYCH JEŚLI SPRZEDAŻ PRYWATNA ZA WYMIENNE SOLARY
NIEZAAKCEPTOWANA PRZEZ BANK TYTAN STARA PLOTKA DUŻE ODKRYCIE
NA ZEWNĘTRZNYM KSIĘŻYCU PROSZĘ HELMERA DOCHODZENIE DAM ZNAĆ
NAJSZYBCIEJ COLIN

Duncan odczytał wiadomość kilka razy bez żadnej natychmiastowej reakcji. Dopiero po chwili elementy układanki zaczęły stopniowo tworzyć nowe konfiguracje i wzór zaczynał się pojawiać. Był to jeden z tych, które Duncanowi nie podobały się ani trochę.

Oczywiście Colin poszedł do Armanda Helmera, Kontrolera Surowców, eksport minerałów podlegał jego jurysdykcji. Ponadto Armand był geologiem - sam kiedyś dokonał małego znaleziska tytanitu, z którego był nadzwyczajnie dumny.

Czy to możliwe, że Armand też jest w to zamieszany? Taka myśl przyszła Duncanowi do głowy, ale szybko ją odrzucił. Znał Armanda przez całe życie i pomimo wielu osobistych i politycznych różnic nawet przez chwilę nie podejrzewałby go o nielegalne działania, zwłaszcza takie, które dotyczyłyby prac jego własnego urzędu. Zresztą po co by mu to było? Tylko po to, by uezierać kilka tysięcy solarów w jakimś ziemskim banku? Armand był już za stary i zbyt zniszczony słabą grawitacją żeby w ogóle myśleć o powrocie na Ziemię, nie był też typem człowieka, który złamałby prawo z tak trywialnego powodu jak chęć sprowadzenia jakichś ziemskich dóbr na Tytana. Tym bardziej że takie matactwo szybko wyszłoby na jaw, przemysłowcy nigdy nie umieli oprzeć się pokusie chwalenia się swoimi skarbami. Trafiłyby one do ubogiego Muzeum Tytana, a przestępca miałby zakaz wstępu do wszystkich najlepszych miejsc nawet przez miesiąc.

Nie, Armand należało wykluczyć, ale co z jego synem? Im dłużej Duncan rozważał taką opcję, tym bardziej prawdopodobna się wydawała. Nie miał jednak żadnego dowodu - jedynie szereg faktów wskazujących jeden kierunek.

Zastanówmy się: Karl zawsze był odważny i żądny przygód, gotów na wszelkie ryzyko z byle powodu, który uważał za wystarczająco słuszny. Jako chłopiec uwielbiał łamać przepisy - wszystkie oprócz tych, których żaden zdrów na umyśle mieszkaniec Tytana nie ważyłby się kwestionować.

Gdyby tytanit odkryto na jednym z innych księżyców, Karl byłby w doskonałej sytuacji, by z tego faktu skorzystać. W ciągu ostatnich trzech lat odbył kilka wypraw na te satelity. Był jednym z niewielu ludzi, którzy stanęli na Enceladusie, Tetydzie, Dione, Rei, Hyperionie, Japecie, Febe, Chronusie i Prometeuszu. A teraz był na dalekiej Mnemosyne.

Duncan potrafił już ułożyć sobie kusząco prawdopodobny scenariusz. Karl mógł nawet sam dokonać odkrycia, a na pewno musiał widzieć wszystkie okazy trafiające na pokład statku badawczego, jego dobrze znany urok dokonałby reszty. Być może sam odkrywca nie wiedziałby nawet, co znalazł; niewielu ludzi widziało surowy tytanit i trudno go było zidentyfikować, dopóki nie został obrobiony.

Później wystarczyłoby wysłać niewielką paczuszkę na Ziemię, być może jednym ze statków dostawczych misji, które nie zatrzymywały się nawet na Tytanie. (Jak wyglądałaby wtedy sytuacja prawna? Byłaby raczej niejasna. Tytan miał w swojej jurysdykcji wszystkie *stałe* satelity, ale sytuacja tymczasowych, jak Febe czy inne, była niejasna. Możliwe zatem, że żadne prawo nie zostało złamane...).

Była to jednak czysta spekulacja. Nie miał najmniejszego twardego dowodu. Czemu w ogóle pomyślał o Karlu w tym kontekście?

Jeszcze raz przeczytał wiadomość, wciąż świecąca z ekranu komsoli. DUŻE ODKRYCIE NA ZEWNĘTRZNYM KSIĘŻYCU PROSZĘ HELMERA... ten fragment mu to zasugerował. Być może jednak to zestawienie faktów było czysto przypadkowe. Ale Makenzowie umieli czytać w swoich myślach, a Duncan wiedział, że ten dobór słów nie był przypadkowy. Colin nie musiał wspominać Helmera, wysłał sygnał ostrzegawczy.

Było nierozsądnym dalsze spekulowanie, ale Duncan nie mógł się powstrzymać. Następnym krokiem było pytanie: a jeśli Karl jest w to zamieszany, to z jakiego powodu?

Karl mógł ryzykować, mógł angażować się w rzeczy zupełnie nielegalne, ale musiał mieć po temu jakiś mocny powód. Jeżeli - a wciąż było to gigantyczne „Jeżeli” - próbował zgromadzić na Ziemi jakies większe środki, musiał mieć jakiś daleko sięgający w przyszłość plan. Najbardziej oczywistym było zbudowanie dla siebie mocnego zaplecza na Ziemi - dokładnie to, co Duncan robił w tym momencie.

Musiał mieć tu również swojego agenta, kogoś, komu mógłby ufać całkowicie. To nie byłoby trudne, Karl poznał setki Ziemiaków...

- O Boże - Duncan ciężko oddychał. - To wszystko tłumaczy...

Przyszło mu do głowy, że powinien odwołać wyjazd na Zanzibar, ale nie, wyjazd ten był ważniejszy niż wszystko inne poza przemówieniem jubileuszowym. W każdym razie nie wiedział, co jeszcze mógłby zrobić tu w Waszyngtonie, dopóki nie dotrą do niego kolejne wieści z domu.

Wciąż opierał się wyłącznie na domysłach, bez najmniejszego atomu dowodu. Ale w sercu czuł to zimne, zabójcze coś... i nagle, bez żadnego powodu, Duncan pomyślał o tej samotnej górze lodowej, niesionej na południe przez niewidoczny prąd oceaniczny ku jej nieodwołalnemu przeznaczeniu.

Rozdział dwudziesty szósty

Wyspa doktora Mohammeda

Zastępca El Hadja, doktor Todd, był jednym z tych lekarzy, którzy zdają się, nie zawsze słusznie, roztaczać wokół siebie aurę zaufania. I to pomimo młodego wieku i nieformalności w sposobie bycia; z powodów, których Duncan nigdy nie zrozumiał, wszyscy jego koledzy nazywali go „Sweeney”.

- Przykro mi, ale tym razem nie spotka pan doktora El Hadja - powiedział przepaszającym tonem Todd. - Musiał lecieć na Hawaje, nagła operacja.

- Myślałem, że w dzisiejszych czasach nie jest to konieczne.

- Zazwyczaj nie. Hawaje są jednak niemal dokładnie po drugiej stronie kuli ziemskiej, a to oznacza, że trzeba by pracować, łącząc się przez dwie satelity komunikacyjne. Podczas teleoperacji dodatkowe opóźnienia mogą być niebezpieczne.

Więc nawet na Ziemi - pomyślał Duncan - powolność fal radiowych może stanowić problem. Pół sekundy opóźnienie nie miałyby znaczenia w rozmowie, ale pomiędzy okiem a ręką chirurga mogłoby być zabójcze.

- Jeszcze dwadzieścia lat temu - tłumaczył Todd - było tu słynne laboratorium biologii morskiej. Były tu więc wszystkie urządzenia, jakich potrzebujemy. Oraz odosobnienie.

- Czemu to jest konieczne? - zapytał Duncan. Zastanawiał się, dlaczego klinika jest tak bardzo „nie po drodze”.

- Jest sporo emocjonalnego zainteresowania naszą pracą musimy kontrolować wszystkich gości. Pomimo transportu powietrznego dużo łatwiej to osiągnąć na wyspie niż gdziekolwiek indziej. A przede wszystkim musimy chronić nasze mamki. Może nie są szczególnie inteligentne, ale bardzo wrażliwe i nie lubią gdy się im przyglądać.

- Żadnej jeszcze nie widziałem.

- A naprawdę chce pan zobaczyć?

To było trudne pytanie, Duncan nie mógł się zdecydować. Trzydzieści jeden lat temu musiał urodzić się w miejscu podobnym do tego, choć pewnie nie aż tak spektakularnie pięknym. Jeśli przeszedł pełną procedurę - a zapewne w tamtych czasach innej opcji nie było - jakaś nieznana kobieta nosiła go w swoim brzuchu przez co najmniej osiem miesięcy po implantacji. Czy jeszcze żyła? Czy istnieje gdzieś zapisane jej nazwisko, czy była tylko numerem w pamięci komputera? Pewnie nawet to nie, bo tożsamość mamki nie miała najmniejszego biologicznego znaczenia. Czysto mechaniczne łono byłoby równie dobre, ale nigdy nie było potrzeby udoskonalać tak skomplikowanego urządzenia. W świecie, w którym naturalna reprodukcja była surowo ograniczona, zawsze pełno było ochotniczek, wystarczyło tylko dokonać wyboru.

Duncan nie pamiętał niczego na temat swojej mamki ani niczego z kilku pierwszych miesięcy życia, które jako niemowlę spędził na Ziemi. Każda próba sięgnięcia pamięcią w mgłę okrywającą jego wczesne dzieciństwo kończyła się porażką nie był pewien, czy to normalne, czy też początek życia został ukryty dzięki celowo przeprowadzonej amnezji. Podejrzywał to drugie, ponieważ zawsze odczuwał wyraźną niechęć do zgłębiania tych szczegółów.

Gdy formował pojęcie „matki”, od razu widział twarz żony Colina, Sheeli. Jej twarz była jego najwcześniejszym wspomnieniem, jej uczucie pierwszą prawdziwą miłością później dzieloną z babcią Ellen. Colin wybrał ją uważnie, nauczony błędami Malcolma.

Sheela traktowała Duncana dokładnie tak jak własne dzieci, a o Yurim i Glynn nigdy nie myślał inaczej, jak o starszym bracie i siostrze. Nie pamiętał, kiedy pierwszy raz zdał sobie sprawę, że Colin nie jest ich ojcem i że nie są spokrewnieni z nim genetycznie. Nigdy jednak nie miało to dla niego znaczenia.

Doceniał teraz owe dyskretne zdolności, dzięki którym powstała ta tak świetnie dopasowana „rodzina”, nie byłoby to możliwe w dawnych latach małżeństwa na wyłączność i seksualnej zaborczości. Nawet dziś nie było to łatwe zadanie, miał nadzieję, że on sam i Mirissa również dadzą sobie radę i że Clyde i Carline zaakceptują małego Malcolma jak brata, tak samo szczerze i w pełni, jak Yuri i Glynn zaakceptowali jego...

- Przepraszam - powiedział Duncan. - Zamyśliłem się.

- Nie dziwię się, to miejsce jest cholernie piękne. Czasami muszę zasuwać rolety, gdy chcę popracować.

W to łatwo było uwierzyć - piękno jednak nie było pierwszą rzeczą jaka uderzyła Duncana po przylocie na wyspę. Nawet teraz odczuwał przede wszystkim strach.

Począwszy od jakichś dziesięciu metrów od niego i kończąc się na ostrej niebieskiej linii horyzontu, zewsząd otaczała go woda. Zapełniała całe pole widzenia i nigdy wcześniej nie umiałby sobie tego ogromu nawet wyobrazić. To prawda, że widział ziemskie oceany z kosmosu, ale z tego olimpijskiego punktu obserwacyjnego trudno było sobie uzmysłowić ich ogrom. Nawet największe morza umniejszał fakt, że można było nad nimi przelecieć w dziesięć minut.

Ten świat rzeczywiście źle był nazwany: powinien nosić nazwę Ocean, a nie Ziemia. Duncan wykonał w pamięci szybkie obliczenie - jedna z tych umiejętności, które Makenzowie uważnie pielęgowali pomimo wszechobecnych komputerów.

Promień sześć tysięcy - jego oczy były na wysokości mniej więcej sześciu metrów nad poziomem morza - to łatwe, sześć razy pierwiastek z 2, czyli jakieś osiem kilometrów. Tylko

osiem! Niewiarygodne, mógłby przysiąc, że horyzont jest ze sto kilometrów od niego. Jego wzrok nie obejmował nawet procenta odległości od drugiego brzegu.

Widział teraz tylko dwuwymiarowy obcy wszechświat, wypełniony dziwnymi formami życia szukającymi czegoś do pożarcia. Dla Duncana ogromny spokojny błękit skrywał świat bardziej wrogi i bardziej przerażający niż kosmos. Nawet Tytan ze wszystkimi swoimi zagrożeniami wydawał się przy tym łagodny.

A mimo to były w nim dzieci, taplały się przy brzegu i znikaly pod wodą na przerażająco długie sekundy. Jedno z nich, Duncan był tego pewien, zniknęło na dobrze ponad minutę.

- Czy to jest bezpieczne? - spytał, nerwowo wskazując na lagunę.

- Nie pozwalamy im się zbliżać do wody, dopóki nie są na to gotowe. A jeśli już musisz się utopić, to to jest miejsce do tego idealne - z jedną z najlepszych na świecie infrastrukturą medyczną. W ciągu ostatnich piętnastu lat mieliśmy tylko jedną śmierć. Pewnie dałoby się to dziecko jeszcze ożywić, ale po godzinie pod wodą mózg ulega nieodwracalnym uszkodzeniom.

- A rekiny? I inne wielkie ryby?

- Nigdy nie mieliśmy ataku wewnątrz rafy i tylko jeden na zewnątrz. To niewielka cena za pobyt w raju. Jutro wypływamy na wycieczkę dużym trimaranem, może popłyniesz z nami?

- Przemyśle to - odpowiedział Duncan wymijająco.

- Och, pewnie też nigdy jeszcze nie byłeś pod wodą?

- Nigdy też nie pływałem po jej powierzchni. Tylko na basenie.

- Cóż, nie masz nic do stracenia. Choć wynik testów poznamy dopiero za czterdzieści osiem godzin, to jestem pewien, że będziemy mogli klonować z genotypu, który nam dostarczyłeś. Więc nieśmiertelność masz już załatwioną.

- Dziękuję najmocniej - odpowiedział Duncan sucho. - To zmienia postać rzeczy.

Dzieci w morzu najwyraźniej czuły się doskonale, a ich pewność siebie była hańbą dla jego człowieczeństwa. Musiał bronić honoru Makenziech. Spojrzał ponuro na tę okropną masę wody i zrozumiał, że będzie musiał się z nią zmierzyć przed wylotem z wyspy.

Nic nigdy wcześniej nie było mu bardziej obmierzłe.

Noc była piękna, na niebie lśniło więcej gwiazd, niż kiedykolwiek można by było dostrzec z powierzchni Tytana. Choć była dopiero dziewiętnasta - zbyt wcześnie na kolację, o

śnie nie wspominając - słońce dawno już zaszło, a z dala od budynków panowała nieprzenikniona ciemność.

Gdzieś z tej ciemności dobiegała muzyka - rytmiczne walenie w bębny, w którym więcej było entuzjazmu niż talentu. Ponad ten niezmienny rytm wzbijały się sporadyczne wybuchy melodii, kobiece głosy śpiewały sobie piosenki. Głosy te sprawiły, że Duncan poczuł nagłą tęsknotę za domem i samotność. Wąską ścieżką zaczął iść w kierunku odgłosów zabawy.

Kilka razy zgubił się w ślepych alejkach - raz trafił do uroczego zapadniętego ogrodu, z którego wycofał się rakiem, przepaszając bawiącą tam parę zakochanych - aż wreszcie dotarł na polanę, gdzie odbywała się zabawa. Na środku z dużego ogniska słup dymu i płomieni unosił się ku gwiazdom, wokół niego tańczyła grupa kobiet, niczym szamanki jakiejś prymitywnej religii.

Nie tańczyły jednak ani z gracją ani żwawo, prawdę mówiąc, ich ruch przypominał raczej dostojne człapanie. Pomimo jednak zaawansowanych ciąż kobiety bawiły się znakomicie i tak aktywnie, jak tylko mogły sobie w swoim stanie pozwolić.

Było to widowisko groteskowe, a jednocześnie dziwnie poruszające, w Duncanie wywołało mieszaną żalu i czułości, a nawet nieosobowej, zupełnie nierotycznej miłości. Był to ten rodzaj czułości, jaki ludzie czują w obliczu narodzin i cudu ich własnej egzystencji; żal miał inny powód.

Brzydota i deformacja były na Tytanie rzadkością - na Ziemi jeszcze większą - jako że obie te przypadłości prawie zawsze można było poprawić. Prawie - ale nie zawsze. Tutaj był na to dowód.

Większość tych kobiet była po prostu zwyczajna, niektóre były brzydkie, kilka było okropnych. I choć Duncan dostrzegł dwie lub trzy, które można by uznać za naprawdę ładne, to od razu widać było, że są mentalnie upośledzone. Gdyby jego „siostra” Anitra żyła do dzisiaj, świetnie by się odnalazła w tym towarzystwie.

Gdyby tancerki - oraz pozostałe kobiety, siedzące jedynie przy bębnach lub grające na skrzypcach - nie były w tak oczywisty sposób szczęśliwe, całe przedstawienie byłoby niepokojące, jeśli nie przyprawiające o mdłości. Duncan nie był jednak poruszony, być może widok ten go zaskoczył, ale z grubsza wiedział, czego się spodziewać.

Wiedział, według jakiego klucza dobierano mamki. Podstawowym warunkiem był oczywiście brak problemów ginekologicznych. O, to było łatwo sprawdzić, trudniej było poradzić sobie z czynnikami psychologicznymi, a to mogło być nawet niemożliwe w świecie, w którym światowa populacja była komputerowo profilowana.

Zawsze były kobiety, które desperacko pragnęły rodzić dzieci, a które z różnych powodów nie mogły tego osiągnąć. Dawniej skazane były na frustrujące staropanieństwo; nawet teraz w 2276 roku takie sytuacje się zdarzały. Więcej było kobiet pragnących dzieci, niż kontrola urodzin dopuszczała. Te z nich, które były szczególnie „wadliwe”, mogły znaleźć kompensatę tutaj. Przegrane w loterii losu tutaj dostawały nagrodę pocieszenia i przez kilka miesięcy to szczęście, którego tak pragnęły, mogło być ich udziałem.

Światowy komputer był więc zaprogramowany jako instrument współczucia, ten humanitarny akt zrobił więcej niż cokolwiek innego, by uciszyć przeciwników klonowania.

Oczywiście nadal pozostawały pewne problemy. Wszystkie te kobiety musiały wiedzieć, że wkrótce po porodzie zostaną odsunięte na zawsze od dzieci, które przyniosły na świat. Był to smutek, którego żaden mężczyzna nie był w stanie pojąć, a jednak kobiety były silniejsze od mężczyzn i radziły sobie z tą świadomością najczęściej po raz kolejny biorąc udział w akcie tworzenia życia.

Duncan pozostał w cieniu, nie chcąc być widocznym i oczywiście nie chcąc brać udziału w tej zabawie. Niektóre z tych matek mogły zmiażdżyć go na papkę, gdyby porwały go do tańca. Zauważył teraz grupkę mężczyzn - prawdopodobnie pracowników kliniki - którzy mieszały się z tłumem kobiet i beztrąsko brali udział w zabawie.

Przyszło mu do głowy, że i tu musiała być stosowana jakaś psychologiczna selekcja, kilku z tych mężczyzn wyglądało na bardzo zniewieściałych i traktowali swoje podopieczne z czymś, co można by nazwać najwyżej siostrzaną sympatią. Byli bliskimi przyjaciółmi i najwyraźniej tak miało już pozostać.

W ciemnościach nikt nie mógł zauważyć uśmiechu na twarzy Duncana. Przypomniawszy sobie - po raz pierwszy od lat - chłopca, który zakochał się w nim, gdy miał kilkanaście lat. Trudno jest odrzucić kogoś, kto cię uwielbia, ale choć dobry z natury Duncan uległ kilka razy zalotom Nikkiego, w końcu jednak rozstał się z nim pomimo istnych potoków łez. Żal nie jest dobrą podstawą związku i Duncan nigdy nie czuł się szczęśliwy z kimś, kogo uczucia skierowane były wyłącznie na jedną płęć. Zupełne przeciwieństwo agresywnej normalności Karla, którego w ogóle nie obchodziło, czy więcej romansów miał z chłopcami niż z dziewczętami, czy na odwrót. Przynajmniej dopóki nie spotkał Calindy.

Wspomnienia te, tak niespodziewanie wyciągnięte z zamierzchłej przeszłości, uświadomiły Duncanowi, jak skomplikowane prądy emocjonalne muszą tędy przepływać. I nagle przypomniał sobie ową nieprzyjemną rozmowę - czy raczej monolog doktora Keynesa.

To, że pójdzie w ślady Colina i Malcolma, zawsze było dla niego oczywiste i bezdyskusyjne. Teraz zrozumiał, dość późno, że za wszystko była jakaś cena i że wszystko należało rozważyć uważnie, nim decyzje zostaną podjęte.

Klonowanie nie było ani dobre, ani złe, tylko jego cel był istotny. A cel ten nie mógł być trywialny ani egoistyczny.

Rozdział dwudziesty siódmy

Złota Rafa

Jaskrawozielony pas palm i piękny biały półksiężyc doskonałej plaży były teraz oddalone o ponad kilometr i znajdowały się po drugiej stronie rafy koralowej. Nawet widziana przez ciemne okulary, których nie śmiał ściągnąć ani na chwilę, scena ta była niemal boleśnie jasna; gdy spojrział w kierunku słońca i ujrzał jego odbicie na falach, jego oczy zostały prawie oślepienie. Choć była to drobnostka, to jednak wzmocniła poczucie oddalenia od pozostałych uczestników wycieczki. Co prawda większość z nich też nosiła ciemne okulary, ale raczej z wygody niż z konieczności. Pomimo całkowicie ziemskich genów okazywało się, że nieodwołalnie zaadaptował się do światła panującego na świecie dziesięć razy bardziej odległym od Słońca.

Pod miękko sunącymi po falach kadłubami trimarana woda była tak przejrzysta, że obawy Duncana jeszcze się pogłębiły. Łódź zdawała się wisieć w powietrzu bez żadnego widocznego wsparcia u dołu, jakies pięć czy dziesięć metrów ponad pstrokatym dnem. Dziwne, że niepokoiło to kogoś, kto oglądał Ziemię z orbity, setki kilometrów ponad atmosferą.

Przeraził go nagły odległy huk, tak niepasujący do tego idyllicznego spokojnego poranka. Dobiegał gdzieś z otwartego morza i Duncan odwrócił się w jego kierunku w samą porę, by dostrzec jeszcze słup kropelek wody powoli opadających na powierzchnię. Z pewnością nikt nie pozwoliłby łodziom podwodnym wpływać na te wody.

Teraz widać było strumień pary rosnący ukośnie z morza, przez chwilę wiszący w jasnym świetle słońca i powoli zanikający.

Przez całą minutę nic więcej się nie wydarzyło. Aż nagle...

Duncan był aż sparaliżowany z zaskoczenia. Niewiarygodnie powoli, ale też z nieuchronnością kontynentu wyrastającego z przedwiecznych głębin, olbrzymi szary kształt zaczął wynurzać się z morza. Gigantyczne płetwy rozbiły z impetem fale i stworzyły kolejny

słup spienionej, białej wody. Cielsko wciąż rosło na przekór prawom grawitacji, aż wreszcie zawisło na chwilę ponad błękitną krawędzią horyzontu. Po czym, wciąż w zwolnionym tempie, opadło z powrotem do wody i zniknęło pod ostatnim gejzerem piany. Zdawało się, że dźwięk tego uderzenia dobiegł ich całe wieki później.

Duncan nie mógłby sobie nawet wyobrazić niczego podobnego, ale nie potrzebował objaśnień. *Moby Dick* był jedną z tysięcy klasycznych ziemskich książek, które znał głównie ze słyszenia, ale teraz zrozumiał jak musiał się czuć Herman Melville, gdy po raz pierwszy ujrzał morze wzburzone lśniącem cielskiem wielkim jak przewrócony statek, i w obrazie białego wieloryba dostrzegł symbol sił rządzących wszechświatem.

Czekał wiele minut, ale olbrzym nie pojawił się znowu, choć od czasu do czasu widać było krótkie smuzki pary wodnej pojawiające się coraz dalej i dalej, aż wreszcie zniknęły z pola widzenia.

- Po co on to zrobił? - zapytał doktora Todda głosem wciąż ściszym, nadal bowiem pozostawał pod wrażeniem tego majestatu.

- Nikt nie wie tak naprawdę. Może dla czystej uciechy, może by zaimponować damom. Albo żeby pozbyć się pasożytów: wieloryby są często atakowane przez minogi i wąsonogi.

Kompletnie niedorzeczne, pomyślał Duncan. To wręcz oburzające, by boga dręczyły wszy.

Trimaran zwolnił nieco, a niezwykła dziwność i czyste piękno podwodnego świata przykuły jego uwagę tak bardzo, że zapomniał, jak daleko było stąd do lądu. Fantastyczne kształty koralu, kolory ryb pływających między nimi były dla niego objawieniem. Już wcześniej zdumiała go różnorodność form życia na ziemi, teraz widział, że morze obfitowało w nie jeszcze bardziej.

Coś przypominającego antyczny odrzutowiec powoli przepłynęło pod nimi, falując i trzepocząc wielobarwnymi skrzydłami. Żadna inna ryba nie zwróciła na to uwagi; ku zaskoczeniu Duncana obeszło się bez najmniejszej choćby rzezi, której się spodziewał po świecie, w którym wszystko mogło zjeść wszystko inne. W rzeczywistości trudno byłoby sobie wyobrazić bardziej pokojową scenkę, te kilka ryb, które goniło inne, robiło to najwyraźniej tylko po to, by bronić swojego terytorium. Wrażenie, które odniósł z lektury książek i z filmów, okazało się zupełnie mylące. Współpraca, a nie rywalizacja zdawała się dominować na rafie.

Trimaran zatrzymał się, do wody rzucono kotwicę - a zaraz za nią dwa pontony, czterech lekarzy, pięć pielęgniarek i całą masę sprzętu do nurkowania. Duncanowi wydawało

się, że wszystko odbywa się w kompletnym chaosie, a jednak było dużo lepiej zaplanowane, niż mógł sobie zdać sprawę. Nurkowie szybko rozdzielili się na trzyosobowe grupki i każda z nich odплыnęła jednym z pontonów w kierunku wcześniej obranych miejsc.

- Jeśli tu jest tak bezpiecznie - zauważył Duncan - to dlaczego każdy z nich ma przy sobie nóż i te groźnie wyglądające małe oszczepy?

Trimaran był teraz niemal całkiem opustoszały, oprócz Duncana na pokładzie został tylko kapitan, który niemal natychmiast zasnął przy sterze, inżynier, który zniknął pod pokładem, i dr Todd.

- To nie jest broń. To narzędzia ogrodnicze.

- No to muszą tu być bardzo dzikie chwasty, nie chciałbym się z nimi zetknąć.

- Tak - odpowiedział Todd. - Niektóre potrafią całkiem nieźle walczyć. Dlaczego sam nie sprawdzisz tam na dole? Będziesz żałował takiej okazji.

Była to całkowita prawda, jednak Duncan wciąż się wahał. Woda, na której delikatnie kołysał się trimaran, była bardzo płytka, wyglądało na to, że nie jest głębsza niż w hotelowym basenie.

- Zejdę z tobą. Możesz postać na drabince, dopóki nie przyzwyczaisz się do maski tlenowej. Oddychanie przez fajkę powinno być łatwe dla kogoś, kto na co dzień obcuje z kombinezonem kosmicznym.

Duncan nie przyznał się, że nigdy nie miał na sobie prawdziwego kombinezonu kosmicznego, niemniej warunki poruszania się w otwartej przestrzeni na Tytanie powinny być wystarczającym treningiem. Poza tym co mogłoby się stać w zaledwie kilkumetrowej wodzie? Widział miejsca, w których mógłby stanąć na dnie i mieć głowę ponad powierzchnią morza. Sweeney Todd miał rację: nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby nie skorzystał z takiej niepowtarzalnej okazji.

Dziesięć minut później pluskał się już niewprawnie, ale stabilnie w wodzie. Choć było to zaskakujące - i wręcz nieobyčajne - Todd nalegał, by ubrał się od stóp do głów w jednoczęściowy strój z ściśle przylegającego materiału. Nie miał on wpływu na jego ruchy, ale wolałby pływać bez niego.

- Niektóre z tych koralowców mogą cię poparzyć - wyjaśnił lekarz. - Mogłoby ci to zepsuć zabawę na cały dzień, a w dodatku mógłbyś mieć reakcję alergiczną.

- Jeszcze jakieś zagrożenia?

- Nie, to już wszystko. Obserwuj mnie i rób to co ja, a jeśli potrzebujesz odpoczynku to płyn w stronę pontonu.

Duncan szybko nabrał pewności siebie i zaczął się nawet dobrze bawić. Płynąc za pontonem, nie czuł żadnego zagrożenia, też dlatego, że nie puszczał liny bujającej się na wodzie. Pomagała też świadomość, że doktor Todd trzymał się cały czas nie dalej niż na metr od niego. Był wręcz aż przesadnie ostrożny. Nawet gdyby z głębin wynurzył się groźny rekin, Duncan był pewny, że w dwie sekundy mógłby znaleźć się w pontonie, i to pomimo ziemskiej grawitacji.

Gdy nauczył się oddychać przez fajkę do nurkowania, trzymał głowę pod wodą niemal cały czas. Próbował nawet płytkich nurkowań, co wymagało wstrzymania oddechu na dłuższą chwilę. Panorama na dole była tak niezwykła, że Duncan zapomniał kilka razy o oddechu i wypłynął na powierzchnię, zabawnie parskając.

Pierwszy znak znajdował się na głębokości pięciu metrów i fluorescencyjnymi żółtymi literami ostrzegał: ZAKAZ NIEUPRAWNIONEGO NURKOWANIA POZA TYM PUNKTEM. Drugie ostrzeżenie było mrugającym hologramem, który dla ryb musiał być bardzo konfundujący: TA RAFA JEST MONITOROWANA. Duncan nigdzie nie dostrzegł projektorów, musiały być bardzo sprytnie ukryte.

Todd wskazywał do przodu na grupę nurków pracujących wzdłuż krawędzi rafy. Więc nie żartował: oni naprawdę wykonywali prace ogrodnicze, wrywając trujące chwasty. I każdy z nich otoczony był chmurą wspaniale kolorowych ryb, korzystających najwyraźniej z ich pracy.

Formacje koralowców zdawały się zmieniać kształty. Nawet dla niewprawnego oka Duncana wyglądały one dziwnie, wręcz nienormalnie. Przyzwyczał się już do rozgałęzionych odnóg koralowców, poskręcanych labiryntów wyglądających jak gigantyczne mózgi, delikatnych grzybów czasami o metrowej średnicy. Wciąż tutaj były, jednak nieco zniekształcone.

Wtedy zobaczył pierwszy metaliczny błysk, później kolejny i jeszcze jeden. Gdy podpłynął bliżej, błękitna mgielka przestała rozmazywać szczegóły podwodnego świata. Duncan zrozumiał, dlaczego ta rafa była tak lubiana i chroniona.

Wszędzie gdzie spojrzał, spod koralowców iskrzyło i lśniło złoto.

Dwieście lat wcześniej było to jedno z największych osiągnięć inżynierii biologicznej, które przyniosło swoim twórcom światową sławę. Jak na ironię, sukces ten osiągnięto, gdy już nie był potrzebny; to co miało zaspokajać życiowe potrzeby, było już tylko technologicznym *cul-de-sac*.

Od stuleci wiadano, że niektóre morskie organizmy potrafiły ekstrahować na potrzeby własnej wewnętrznej ekonomii pierwiastki obecne w wodzie w niewiarygodnie małych ilościach. Jeśli gąbki, ostrygi i inne małe stworzonka potrafiły dokonywać takich cudów chemicznej inżynierii z jodem i wanadem, czemuż by nie mogły - dowodzili naukowcy w XXII wieku - nauczyć się tego samego z dużo cenniejszymi pierwiastkami?

I tak po heroicznym próbach z genetyczną manipulacją kilka gatunków koralowców zdołano namówić do pozyskiwania złota, najlepsze potrafiły zamienić niemal dziesięć procent swoich wapiennych szkieletów tym drogocennym metalem. Sukces ten jednak mierzony był tylko w ludzkich kategoriach. Ponieważ złoto zwykle nie odgrywa żadnej roli w reakcjach biochemicznych, konsekwencje dla koralowców były katastrofalne: złotodajne rafy nigdy nie były zdrowe i trzeba było je chronić przed chorobami i drapieżnikami.

Zdołano pozyskać w ten sposób zaledwie kilka ton kruszcu, nim przemiany sprawiły, że przestało być to opłacalne; piece nuklearne mogły produkować złoto tak samo tanio jak każdy inny metal. Przez jakiś czas bardziej dostępne rafy pełniły rolę atrakcji turystycznych, jednak łowcy pamiątek szybko je zniszczyli. Obecnie została tylko jedna i ekipa doktora Mohammeda postanowiła się nią opiekować.

W regularnych odstępach czasu lekarze i pielęgniarki odrywali się od swoich zwykłych obowiązków i poświęcali się żmudnej pracy na rafie. Podawali uważnie dobrane nawozy i antybiotyki, by poprawić zdrowie żywych koralu, i prowadzili wojnę z ich wrogami, zwłaszcza z żarłoczną rozgwiazdą znaną jako korona cierniowa i jej mniejszymi krewnymi, jeżowcami.

Duncan płynął zupełnie zrelaksowany w chłodnawej wodzie, od czasu do czasu leniwie ruszając rękoma i ustawiając się zawsze w cieniu pontonu. Rozumiał teraz, do czego służyły te noże i dzidy; wrogowie nurków byli faktycznie nieźle chronieni.

Zaledwie kilka metrów pod nim jeden z nurków dźgał właśnie kolonię małych czarnych kulek, każdą w sam środek pięknego wzoru utworzonego z ostrych jak igła grzbietów. Od czasu do czasu któraś z kul otwierała się, a jakaś szczęśliwa ryba pożerała kawałki wypływającego z niej białego mięsa. Był to przysmak, którego nie mogłyby kosztować zbyt często bez ludzkiej interwencji. Duncan nie umiał sobie wyobrazić, by te najeżone bestie miały jakichkolwiek naturalnych wrogów.

Jedna z pielęgniarek zauważyła dwóch widzów oglądających ich pracę z góry i gestem zaprosiła Duncana, by do niej dołączył. Całkowicie zafascynowany widowiskiem bez najmniejszego namysłu posłuchał jej wołania. Nabrał głęboko powietrza i częściowo wydechając je, zaczął powoli zanurzać się wzdłuż linii łączącej ponton z dnem.

Odległość była większa, niż myślał, zapomniał bowiem o tym, że światło w wodzie załamuje się i to co miało być trzy metry od niego, tak naprawdę było oddalone o co najmniej pięć. W pół drogi w lewym uchu usłyszał niepokojące „klik”, ale dr Todd uprzedził go o tym, więc nie zastanawiał się dłużej nad jego pochodzeniem. Gdy dotarł do kotwicy i chwycił ją rękoma, poczuł się, jakby dokonał czegoś wielkiego. Był teraz nurkiem głębinowym - osiągnął słynną głębokość pięciu metrów. No, może czterech i pół...

Złoto lśniło wszędzie wokół niego. Żadna jego grudka nie była większa niż ziarno piasku, grudek tych jednak było wokół nieskończenie wiele. Cała rafa była nimi impregnowana. Duncan poczuł się, jakby płynął obok arcydzieła jakiegoś szalonego jubilera pragnącego stworzyć barokowe cudo bez względu na koszt. Wszystko to jednak było dziełem bezmózgich polipów, a nie - przynajmniej nie bezpośrednio - ludzkiego intelektu.

Niechętnie popłynął ku powierzchni, by nabrać powietrza. To było łatwe, wstydził się swoich wcześniejszych lęków. Rozumiał teraz, jak przybysze reagowali na Tytanie; następnym razem, gdy ktoś grzecznie odrzuci zaproszenie do wyjścia na powierzchnię księżycy, Duncan będzie bardziej tolerancyjny.

- Czym są te czarne twory? - spytał doktora Todda, który cały czas unosił się nad nim na wszelki wypadek.

- Kolczaste jeżowce, *Diadema coś-tam*. Ich duża ilość świadczy o zanieczyszczeniu albo o nierównowadze ekologicznej. W przeciwieństwie do acanthasterów nie niszczą rafy, ale są brzydkie i przeszkadzają. Jak wdepniesz w takiego, to igła może tkwić w ciele tygodniami. Schodzisz na dół jeszcze?

- Tak.

- Dobrze, tylko nie przemęcz się. I uważaj na kolce!

Duncan chwycił się raz jeszcze liny kotwicznej, a pielęgniarka pomachała mu ręką na powitanie, gdy do niej dotarł. Podała mu ów groźny nóż i wskazała na małą grupkę jeżowców. Duncan skinął, chwycił za rękojeść noża i zaczął dźgać niewprawnie, uważając na złowrogie czarne igły.

Wkrótce zauważył, ku swojemu sporemu zaskoczeniu, że te małe zwierzęta były świadome jego obecności i nie polegały wyłącznie na statycznej obronie. Długie igły wyciągały się ku niemu, ustawiając się w kierunku największego zagrożenia. Zapewne był to tylko prosty automatyczny odruch, ale zatrzymał się na chwilę. Było to coś, czego nie dało się dostrzec okiem, być może pierwsze słabe manifestacje wschodzącej świadomości.

Jego nóż był dłuższy od ich igieł, więc uderzał z całej siły raz po raz. Pancierz był twardszy, niż się spodziewał, ale zaczął już pękać, więc oczekujące w pobliżu ryby rzuciły się na kremowe białe mięso, które nagle zostało odsłonięte.

I wtedy, z rosnącym dyskomfortem, Duncan zrozumiał, że jego ofiara nie umiera w milczeniu. Od jakiegoś czasu miał świadomość słabych dźwięków w wodzie wokół siebie - uderzenia innych nurków w rafę, sporadyczny stuk kotwicy o skały. Ten dźwięk dobiegał jednak ze znacznie bliższej odległości i był dość szczególny - wręcz nieprzyjemny. Brzmiało to jak trzeszczenie czy chrobotanie; choć ta analogia była ewidentnie śmiechu warta, to można to było porównać do zgrzytania tysięcy małych zębów zaciśniętych we wściekłości i agonii. Co więcej, nie było wątpliwości, że dźwięk ten dobiegał z wypatroszonego jeżowca.

Ten słaby nieludzki śmiertelny chrobot był tak nieoczekiwany, że Duncan powstrzymał atak i trwał w wodzie bez ruchu. Zupełnie zapomniał o potrzebie złapania oddechu, a świadoma część jego mózgu zupełnie odrzuciła coraz większe symptomy duszenia się - tym można będzie zająć się później. W końcu jednak nie mógł już dłużej ich ignorować i rzucił się do góry, by złapać tchu.

Z ogromnym poczuciem winy - a nawet w szoku - Duncan zrozumiał, że właśnie zniszczył żywą istotę. Nim opuścił Tytana, do głowy by mu nie przyszło, że takie doświadczenie może stać się jego udziałem.

Trudno czuć się bardzo winnym z powodu zabicia jeżowca, a jednak Duncan po raz pierwszy w życiu był zabójcą.

Rozdział dwudziesty ósmy

Śledztwo

Po powrocie do Waszyngtonu w Hotelu Jubileuszowym Duncan zastał drugą tykającą bombę zegarową. I tym razem była tak zaszyfrowana, że prawie niezrozumiała, nawet dla tego, kto byłby w stanie ją odcyfrować.

POTWIERDZONE TWÓJ STARY PRZYJACIEL MA TAJNE KONTO 65842
GENEWA ODDZIAŁ PIERWSZEGO BANKU ARYSTARCHA KILKADZIESIĄT
TYSIĘCY SOLARÓW INFORMACJA TAJNA NIE UJAWNIAĆ ŻADNYM POZOREM
PRAWDOPODOBNIENIE SPRZEDAŻ TYTANITU SPRAWDZAMY MNEMOSYNE NA
RAZIE UWAŻAJ POZDRAWIAM COLIN

Duncan rozumiał doskonale, dlaczego informacja była ściśle tajna: banki księżycowe dobrze strzegły swych tajemnic i bóg jeden wie jakich cudownych sił perswazji - lub taktownego szantażu - musiał użyć Colin, by zdobyć numer konta Karla. Mimo to nie udało mu się poznać dokładnego salda rachunku, oczywiście było ono znaczące. Dziesięć tysięcy solarów wystarczyłoby na zakup kilku luksusowych ziemskich posiadłości i kilka razy przekraczało sumę, jaką Makenzowie trzymali na swoich całkowicie legalnych rachunkach. Taka suma pieniędzy była czymś więcej niż ewentualnym powodem do zazdrości, była niepokojąca, zwłaszcza jeśli miałyby służyć jakimś tajnym planom.

Duncan pozwolił sobie na kilka chwil rozmarzenia, wyobrażał sobie, co mógłby zrobić z dwudziestoma czy trzydziestoma tysiącami solarów. W końcu stanowczo odłożył na bok te kuszące wizje i skupił się na problemie. Póki udział Karla oparty był tylko na podejrzeniach, nie chciał tracić czasu na analizowanie „jak”, „kiedy” i przede wszystkim „dlaczego”. Teraz jednak, gdy podejrzenie przeszło w pewność, nie mógł dłużej unikać tematu.

Jaka szkoda, że nie mógł zapytać wprost! Nie mógł zadzwonić do banku i spytać o stan konta 65842, nawet Rząd Światowy nie mógłby tak zrobić, chyba że kradzież lub inne przestępstwo byłoby już ostatecznie udowodnione. Nawet najbardziej dyskretne pytanie wywołałoby eksplozję, ktoś na pewno straciłby stanowisko, a Colin musiałby zapewne odpowiadać na najbardziej krępujące pytania.

Jedynym *prawdziwym* problemem w życiu było - jak ujął to dawny filozof - co dalej? Nadal sprawa nie miała jasnego związku z Calindy ani z nikim innym. Duncan nie miał ochoty na bawienie się w szpiegowski antyczny melodramat, nie wiedziałby zresztą jak taką zabawę w ogóle rozpocząć. Colin lepiej by sobie z tym poradził. Spośród trzech Makenziech był jedynym, który potrafił używać sprytnych wybiegów, niedyskrecji i pośredników. Teraz prawdopodobnie świetnie się bawił, zwłaszcza że nigdy nie lubił Karla, pozostając jednym z niewielu ludzi na Tytanie odpornych na jego urok.

Colin jednak, choć świetnie sobie radził, był miliard kilometrów stąd, po drugiej stronie trzygodzinnego opóźnienia w komunikacji. Na Ziemi nie było nikogo, komu Duncan mógłby się zwierzyć; to była wewnętrzna sprawa Tytana i wciąż jeszcze mogła się okazać burzą w szklance wody. Jeśli jednak miałyby to być coś poważniejszego, to lepiej, żeby o sprawie wiedziało jak najmniej osób.

Duncan rozważył - i szybko odrzucił - myśl o tym, żeby zawiadomić ambasadora Farrella. Można go będzie wciągnąć w temat później, ale jeszcze nie teraz. Dyskrecja Boba Farrella nie zrobiła na Duncanie najlepszego wrażenia, a poza tym on był Ziemianinem. Co

więcej, gdyby ambasada odkryła, że po Ziemi krąży większa suma bezpańskich pieniędzy, z pewnością zaczęłoby się pośpieszne przeciąganie liny. Oczywiście trzeba było zapłacić czynsz na Wyoming Avenue, ale potrzeby Tytana stały jednak na pierwszym miejscu.

Ale jednak był chyba ktoś, komu Duncan mógł zaufać. Człowiek, który jako pierwszy podniósł temat i który był równie zainteresowany w rozwiązaniu zagadki. Duncan wpisał nazwisko w komsoli, zastanawiając się, czy przyjmie ona ów śmieszny apostrof. Zgubił gdzieś kartę sprzedawcy, która wybrałaby numer automatycznie.

- Pan Mandel'stahn? - odezwał się, gdy ekran rozbłysł jasnym światłem. - Duncan Makenzie z tej strony. Mam trochę nowych informacji. Gdzie moglibyśmy się spotkać na rozmowę w cztery oczy?

- Czy jest pan absolutnie pewien - spytał Duncan nerwowo - że nikt nas tu nie podsłucha?

- Naoglądał się pan zbyt wielu historycznych filmów, panie Makenzie - odpowiedział Ivor Mandel'stahn. - Nie żyjemy w dwudziestym wieku i trzeba by chyba stanu wyjątkowego, by założyć pluskwy w każdym automatycznym minibusie w Waszyngtonie. Wszystkie najbardziej poufne sprawy załatwiam, jeżdżąc tam i z powrotem po Mallu, absolutnie nie ma się czego obawiać.

- Świetnie. Szalenie ważne jest, żeby te informacje nie wyszły poza ten pojazd. Jestem głęboko przekonany, że wiem, skąd pochodzi tytanit. Co więcej, wiem dobrze, kim jest agent na Ziemi, który jak się okazuje, dokonał już kilku znaczących sprzedaży.

- Też to odkryłem - powiedział Mandel'stahn cokolwiek pochmurno. - O jak znaczących kwotach mówimy?

- Kilkadziesiąt tysięcy solarów.

Ku zdumieniu Duncana Mandel'stahn zdecydowanie się rozpogodził.

- Och, tylko tyle? - zawołał. - Bardzo mi ulżyło. A może mi pan podać nazwisko tego agenta? Mój pośrednik nie chce nic zdradzić.

Duncan zawahał się.

- Jeżeli dobrze pamiętam, sugerował pan, że wszystko odbywa się zgodnie z ziemskim prawem?

- Zgadza się. Nie istnieją cła na kamienie szlachetne sprowadzane spoza Ziemi. Z tej strony wszystko jest absolutnie legalne, o ile oczywiście tytanit nie został skradziony, a ziemski agent nie jest współwinny.

- Jestem pewien, że nie mamy do czynienia z taką sytuacją. Widzi pan - i nie jest to aż tak wielki znowu zbieg okoliczności, jak można by pomyśleć - agent nie jest mi obcą osobą.

Uśmiech zrozumienia pojawił się na twarzy Mandel'stahma.

- Rozumiem pański problem.

Wcale nie rozumiesz - pomyślał Duncan. Był w straszliwie skomplikowanej sytuacji. Teraz był całkowicie pewien, dlaczego Calindy starała się go unikać. Karl musiał ją ostrzec o jego podróży na Ziemię i doradził, by trzymała się z dala od niego.

Tak, Karl musiał się bardzo martwić na maleńkiej Mnemosyne, że Duncan trafi na ślad jego działań.

Szalenie ważne było trzymać się z boku, Calindy nie mogła dowiedzieć się, że on wie. Nie było sposobu, w jaki mogła powiązać go z Mandel'stahmem, z którym już handlowała poprzez skrajnie dyskretnego pośrednika.

Duncan jednak wciąż wahał się, jak mistrz szachowy przed decydującym ruchem. Analizował własne motywy i własną świadomość, bo jego prywatne i oficjalne interesy nierozzerwalnie się związały.

Bardzo chciał dowiedzieć się, co Karl robi i co planuje, i pokrzyżować mu plany, jeśli będzie to konieczne. Chciał, by Calindy zawstydzila się swojego oszustwa i być może obrócić jej wstyd na własną korzyść. (Była to jednak raczej pusta nadzieja, zawstydzić Calindy nie było łatwo, jeśli w ogóle możliwe...). No i chciał pomóc Tytanowi, a więc też Makenziem. Tych trzech celów nie dało się pogodzić, Duncan chciałby, żeby tytanitu nigdy w ogóle nie odkryto. Miał teraz jednak przed sobą znakomitą szansę, pod warunkiem że wykona wystarczająco mądre posunięcia.

Ich pojazd mknął właśnie z zawrotną prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę pomiędzy Kapitołem a Biblioteką Kongresu. Widok ten przypomniał Duncanowi o jego innym obowiązku: był już ostatni tydzień czerwca, a jego mowa wciąż nie wyszła poza fazę kilku stron notatek. Zbyt wiele przygotowań było jedną z wad Makenziech, robienie rzeczy w ostatniej chwili było kompletnie obce ich naturze. Nawet jednak biorąc pod uwagę ową wadę, z której Duncan świetnie zdawał sobie sprawę, zaczynał powoli odczuwać coś na kształt paniki.

Problem był bardzo prosty, jednak sama diagnoza nie wskazywała jeszcze rozwiązania. Mimo wszelkich starań Duncan wciąż nie mógł się zdecydować na temat przewodni swojej mowy ani na żadne przesłanie z Tytana bardziej inspirujące niż standardowe puste słowa oficjalnych pozdrowień.

Pojazd przejeżdżał teraz obok stumetrowej repliki Saturna V, leżącej poziomo w miejscu, w którym niegdyś znajdowała się siedziba NASA. Nie mogli jeździć po Waszyngtonie przez cały dzień. Dobrze więc... - pomyślał Duncan z westchnieniem.

- Czy mam pańską gwarancję, że moje nazwisko pod żadnym pozorem nie pojawi się w tym kontekście?

- Tak.

- I nie ma ryzyka, że osoba, o której mówimy, wpadnie w jakieś kłopoty?

- Nie mogę zagwarantować, że nie straci pieniędzy. Ale problemy prawne z pewnością mu nie grożą, na pewno nie pod ziemską jurysdykcją - To nie jest „on”. Szczegóły pozostawiam panu, ale proszę spróbować taktownie rozpytać się o wiceszefową Enigmy Catherine Linden Ellerman.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Dzień Gwiazdy

Choć próbował przekonać samego siebie, że słusznie postąpił - że być może było to zresztą jedyne, co mógł zrobić - Duncan wciąż miał lekkie poczucie wstydu. Głęboko w sercu czuł się winny zdradzenia starego przyjaciela. Cieszył się, że coś powstrzymało go od podania nazwiska Karla i na wpół świadomie miał nadzieję, że Mandel'stahn - ale też Colin - uderzą głową w mur i całe śledztwo się zawali.

W międzyczasie było jednak tak dużo pracy i tak dużo do zobaczenia, że na dłuższy czas Duncan mógł zapomnieć o swoich wyrzutach sumienia. Głupio byłoby - po całej tej gigantycznej podróży z Tytana - siedzieć godzinami w hotelu przy komsoli, i to przy tak pięknej pogodzie.

Tyle że ilekroć myślał, że wykonał już jedno z niezliczonych zadań, jakie dano mu przed wyjazdem, tylekroć otrzymywał wiadomość zwrotną otwierającą temat na nowo lub dodającą nowe komplikacje. Jego oficjalne obowiązki były bardzo czasochłonne, jeszcze gorsze były prywatne prośby od krewnych, przyjaciół, a nawet całkowicie obcych osób - wszyscy zdawali się myśleć, że Duncan na Ziemi nie ma absolutnie nic do roboty, jak tylko kontaktować się z dawnymi znajomymi, zdobywać zdjęcia rodzinnych domów, polować na rzadkie książki, badać ziemskie genealogie, odszukiwać zapomniane dzieła sztuki, pracować jako agent niespełnionych pisarzy i artystów z Tytana, wyczarowywać stypendia i darmowe

przeloty na Ziemię i dziękować za wszystkie kartki przesłane z okazji Dnia Gwiazdy nawet i dziesięć lat wcześniej.

Co przypomniało Duncanowi, że on sam zapomniał wysłać pozdrowienia z okazji nadchodzącego jubileuszu. Był jeszcze czas, by wysłać kartki do ziemskich przyjaciół: ambasadora Farrella, Washingtonów, Calindy, Berniego Patrasa i kilku innych. Z pozostałymi nie było pośpiechu. Nawet jeśli miałyby dotrzeć na Tytana za pół roku, jego mieszkańcy i tak docenią piękne okolicznościowe znaczki ze złotym liściem (pięć solarów za sztukę, boże święty, i to pocztą kosmiczną drugiej klasy!).

Pomimo tych problemów Duncan znalazł też czas na odpoczynek. Był na osobistych telewycieczkach do Rzymu, Londynu i Aten, które były prawie tak dobre, jak fizyczny wyjazd w te miejsca. Zamknięty w małym zaciemnionym sześcianie z wysokiej jakości panoramą audio i wideo dookoła łatwo mógł uwierzyć, że naprawdę chodzi ulicami starożytnych miast. Mógł zadawać pytania niewidzialnemu przewodnikowi, który był jego alter ego, rozmawiać z każdym z przechodniów, zmieniać trasę, by przyjrzeć się z bliska każdemu detalowi, jaki wzbudził jego zainteresowanie. Jedynie zmysły węchu i dotyku nie brały udziału w wycieczkach, choć i one mogły zostać tele-przedłużone, wymagało to jednak znacznie droższego biletu. Duncan nie mógł sobie pozwolić na taki marginalny luksus, ale też wcale mu niczego nie brakowało.

Bernie Patras też służył wszelką możliwą pomocą i zaaranżował kilka przyjemnych spotkań. Na przykład z pewną czułą i utalentowaną młodą damą która - jak przysięgał - była jego dziewczyną „która robi to tylko z ludźmi, których naprawdę chce poznać”. Faktycznie, wykazała duże zainteresowanie Tytanem i jego problemami, jednak gdy Bernie jako strona zainteresowana chciał dołączyć do ich zabaw, Duncan egoistycznie wyrzucił go za drzwi.

Było to na krótko przed tym, jak Ivor Mandel'stahn - tym razem w automatycznym busie łączącym Pensylwanię z Massachusetts - całkowicie zniszczył mu poczucie spokoju. Wyjechali właśnie z węzła przesiadkowego Dupont Circle, gdy Ivor oświadczył:

- Mam dla pana kilka interesujących wiadomości, ale nie wiem, co oznaczają. Być może pan mi to wyjaśni.

- Postaram się.

- Otóż bez większej przesady mogę powiedzieć, że jestem w stanie dotrzeć do każdego człowieka na Ziemi jednym posunięciem. Czasem jednak dyskrecja nakazuje wykonać dwa ruchy albo i więcej, i tak właśnie postąpiłem z panną Ellerman. Nigdy nie miałem z nią do czynienia osobiście - przynajmniej tak mi się zdawało, dopóki pan nie zasugerował, że może być inaczej - ale mamy wspólnych znajomych. Poprosiłem więc

jednego z nich, któremu mogę ufać bezgranicznie, by do niej zadzwonił... Proszę mi powiedzieć: czy próbował pan kontaktować się z nią ostatnio?

- Od jakiegoś tygodnia nie. Pomyślałem, że rozsądniej będzie, jeśli zejść z pola widzenia.

Duncan nie dodał do tej doskonałej wymówki, że w gruncie rzeczy wstyd mu było przed Calindy.

- Więc proszę sobie wyobrazić, że rozmawiała z moim przyjacielem, ale zrobiła coś bardzo dziwnego. Nie włączyła kanału wideo.

To rzeczywiście było nietypowe. Powszechnie przyjęte było, że dobre maniery zabraniają wyłączania wizji, chyba że jest po temu jakiś naprawdę dobry powód. Oczywiście czasami mogło to prowadzić do zabawnych nieporozumień, fakt często wykorzystywany w niezliczonych komediach. Jednak bez względu na powód, takie zachowanie wymagało wyjaśnienia. Powiedzieć, że wideo się zepsuło, powodowało dużo podejrzeń, nawet w tych rzadkich sytuacjach, kiedy usterka faktycznie miała miejsce.

- Jak to wyjaśniła? - spytał Duncan.

- Dość przekonująco. Powiedziała, że upadła nieszczęśliwie, i przeprosiła za niepokazywanie twarzy.

- Mam nadzieję, że nic jej się nie stało.

- Chyba nie, choć głos miała raczej nieszczęśliwy. W każdym razie mój przyjaciel rozmawiał z nią krótko, ale poruszył temat Tytana, oczywiście w taki sposób, by nie budzić najmniejszych podejrzeń. Wiedział, że tam była, i spytał, czy mogłaby skontaktować go z kimkolwiek stamtąd mieszkającym na Ziemi. Powiedział, że ma zamówienie eksportowe.

- Średnia historyjka. Cały handel prowadzony jest przez ambasadę, mógł skontaktować się z nimi.

- Jeśli mogę tak powiedzieć, panie Makenzie, wiele się pan jeszcze musi nauczyć. Umiem wymyślić co najmniej kilka powodów, żeby nie iść bezpośrednio do ambasady, przynajmniej na pierwsze spotkanie. Mój przyjaciel też je zna i proszę mi wierzyć, że panna Ellerman także.

- Skoro pan tak twierdzi... Nie wątpię, że ma pan rację. Jaka była jej reakcja?

- Obawiam się, że będzie pan zawiedziony. Powiedziała, że ma dobrego znajomego z Tytana, który właśnie przybył na obchody jubileuszu i jest właśnie w Waszyngtonie.

Duncan roześmiał się, rozczarowanie było w sumie dość zabawne.

- Więc pański przyjaciel tylko zmarnował czas, znów jesteśmy w punkcie wyjścia.

- Z tej perspektywy, owszem. Tak myślałem, że pana to rozbawi. Ale są jeszcze inne wieści.

- Proszę mówić - powiedział Duncan, choć jego wiara w możliwości Mandel'stahma zdecydowanie osłabła po tej porażce.

- Próbowałem dowiedzieć się czegoś na kilka różnych sposobów, ale nic to nie dało. Myślałem nawet, czyby samemu nie zadzwonić do panny Ellerman i powiedzieć wprost, że wiem, iż to ona stoi za handlem tytanitem, oczywiście niczego jej nie zarzucając.

- Cieszę się, że pan tego nie zrobił.

- Och, nie byłoby w tym nic złego, z pewnością nie byłaby zdziwiona, gdybym się prędzej czy później skądś o tym dowiedział. Wpadłem jednak na lepszy pomysł, taki, który powinien był mi przyjść do głowy znacznie wcześniej. Sprawdziłem listę jej gości z ostatniego miesiąca.

- Ale jak? - zapytał zdumiony Duncan.

- To najstarsza sztuczka świata. Nigdy nie widział pan tych starych francuskich kryminalów z dwudziestego wieku? Nie, pewnie nie widział pan... Po prostu zapytałem portiera.

- Kogo?

- Nie macie ich na Tytanie?

- Nawet nie wiem, kto to jest.

- Może i lepiej dla pana. Na Ziemi są istną zmorą Panna Ellerman, jak pan zapewne wie, mieszka w luksusowym apartamentowcu Deep Ten tuż przy Mount Rockefeller. Ma swój penthouse na najniższym piętrze - pragnienie, którego nigdy nie umiałem pojąć - im głębiej zjeżdżam, tym większą odczuwam klaustrofobię. W każdym dużym kompleksie mieszkalnym przy wejściu sprawdza się gości, mówi się im, kto jest w domu, a kto wyszedł, odbiera się od nich wiadomości i przyjmuje przesyłki - oraz autoryzuje wstęp dla poszczególnych odwiedzających. Od tego właśnie jest portier.

- A jak udało się panu zdobyć dane z jego pamięci?

Mandel'stahm wyglądał na tylko trochę zakłopotanego.

- To naprawdę zdumiewające, ile można zrobić, gdy zna się odpowiednich ludzi. Proszę mnie źle nie zrozumieć, wszystko odbyło się zgodnie z prawem. Ale wolałbym przemilczeć szczegóły.

- Na Tytanie jesteśmy bardzo wrażliwi na kwestie prywatności.

- My na Ziemi także. Każdy, kto naprawdę by chciał, mógłby bez problemu pominąć portiera. Co w gruncie rzeczy każe myśleć, że panna Ellerman nie ma poczucia winy ani nic

do ukrycia. Proszę mi jednak powiedzieć, panie Makenzie, czy wiedział pan, że mieszka u niej ktoś z Tytana?

Duncan przez chwilę patrzył na niego z otwartymi ustami, ale szybko się opanował. Oczywiście - Karl mógł wysłać kogoś zaufanego w charakterze kuriera. To musiało być wiele miesięcy temu, przed Syriuszem przez dobre sześć tygodni nie leciał żaden prom pasażerski. Któż by to mógł być?

Ta kwestia mogła jednak poczekać, wcześniej należało wyjaśnić jeden inny drobiazg.

- Powiedział pan, że ktoś u niej *mieszka!*

- Tak. To znaczy mieszkał do przedwczoraj.

To tłumaczyło wszystko - prawie. Nic dziwnego, że Calindy próbowała go unikać. Duncan czuł po równo zawód i zazdrość, i ulgę, że jego działania były w końcu w pełni uzasadnione.

- Kto to był? - zapytał ponuro. - Ciekawe, czy go znam.

- Też jestem tego ciekaw. Ten człowiek nazywa się Karl Helmer.

Rozdział trzydziesty

Wiadomość z Tytana

- To niemożliwe - powiedział Duncan, gdy otrząsnął się z pierwszego szoku. - Helmer był na Saturnie, gdy wyjeżdżałem, a przybyłem najszybszym promem w Układzie Słonecznym.

Mandel'stahn tylko wzruszył ramionami.

- Więc może ktoś inny używa tego nazwiska z sobie tylko wiadomych powodów. Portier panny Ellerman nie jest szczególnie bystry - portierzy rzadko bywają - ale przez przypadek udało nam się do niego dotrzeć tuż przed comiesięcznym czyszczeniem pamięci. Mam kopię wizualnego rozpoznania gości i oto rekonstrukcja.

Wręczył Duncanowi dość toporne, ale zupełnie wystarczające podsumowanie. Duncan rozpoznał go szybciej, niż mógłby to zrobić najlepszy komputer.

Bez wątpienia był to Karl.

- Więc zna go pan - powiedział Mandel'stahn.

- Bardzo dobrze - cicho odpowiedział Duncan. Nie wiedział, co ma o tym myśleć. Nawet teraz nie mógł jeszcze uwierzyć w dowody, które przed chwilą zobaczył. Długo zajmie mu rozważenie wszystkiego, co wynikało z tego zaskakującego odkrycia.

- Mówi pan, że on już nie mieszka u Cal... u panny Ellerman. A wie pan może, gdzie obecnie przebywa?

- Nie, miałem nadzieję, że może pan ma jakieś podejrzenia. Teraz jednak, gdy wiem, jak się nazywa, łatwo mi będzie go wytropić. Choć pewnie chwilę to zajmie.

I będzie sporo kosztować - pomyślał Duncan.

- Proszę mi powiedzieć, panie Mandel'stahn: dlaczego pan się w to tak angażuje? Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co mógłby pan z tego mieć.

- Nie? Cóż, to dobre pytanie. Zająłem się tym oczywiście z czystej chęci zdobycia tytanitu i mam nadzieję, że w ostatecznym rozrachunku moje nadzieje nie spełzną na niczym. Teraz jednak sprawy poszły nieco dalej. Jediną rzeczą o większej wartości niż kamienie czy dzieła sztuki jest rozrywka. A ta mała afera, panie Makenzie, jest dużo ciekawsza niż wszystkie filmy, jakie ostatnio widziałem.

Pomimo dość poważnej sytuacji, Duncan nie mógł powstrzymać uśmiechu. W kontaktach z Mandel'stahmem był bardzo ostrożny teraz jednak zaczął odczuwać prawdziwe ciepło wobec handlarza. Był sprytny, może nawet przebiegły i Duncan nie miał wątpliwości, że zażąda wysokiej zapłaty. Był jednak całkowicie przekonany, że George Washington miał rację: Ivorowi Mandel'stahmowi można było zaufać we wszystkich ważnych sprawach.

- Czy mogę coś skromnie zasugerować?

- Oczywiście - odpowiedział Duncan.

- Czy istnieje jakikolwiek powód, dla którego teraz, na tym etapie naszego śledztwa, nie mógłby pan osobiście zadzwonić do panny Ellerman, powiedzieć, że właśnie z Tytana dowiedział się, że wasz wspólny znajomy, pan Helmer, jest na Ziemi - i czy nie wie przypadkiem, gdzie obecnie przebywa?

Duncan zastanowił się. Sugestia była tak uderzająco oczywista, że w swoim nieco zagubionym stanie zupełnie ją przeoczył. Nie był pewien, czy potrafi ją właściwie ocenić.

Sprawa jednak nie była już kwestią bezosobowej taktyki, do rozegrania jak ostatnie posunięcie W szachach. Dla własnego spokoju i z szacunku do samego siebie musiał się wreszcie skonfrontować z Calindy.

- Ma pan rację - powiedział. - Nie ma powodu, bym do niej nie zadzwonił. Zrobię to, gdy tylko wrócę do hotelu. Zatrzymajmy się na Union Station i złapmy ekspres...

Gdy po dwudziestu minutach („ekspres” to jednak przesadzone określenie) Duncan dotarł do hotelu, czekała na niego druga niespodzianka, choć teraz nieco już rozczarowująca. Najdłuższa wiadomość, jaką dotychczas otrzymał od Colina, czekała w jego komsoli.

Po pierwszym pobieżnym przeczytaniu jej, Duncan pomyślał: „No, tym razem jestem o jeden krok przed tobą”. Ale to też, jak szybko zdał sobie sprawę, nie było do końca prawdą. Biorąc pod uwagę, że wiadomość została nadana z Tytana co najmniej dwie godziny temu, można powiedzieć, że do mety dobiegli łeb w łeb.

BEZPIECZEŃSTWO AAA PRIORYTET AAA

ŚLEDZTWO MNEMOSYNE UJAWNIA KARL ODLECIAŁ POŁOWA MARCA SPECJALNYM LOTEM NA ZIEMIĘ PRZYBYŁ OKOŁO DWA TYGODNIE PRZED TOBĄ ARMAND WYRAZIŁ ZDZIWIENIE TWIERDZI ŻE NIC NIE WIE MOŻLIWE ŻE PRAWDA CEL ZNAJDŹ KARLA DOWIEDZ SIĘ CO ROBI I W RAZIE POTRZEBY OSTRZEŻ GO O KONSEKWENCJACH DZIAŁAJ BARDZO OSTROŻNIE UNIKAJ ROZGŁOSU MIĘDZYPLANETARNE KOMPLIKACJE SYTUACJA POWAŻNA MOŻE WYJŚĆ NAM NA DOBRE ALE DYSKRECJA KLUCZOWA MOŻE CALINDY WIE GDZIE ON JEST COLIN I MALCOLM

Duncan jeszcze raz powoli przeczytał wiadomość, skupiając się na niuansach. Nie było w niej nic, czego by nie wiedział albo czego by się nie domyślał. Nie podobał mu się jednak jej bezkompromisowy ton. Podpisana przez Colina i Malcolma miała moc bezpośredniego polecenia, a to było rzadkie w rodzinie Makenziech. Choć musiał przyznać, że miało to sens, to jednak wyczuwał nutkę satysfakcji pod spodem. Przez chwilę wyobraził sobie swoich starszych bliźniaków krążących niczym dwa sępy nad ofiarą wyczuwających już zapach śmierci.

Jednocześnie szczerze rozbawił go pośpiech, w jakim Colin musiał napisać ów list; było w nim kilka niepotrzebnych słów, zupełnie niezgodnych z ekonomicznymi maksymami klanu.

Być może po prostu nie nadawał się do polityki, czuł rosnące rozczarowanie takimi machinacjami. Pomimo całej genetyki pomiędzy kolejnymi Makenziami były drobne różnice i najwyraźniej nie był tak twardy ani tak ambitny jak jego poprzednicy.

W każdym razie pierwszy krok, jaki miał podjąć, był oczywisty, tym bardziej że wszyscy mu go doradzali. Co do drugiego decyzję mógł podjąć później.

Nie zdziwiło go, że twarz Calindy nie pojawiła się na ekranie komsoli, i szybko przekonał się, że społeczna konwencja była w pełni usprawiedliwiona; bez dobrego powodu faktycznie niegrzecznym było niepokazywanie się w kanale wideo podczas rozmowy. Duncan czuł zarówno frustrację, jak i poważny dyskomfort, wiedząc, że Calindy go widzi, a on jej

nie. Sam głos nie przekazywał wszystkich odcieni emocji, często przecież wyraz twarzy zaprzeczał temu, co przekazywane było słowem mówionym.

- Co się dzieje, Calindy? - spytał Duncan z udawanym zdziwieniem. Szczerze by jej współczuł, gdyby naprawdę coś jej się stało, postanowił tego jednak nie osądzać.

Jej głos był - choć może tylko tak mu się wydawało? - cokolwiek niekontrolowany. Najwyraźniej zdziwiła się na jego widok, być może nawet była trochę zdenerwowana.

- Bardzo cię przepraszam, Duncan, wołałabym teraz nie pokazywać twarzy. Upadłam i uderzyłam się w oko - wyglądam upiornie. Ale nie ma się o co martwić, za kilka dni się zagoi.

- Bardzo mi przykro, nie będę cię zamęczał, jeśli nie czujesz się najlepiej.

Czekał w nadziei, że Calindy nabierze się na wyraz współczucia, jaki wywołał na swojej twarzy.

- Och, nic się nie dzieje. Po prostu musiałam wziąć wolne z pracy i teraz załatwiam wszystko przez komsolę.

- No to świetnie. Słuchaj, mam dla ciebie wieści. Karl jest na Ziemi.

Minęła dłuższa chwila, nim Calindy odpowiedziała. Kiedy się odezwała, z rozbawieniem uznał, że była w pewnych kwestiach niezrównana. Na dłuższą metę nie umiałby jej przechytrzyć.

- Duncan - powiedziała z rezygnacją - naprawdę nie wiedziałeś, że u mnie mieszkał?

Duncan starał się bardzo okazać niedowierzanie, szok i urazę - w takiej właśnie kolejności.

- Czemu nic mi nie powiedziałaś? - wykrzyknął.

- Prosił mnie, żebym ci nie mówiła. Postawił mnie w trudnej sytuacji, ale co miałam zrobić? Powiedział, że już nie jesteście w dobrych stosunkach... a powód jego wizyty był ściśle poufny.

Duncan uznał, że Calindy mówi prawdę, choć nie była to prosta prawda. Złość częściowo z niego wyparowała.

- Cóż, jest mi przykro i jestem rozczarowany. Myślałem, że mi ufasz. W każdym razie nie musisz już robić wybiegów, skoro wiem, że on tu jest. Mam dla niego pilną wiadomość, gdzie mogę go znaleźć?

Znów minęła dłuższa chwila, nim Calindy odpowiedziała:

- Nie wiem, gdzie on jest. Wyjechał nagle i nie powiedział mi dokąd. Mógł nawet wrócić na Tytana.

- Bez pożegnania? Wątpię! Poza tym przez miesiąc nic tam nie leci.

- Więc zapewne wciąż jest na Ziemi, na pewno nie dalej niż na Księżycu. Po prostu nie wiem.

Dziwne, ale uwierzył jej. W jej głosie brzmiała nutka prawdy, ale nie miał złudzeń, że mogłaby go oszukać, gdyby tylko zachciała.

- W takim razie muszę wytropić go w jakiś inny sposób. To bardzo ważne, żebyśmy się spotkali.

- Nie radziłabym, Duncan.

- Dlaczego?

- Jest na ciebie wściekły.

- Ciekawe z jakiego powodu - rzucił Duncan, mając w głowie od razu kilka dobrych powodów. W jej głosie usłyszał tak szczerą przestrożę, że aż sam się zaniepokoił.

Mimo to tą drogą nic już wskórać nie mógł, przynajmniej nie teraz. Nie miał zamiaru dyskutować o tym z Calindy. Z mieszanymi odczuciami życzył jej powrotu do zdrowia i rozłączył się. Miał nadzieję, że wyczyta z jego zachowania w czasie rozmowy zarówno smutek, jak i złość, i że poczuje skruchę.

Chwilę później patrzył - z niejaką ulgą - na ekran, i obserwował reakcję rozmówcy.

- Czy wiedział pan - zapytał ambasadora Farrella - że Karl Helmer jest na Ziemi?

Jego Ekszelencja zamrugał oczami.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Nie kontaktował się ze mną. Sprawdzę, czy w Kancelarii coś wiedzą.

Wcisnął kilka przycisków i nic się nie wydarzyło. Ambasador gniewnie spojrzał na Duncana.

- Chciałbym móc sobie pozwolić na nowy interkom - powiedział z nutą oskarżenia w głosie. - Kosztują drobną część budżetu Tytana.

Duncan postanowił to przemilczeć i szczęśliwie przy drugiej próbie połączenie się udało. Ambasador wymamrotał kilka niewyraźnych zdań, poczekał chwilę na odpowiedź, wreszcie spojrzał na Duncana i pokręcił głową.

- Ani śladu. Nawet ziemskiego adresu korespondencyjnego. Bardzo dziwne.

- Nie powiedziałby pan: bezprecedensowe?

- Hmm, tak. Jeszcze nie spotkałem się z sytuacją że po przylocie na Ziemię goście z Tytana nie kontaktują się z ambasadą. Zazwyczaj oczywiście wiemy o ich przyjeździe na kilka tygodni przed przylotem. Żadne prawo im tego nie nakazuje, ale to kwestia grzeczności. O wygodzie nie wspominając.

- Tak myślałem. Cóż, da mi pan znać, jeśli pojawią się o nim jakieś wieści?

Ambasador patrzył na niego przez chwilę w milczeniu z bardzo enigmatycznym uśmiechem na twarzy. Po czym zapytał:

- A czy Malcolm i Colin o coś go podejrzewają? Że przeprowadzi zamach stanu przy użyciu szmuglowanej broni?

Po chwilowym szoku Duncan roześmiał się z tego żartu.

- Nawet Karl nie jest tak szalony. Szczerze mówiąc, zupełnie nie wiem, o co chodzi. Ale czuję, że powinienem go odnaleźć. Choć na Ziemi mieszka pół miliarda ludzi, on przecież nie jest niewidzialny. Bądźmy w kontakcie, do widzenia.

Dwa z głowy - pomyślał Duncan - został jeszcze jeden. Aktywował połączenie z Ivorem Mandel'stahmem, samozwańczym i całkiem jak dotąd skutecznym detektywem.

Ale komsola Ivora odpowiedziała: Proszę nie przeszkadzać. Możesz zostawić wiadomość.

Duncan zdenerwował się, chciał szybko przekazać mu swoje odkrycia, ale nie chciał nagrywać ich w pamięci komsoli. Musiał poczekać, aż Mandel'stahn oddzwoni.

Zajął to dwie godziny i w tym czasie nie mógł skoncentrować się na innej pracy. Handlarz wreszcie jednak zadzwonił i obficie przeprosił za zwłokę.

- Próbowałem grubszej opcji - tłumaczył. - Zastanawiałem się, czy będąc w Nowym Jorku, kupił coś, płacąc kartą kredytową. Nie ma aż tak wiele nazwisk na H, centralny komputer przejrzał je wszystkie w godzinę. Zdaje się, że płaci gotówką co oczywiście nie jest przestępstwem. Ale nam, uczciwym śledczym, sprawi na pewno kłopot.

Duncan roześmiał się.

- Pomysł był dobry. Mnie poszło nieco lepiej, przynajmniej udało mi się wykluczyć kilka opcji.

Zdał Mandel'stahmowi relację ze swoich rozmów z Calindy i ambasadorem Farrellem, po czym zapytał:

- I co teraz?

- Nie wiem. Ale proszę się nie martwić, coś wymyślę.

Duncan wierzył mu. Miał już spore zaufanie do jego szczerości, o kontaktach i znajomości spraw na Ziemi nie wspominając. Jeśli ktokolwiek mógł odnaleźć Karla - bez zwracania się o pomoc do policji i bez wykupywania ogłoszenia w *World Times* - to był to Mandel'stahn.

Faktycznie potrzebował na to zaledwie trzydziestu sześciu godzin.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Oko Allaha

- Znalazłem go - powiedział Mandel'stahn. Wyglądał na zmęczonego, ale zadowolonego z siebie.

- Wiedziałem, że się panu uda - odpowiedział Duncan z nieskrywanym podziwem. - Gdzie on jest?

- Chwileczkę, proszę dać mi się nacieszyć. Zasłużyłem na odrobinę niewinnej zabawy.

- No dobrze, czyjego portiera musiał pan teraz urobić?

Mandel'stahn wyglądał na trochę dotkniętego.

- Niczyjego. Najpierw postanowiłem dowiedzieć się wszystkiego o pańskim przyjacielu Helmerze, przy pomocy cudownego narzędzia, jakim jest *Kto jest kim w Układzie Słonecznym*. Byłem pewny, że znajdę go tam - i nie myliłem się. Wydruk na sto linijek. Pana też sprawdziłem przy okazji. Jeśli to jakaś pociecha, o panu jest sto pięćdziesiąt linii.

- Wiem o tym - odpowiedział Duncan z całą cierpliwością na jaką umiał się zdobyć. - Proszę mówić dalej.

- Chciałem znaleźć tam jakieś jego ziemskie kontakty czy interesy, i znów miałem szczęście. Karl Helmer należy to Towarzystwa Inżynierów Elektroników i Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego, Instytutu Fizyki, Instytutu Astronautyki oraz do kilku innych ziemskich organizacji zawodowych. Dowiedziałem się także, że jest autorem kilkunastu prac naukowych, a także współautorem kolejnych kilku. *Jonosfera Saturna*, *Pochodzenie promieniowania elektromagnetycznego fal ultra-długich* i tego typu wstrząsający ezoteryzm. Jednak nic, co by nam się mogło przydać.

Astronomowie mają siedzibę w Londynie, oczywiście - ale inżynierowie i astronauta są wszyscy w Nowym Jorku. Ciekaw byłem, czy się z nimi kontaktował. Zadzwoiłem więc do kolejnego spośród moich użytecznych przyjaciół - tym razem do naukowca, bardzo szanowanego, który mógłby otworzyć każde drzwi, i to bez zbędnych pytań. Miałem nadzieję, że wizyta kolegi naukowca z Tytana jest na tyle rzadkim fenomenem, że mogłaby przykuć jego uwagę. I nie myliłem się znowu.

Mandel'stahn znów przerwał na dłuższą chwilę, podczas której Duncan kipiał wręcz złością.

- I to mnie zastanawia - mówił dalej Ivor. - Oprócz zignorowania ambasady i proszenia panny Ellerman o dyskrecję, nie zrobił nic, by zatrzeć ślady. Nie sądzę, by ktokolwiek, kto miałby coś do ukrycia, zachowywał się w ten sposób.

Wszystko poszło bardzo gładko. Elektrycy pomogli mi od razu. Powiedzieli mi, że opuścił już Północny Atlan i że można się z nim kontaktować przez Głównego Inżyniera Oddziału C w siedzibie World Communications w Teheranie. Adres, który nie łączy się chyba bezpośrednio z przemysłem kamieni ani z międzyplanetarnymi szwindlami...

Jest więc w Teheranie i ma tam pozostać jeszcze przez kilka dni. W świetle jego wcześniejszych dokonań wreszcie mamy coś, co zdaje się mieć choć odrobinę sensu.

Oddział C Worldcomu zajmuje się głównie projektem Cyklop. Nawet ja o tym słyszałem.

Wymyślono go w samych początkach ery kosmicznej; największy, najdroższy i potencjalnie najbardziej obiecujący instrument naukowy kiedykolwiek stworzony przez człowieka. Choć mógł służyć wielu celom, jeden z nich był szczególnie ważny: poszukiwanie inteligentnego życia w kosmosie.

Jedno z najdawniejszych marzeń ludzkości pozostawało niczym więcej jak tylko marzeniem aż do wynalezienia astronomii radiowej w drugiej połowie dwudziestego wieku. Wówczas, w przeciągu zaledwie dwóch dekad, połączona wiedza naukowców i inżynierów dała ludzkości możliwość objęcia badaniami najdalszych zakątków kosmosu. O ile ten dał by się zbadać.

Pierwsze słabiutkie radioteleskopy o średnicy zaledwie kilkudziesięciu metrów z nadzieją nasłuchiwały sygnałów z gwiazd. Nikt tak naprawdę nie spodziewał się większych sukcesów ani też owe pionierskie działania nie przyniosły rezultatu. Dokonując pewnych wiarygodnych założeń co do dystrybucji inteligentnego życia w galaktyce, łatwo było obliczyć, że wykrycie cywilizacji emitujących sygnały radiowe wymagałoby teleskopów o rozmiarach liczonych co najmniej w kilometrach.

Był tylko jeden praktyczny sposób osiągnięcia tego celu - przynajmniej za pomocą struktur możliwych do wybudowania na Ziemi. Budowa jednej wielkiej czaszy nie miała szans realizacji, ale ten sam rezultat można było osiągnąć z połączenia setek mniejszych urządzeń. Cyklop został przedstawiony jako farma anten o stumetrowych czaszach, rozstawionych równo w okręgu o przekroju może pięciu kilometrów. Słabe sygnały z każdej z tych anten zostałyby zsumowane, a następnie sprytnie przetworzone przez komputery zaprogramowane, by na tle kosmicznego szumu szukać unikalnych sygnałów istot myślących.

Cały system kosztować miał nie więcej niż projekt Apollo, jednak w przeciwieństwie do niego mógłby potrzebować dziesiątek, a nawet setek lat, by dać rezultaty. Cyklop zaczął działać, gdy tylko zbudowano wystarczającą choć niepełną ilość anten. Od samego początku było to nieocienionej wartości dla wszelkich radioastronomów. W przeciągu lat planowano dobudowywać coraz więcej i więcej anten, dopóki cały okrąg nie zostanie nimi zapełniony, cały czas też siła Cyklopa miała wzrastać, by mógł sięgać coraz głębiej i głębiej w kosmos.

Była to szlachetna wizja, byli jednak tacy, którzy obawiali się jej sukcesu tak samo bardzo jak ewentualnej porażki. Jednak podczas Trudnych Czasów, którymi zakończyło się dwudzieste stulecie, nie było szans na sfinansowanie takiego projektu. Mogło to być rozważane wyłącznie podczas politycznej i finansowej stabilności, dlatego Cyklopi nie ruszyli z miejsca przez całe sto lat od powstania pierwszego projektu.

Dziecko krótkiego, ale wspaniałego Renesansu Muzułmańskiego pozwoliło wykorzystać część gigantycznego bogactwa zgromadzonego przez państwa arabskie podczas ery ropy naftowej. Miliony ton potrzebnego metalu przywieziono z niemal bezdennych zasobów solanek Morza Czerwonego sączących się wzdłuż Wielkich Rowów Afrykańskich. Tutaj, gdzie powłoka ziemską była dosłownie rozrywana powolnym ruchem oddalających się płyt kontynentalnych, zasoby metali i minerałów znajdowały się w takich ilościach, że o wszelkich lękach ludzkości dotyczących kończących się ich zapasów można było zapomnieć.

Najlepszą lokalizacją dla Cyklopów byłyby okolice równika, bo wówczas ich lustra mogłyby ogarniać całe niebo pomiędzy biegunami. Innym warunkiem był sprzyjający klimat, brak ryzyka trzęsień ziemi i innych naturalnych kataklizmów i - idealnie - pasma górskie służące za tarczę ochronną przed radiowymi zakłóceniami. Oczywiście takie idealne miejsce nie istniało i trzeba było iść na polityczny, geograficzny i inżynierski kompromis. Po latach często zgryźliwych dyskusji wybrano Pusty Kwartal, pustynię na terenie Arabii Saudyjskiej. Po raz pierwszy znaleziono dla niej jakiś użytek.

Przez dziki teren wytyczono szerokie korytarze, po których gigantyczne frachtowce mogły przetransportować ważące dziesiątki tysięcy ton komponenty z fabryk umiejscowionych na brzegach Morza Czerwonego, później dostawy były uzupełniane przez ogromne samoloty transportowe. W pierwszej fazie projektu ustawiono sześćdziesiąt anten parabolicznych na planie krzyża o pięciokilometrowej długości ramionach sięgających z północy na południe i z zachodu na wschód. Niektórzy wierni protestowali przeciwko symbolowi tej obcej religii, ale szybko wytłumaczono im, że jest to tymczasowy stan rzeczy. Kiedy „Oko Allaha” zostanie ukończone, obraźliwy symbol zniknie we wzorze ułożonym z

siedmiuset wielkich czasz na okrągłym polu o powierzchni osiemdziesięciu kilometrów kwadratowych.

Jednak przed końcem XXI wieku zdołano ustawić zaledwie połowę z zaplanowanych siedmiuset anten. Dwieście z nich zapełniło środek wzoru, reszta stworzyła coś na kształt płotu określającego zasięg dalszych prac. Ta redukcja rozmiaru, dzięki której zaoszczędzono miliony solarów, miała tylko nieduży negatywny wpływ na pracę całości. Cyklopi spełnili pokładane w ich nadzieje i wywołali niemal tak wielką rewolucję w astronomii jak zwierciadła ustawione na Mount Wilson i Mount Palomar dwieście lat wcześniej. Pod koniec stulecia jednak zaczęły się kłopoty - nie z powodu wadliwej konstrukcji, lecz z powodu armii inżynierów i naukowców, którzy tam pracowali.

Cyklop nie mógł konkurować z nowym systemem budowanym właśnie po ciemnej stronie Księżyca - niemal idealnie chronionej przed ziemskiego pochodzenia zakłóceniami przez trzy tysiące kilometrów litej skały. Przez wiele dekad oba systemy pracowały wspólnie, dwa teleskopy na końcach linii bazowej Księżyc-Ziemia tworzyły interferometr zdolny do dokładnego badania układów planetarnych odległych o setki lat świetlnych. Teraz jednak radioteleskopy znajdowały się także na Marsie; we współpracy z nimi obserwatorium księżycowe było w stanie osiągnąć znacznie więcej niż we współpracy z pobliską Ziemią. Linia bazowa o długości dwustu milionów kilometrów pozwalała badać okoliczne gwiazdy z precyzją wcześniej nie do wyobrażenia.

Jak to się wcześniej czy później dzieje w wypadku wszystkich instrumentów naukowych, postęp zostawił Cyklopów daleko w tyle. Jednak w połowie XXIII wieku system ten musiał zmierzyć się z jeszcze innym problemem, który mógł się okazać zabójczy. Pusty Kwartal nie był już wcale pustynią.

Cyklopi powstali w rejonie, w którym deszcze mogły nie pojawić się nawet przez pięć lat z rzędu. W Al Hadidah znajdowano meteory, które przeleżały w piasku od czasów Proroka i w ogóle nie zardzewiały. Wszystko to zmieniło się przez zalesianie i kontrolę klimatu, po raz pierwszy od epoki lodowcowej pustynie cofały się. Teraz w jeden dzień mogło spaść więcej deszczu w rejonie Pustego Kwartału niż wcześniej przez lata.

Twórcy Cyklopów nie przewidzieli tego. Co dość zrozumiale wszystkie swoje projekty przygotowali dla gorącego, jałowego środowiska. Obsługa musiała teraz skupiać się na walce z korozją zawilgoceniem kabli koncentrycznych, wywołanych grzybami przerwach w dopływie prądu i z każdą inną dolegliwością dotyczącą sprzęt elektroniczny, gdy tylko nadarza się okazja. Niektóre spośród stumetrowych anten zardzewiały już poważnie, tak że nie dało się ich przestawiać i musiały zostać wyłączone z użytku. Przez prawie dwadzieścia

lat system pracował z wciąż spadającą efektywnością podczas gdy naukowcy, inżynierowie i administratorzy trwali w trójstronnym konflikcie, gdzie żadna ze stron nie była w stanie przekonać pozostałych. Czy warto było inwestować miliardy solarów w odnawianie systemu - czy może lepiej wydać te pieniądze na laboratorium po ciemnej stronie Księżyca? Wspólna decyzja była niemożliwa, bo nikt nigdy nie był w stanie określić wartości badań stricte naukowych.

Bez względu na aktualne problemy Cyklop był spektakularnym sukcesem, który nieraz pomógł ludzkości zrewidować jej wizję wszechświata. Granice wiedzy cofnięto do pierwszej mikrosekundy po Wielkim Wybuchu i uchwycono fale radiowe, które okręwały całą rozpiętość istnienia. System zbadał powierzchnie odległych gwiazd, odkrył ich ukryte planety oraz tak dziwne byty, jak słońca neutronowe, antytachiony, soczewki grawitacyjne, trzęsienia kosmosu oraz ujawnił niepojęte właściwości antymaterii.

Była jednak jedna rzecz, której nie zdołał dokonać. Pomimo wielkiej liczby fałszywych alarmów nie udało mu się uchwycić sygnałów od inteligentnych istot z kosmosu.

Albo człowiek był sam we wszechświecie, albo nikt inny nie używał fal radiowych. Oba wyjaśnienia zdawały się równie nieprawdopodobne.

Rozdział trzydziesty drugi

Spotkanie w Cyklopie

Wiedział, czego powinien się spodziewać, albo tak mu się wydawało, rzeczywistość jednak go przerosła. Duncan czuł się jak dziecko w lesie ogromnych metalowych drzew sięgających w każdym kierunku aż do granic pola widzenia. Każde z identycznych „drzew” miało zwięzający się ku dołowi pień wysoki na pięćdziesiąt metrów otoczony schodami prowadzącymi do platformy, na której znajdował się mechanizm napędowy. Nad tym rozpościerała się gigantyczna, lecz zaskakująco delikatna szeroka na sto metrów misa anteny, wycelowana w niebo i nasłuchująca sygnałów z głębi kosmosu.

Antena 005, jak sam numer wskazywał, znajdowała się bliżej środka układu, ale nie dało się tego określić z tej perspektywy. W którąkolwiek stronę nie spojrzeł, rzędy stalowych wież sięgały aż po horyzont, tworząc w oddali jednolitą metalową ścianę.

Cały system był cudem inżynierskiej precyzji o skali większej niż cokolwiek innego na Ziemi. Słusznie zresztą zrobiono, że wiele kluczowych komponentów wyprodukowano w kosmosie; piankowy metal i kryształowe włókna, które dawały parabolicznym zwierciadłom

siłę i lekkość, mogły powstać jedynie w orbitalnych fabrykach o zerowej grawitacji. Pod wieloma względami Cyklop był dzieckiem wszechświata.

Duncan obrócił się do przewodnika obwożącego go po labiryncie tuneli na małym chemicznie zasilanym skuterze.

- Nie widzę tu nikogo - powiedział. - Jest pan pewien, że on tu jest?

- Tutaj go zostawiliśmy godzinę temu. Pewnie jest w zespole przedwzmacniacza tam na górze, na platformie. Będzie pan musiał go zawołać, komunikacja radiowa jest tutaj oczywiście zabroniona.

Duncan uśmiechnął się, słysząc jak fanatycznie obsługa Cyklopów dba o brak zakłóceń. Poproszono go nawet o zdjęcie zegarka, by jego drobne elektroniczne pulsacje nie zostały wzięte za sygnały od obcych cywilizacji odległych o setki lat świetlnych. Jego przewodnik miał na ręku zegarek sprężynowy, pierwszy jaki Duncan widział na własne oczy.

Oslaniając usta rękami, Duncan podniósł głowę w kierunku platformy na szczycie metalowej wieży i zawołał:

- Karl!

Ułamek sekundy później „K” odbiło się echem od następnej anteny, później rozbrzmiało jeszcze słabo odbite od kolejnych. Zapadła cisza jeszcze głębsza niż poprzednio, Duncan nie chciał jej znowu zakłócać.

Nie było też takiej potrzeby. Pięćdziesiąt metrów nad nim jakaś postać zbliżyła się do poręczy, na jej głowie dojrzał znajomy błysk złotych włosów.

- Kto tam?

A jak myślisz? - pomyślał Duncan. Oczywiście trudno było rozpoznać postać widzianą pionowo z góry, a głos musiał być zniekształcony w tym nieludzkich rozmiarów miejscu.

- To ja, Duncan.

Nastąpiła pauza zdająca się trwać większą część minuty, choć w rzeczywistości było to pewnie kilka sekund. Karl był wyraźnie zdziwiony, choć do tej pory musiał już wiedzieć, że Duncan dowiedział się o jego pobycie na Ziemi.

- Jestem w połowie pracy - odpowiedział. - Jak chcesz, to chodź tu na górę.

Trudno to nazwać zaproszeniem, ale głos nie brzmiał wrogo. Jediną emocją jaką Duncan umiał nazwać z tej odległości, była zmęczona rezygnacja. Ale być może nawet to sobie wyobraził.

Karl zniknął, pewnie by dokończyć zadanie, nad którym właśnie pracował. Duncan przyjrzał się uważnie spiralnym schodkom wiodącym na szczyt wieży antenowej. Pięćdziesiąt

metrów było niewielką odległością ale nie w warunkach ziemskiej grawitacji. Odpowiadało to dwustu pięćdziesięciu metrom na Tytanie, nigdy nie musiał wdrapywać się na wysokość ćwierć kilometra w swoim świecie.

Karl oczywiście nie miał z tym większych kłopotów, jako że całe dzieciństwo spędził na Ziemi, a jego mięśnie łatwo odzyskały większą część swej oryginalnej siły. Duncan zastanawiał się, czy było to celowe wyzwanie, typowe dla Karla. Jeśli tak, to nie miał wyboru.

Gdy stanął na pierwszym stopniu perforowanych metalowych stopni, jego przewodnik powiedział z nadzieją:

- Tam na górze nie ma dużo miejsca. Zostanę tutaj, chyba że mnie pan tam potrzebuje.

Duncan potrafił rozpoznać lenistwo, ale z radością przyjął wymówkę. Nie pragnął obecności nikogo obcego, gdy stanie twarzą w twarz z Karlem. Wolałby w ogóle uniknąć tej konfrontacji, ale tego zadania nie mógł zlecić nikomu innemu, nawet gdyby instrukcje od Colina i Malcolma na to pozwalały.

Wspinaczka okazała się niezbyt trudna, choć poręcz nie była aż tak pewna, jak można by sobie życzyć. Co gorsza miejscami schodki były przerdzewiałe, a gdy przyjrzał się konstrukcji z bliska zrozumiał, że mocowanie było dużo słabsze, niż kazano mu wierzyć. Jeśli natychmiast nie zostaną przeprowadzone konieczne naprawy, Cyklopi mogą nie dotrzeć do początków dwudziestego czwartego wieku.

Pod koniec pierwszego okrążenia, przewodnik zawołał do niego:

- Zapomniałem powiedzieć, za pięć minut będziemy celować w nowe miejsce na niebie, może to wyglądać dość dramatycznie z pańskiej perspektywy.

Duncan spojrzał na gigantyczną czaszę przesłaniającą teraz zupełnie niebo. Sama myśl o tym, że ta wielka masa metalu ma zacząć poruszać się nad jego głową była wystarczająco niepokojąca i był wdzięczny za ostrzeżenie.

Przewodnik zobaczył jego ruch głową i dobrze go zinterpretował.

- Ta antena nie będzie panu przeszkadzać. Jest zamrożona od co najmniej dziesięciu lat, napęd się zepsuł i nie warto go naprawiać.

Potwierdziło to przypuszczenie Duncana, które odrzucił, uznając za optyczną iluzję. Ogromna czasza nad nim rzeczywiście ustawiona była pod nieco innym kątem niż pozostałe. Nie była już częścią całego systemu i ślepo wskazywała niebo. Strata jednego - czy nawet tuzina - elementów pogorszyła jakość działania systemu tylko w niewielkim stopniu, jednak była dość charakterystyczna dla ogólnie panującej tu liczby zaniedbań.

Jeszcze jedno okrążenie i będzie na platformie. Duncan zatrzymał się, by złapać tchu. Wspiął się bardzo powoli, ale nogi już zaczynały boleć go od nietypowego wysiłku. Na górze było całkiem cicho. Co Karl tam robił, w tym fantastycznym miejscu dawnych tryumfów i przegranych marzeń?

I jak zareaguje na tę niespodziewaną - i zapewne niechcianą konfrontację w cztery oczy? Trochę późno dotarło do Duncana, że ta niewielka platforma pięćdziesiąt metrów nad ziemią i to przy takiej grawitacji, nie jest najlepszym miejscem na kłótnię. Uśmiechnął się na tę myśl, jakkolwiek by się nie kłócili, przemoc była nie do pomyślenia.

Nie do pomyślenia? Przecież właśnie o niej pomyślał...

Nad głową miał teraz wąski pas perforowanej metalowej podłogi, ledwie tak szerokiej, by pomieścić prostokątny otwór, w którym kończyły się schody. Z westchnieniem ulgi podciągnął się do góry na pokrytych rdzą rękach, wspiął się na ostatnie schody i stanął wśród monstrualnych podpór, cichych silników hydraulicznych, całej masy kabli, częściowo rozebranych urządzeń i delikatnej siatki lin podtrzymujących bezużyteczną już stumetrową parabolę.

Po Karlu wciąż nie było śladu, więc Duncan zaczął z zaciekawieniem krążyć wokół montowania anteny. Przejście miało jakieś dwa metry szerokości, a barierka ochronna sięgała pasa, nie było więc specjalnego zagrożenia. Mimo to trzymał się zdecydowanie z dala od krawędzi i unikał spoglądania w pięćdziesięciometrową przepaść.

Ledwie pokonał pół okrążenia, rozpętało się piekło. Nagle rozległ się świst silników, głuche dudnienie poruszonej maszynierii, a nawet sporadyczne zgrzyty sprzeciwu podpór i kół zębatych, najwyraźniej niezyczących sobie, by im przeszkadzano.

Z każdej strony gigantyczne skierowane w niebo czasy zaczynały obracać się w równym tempie, kierując się teraz wszystkie na południe. Jedynie ta, pod którą się znajdował, pozostawała nieruchoma, niczym ślepe oko nieczułe już na bodźce. Hałas był niesamowity i trwał przez kilka minut. Urwał się niemal tak nagle, jak się zaczął. Cyklop odnalazł nowy cel badań.

- Cześć, Duncan - powiedział Karl w nagłej ciszy. - Witaj na Ziemi.

Wynurzył się, gdy Duncan był zaabsorbowany tumultem, z niewielkiej komórki podwieszanej do misy anteny i schodził już na dół po dość niepewnie wyglądającej sieci drabinek. Wyglądało to tym bardziej ryzykownie, że trzymał się tylko jedną ręką w drugiej trzymając wielki notes. Duncan odetchnął dopiero, gdy Karl znalazł się bezpiecznie na platformie, kilka metrów od niego. Nie podszedł bliżej, stał w miejscu, patrząc na Duncana z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, ani przyjaznym, ani wrogim.

Nastąpiła jedna z tych nieprzyjemnych chwil w czasie, których nikt nie chce odezwać się pierwszy, i gdy się przeciągała, Duncan po raz pierwszy zdał sobie sprawę z wszechobecnego słabego szumu wszędzie wokół. Cyklop był teraz żywy, setki silników naprowadzających pracowały w pełnej synchronizacji. Nie dało się wyczuć żadnego ruchu wielkich anten, ale poruszały się teraz w tempie ułamka centymetra na sekundę. Wszystkie fasetki złożonego oka Cyklopa skierowane teraz na wybraną gwiazdę obracały się z precyzją potrzebną by zrównoważyć obrót Ziemi.

A oni, dwaj dorośli mężczyźni, w tej naukowej świątyni, zachowywali się jak dzieci, próbując jeden drugiego przetrzymać wzrokiem. Duncan miał podwójną przewagę: zaskoczenia i jasności umysłu; nie miał więc nic do stracenia i mógł odezwać się pierwszy. Nie chciał jednak przejmować inicjatywy i atakować Karła, postanowił więc zacząć od jakiejś trywialnej uwagi.

Może nie od pogody - liczba ziemskich rozmów poświęconych pogodzie była wręcz niewiarygodna! - ale od czegoś równie neutralnego.

- To była najtrudniejsza przeprawa, odkąd tu przybyłem. Nie mogę uwierzyć, że ludzie naprawdę wspinają się tutaj na góry.

Karł zastanowił się, czy ta sprytna zagrywka nie kryje w sobie jakiejś pułapki. Potem wzruszył ramionami i odpowiedział:

- Najwyższa góra na Ziemi jest dwieście razy wyższa od tej wieży, ludzie wspinają się na nią każdego roku.

Przynajmniej lody zostały przełamane i zaczęła się rozmowa. Duncan pozwolił sobie na pełne ulgi westchnienie, jednocześnie zauważył, jak bardzo Karł się zmienił. Jego złote włosy zaczęły siwieć i było ich znacznie mniej, niż gdy widzieli się ostatnio. W ciągu tego roku Karł zdawał się postarzeć o dziesięć. Pod oczami pojawiły mu się zmarszczki zdenerwowania, brwi też miał stale zmarszczone. Zdawało się również, że bardzo się skurczył, i nie można było tego zwalić na ziemską grawitację, bo Duncan był przecież na jej działanie jeszcze bardziej narażony. Na Tytanie zawsze musiał patrzeć w górę, gdy rozmawiał z Karłem, teraz ich oczy były na tym samym poziomie.

Karł jednak unikał jego spojrzenia i cały czas poruszał się w przód i tył, kurczowo ściskając w rękach notes. Podeszedł do samej krawędzi platformy i ostentacyjnie beztrząskko oparł się o barierkę.

- Nie rób tak! - zawołał Duncan. - Denerwuje mnie to. - Taki był chyba cel Karła.

- A jaką robi ci to różnicę?

Ta obcesowa odpowiedź zasmuciła Duncana niezmiernie. Odpowiedział tylko:

- Jeśli naprawdę nie wiesz, to już za późno, bym ci tłumaczył.

- Cóż, wiem, że to nie jest towarzyska wizyta. Rozumiem, że widziałeś się już z Calindy?

- Tak, widziałem się z nią.

- Co macie zamiar zrobić?

- Za Calindy nie mogę się wypowiadać. Ona nie wie nawet, że tu jestem.

- Co *Makenzowie* mają zamiar zrobić? Dla dobra Tytana oczywiście.

Duncan nie dał się sprowokować. Nawet nie zdenerwowała go ta zaczepka.

- Ja tylko próbuję uniknąć skandalu, o ile nie jest za późno.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Wiesz doskonale. Kto autoryzował twój wyjazd na Ziemię? Kto pokrywa koszty?

Duncan spodziewał się, że Karl okaże choć trochę skruchy, ale mylił się.

- Mam tutaj przyjaciół. I nie przypominam sobie, żeby *Makenzowie* specjalnie przejmowali się przepisami. Jak Malcolm zdobył swój pierwszy kontrakt?

- To było sto lat temu, gdy próbował rozkręcić gospodarkę na Tytanie. Dziś nie ma wytłumaczenia dla finansowych przekrętów. Zwłaszcza mających na celu sprawy prywatne.

To był oczywiście strzał na ślepo, ale zdaje się, że trafił w swój cel. Po raz pierwszy Karl wyglądał na wściekłego.

- Nie wiesz, o czym mówisz - rzucił nerwowo. - Któregoś dnia Tytan...

Cyklop przerwał mu łagodnie, ale stanowczo. Zupełnie zapomnieli o powolnym ruchu anten wszędzie wokół, przestali też słyszeć ów słaby szum ich silników. Jeszcze kilka sekund temu górna platforma anteny 005 skryta była w cieniu odwróconego parasola sąsiedniej misy, teraz jednak cień przestał na nich padać. Sztuczne zaćmienie skończyło się i zalał ich oślepiający blask tropikalnego słońca.

Duncan zamknął oczy i czekał, aż jego słoneczne okulary dostosują się do ostrego światła. Gdy znów je otworzył, okazało się, że stoi w świetle wyraźnie podzielonym na noc i dzień. Po jednej stronie wszystko było wyraźnie widoczne, natomiast w cieniu, kilka centymetrów dalej, nie był w stanie nic dostrzec. Kontrast między światłem a ciemnością spotęgowany jeszcze działaniem jego okularów, był tak wielki, że Duncan mógł sobie łatwo wyobrazić, iż stoją właśnie na pozbawionym atmosfery Księżycu.

Zrobiło się też nieznośnie gorąco, zwłaszcza dla mieszkańców Tytana.

- Jeśli nie masz nic przeciwko - powiedział Duncan, wciąż starający się zachować pozory uprzejmości - przejdźmy w cień.

Typowe dla Karla byłoby odmówić, czy to z czystej upartości, czy też po to, by zademonstrować swoją wyższość. Nie miał nawet ciemnych okularów, choć osłaniał oczy od Słońca notesem.

Ku zaskoczeniu Duncana Karl poszedł za nim posłusznie na drugą zacienioną stronę wieży. Kompletny banał tej przerwy trochę zbił go z tropu.

- Mówiłem tylko - ciągnął Duncan, gdy stanęli w miejscu - że próbuję zaoszczędzić nieprzyjemności, które mogą wynikać zarówno dla Ziemi, jak i Tytana. Nie ma w tym nic osobistego i wierz mi, że wolałbym, żeby ktoś inny był na moim miejscu.

Karl nie odpowiedział od razu. Schylił się i ostrożnie położył notes na najmniej zardzewiałym miejscu metalowej podłogi, jaki był w stanie znaleźć. Przypomniało to Duncanowi stare czasy tak bardzo, że aż poczuł się absurdalnie poruszony. Karl nie umiał wyrażać swoich emocji, dopóki miał zajęte ręce, notes musiał być dla niego dużą przeszkodą.

- Posłuchaj uważnie, Duncan - zaczął Karl. - Cokolwiek Calindy ci powiedziała...

- Nic mi nie powiedziała.

- Musiała ci pomóc mnie znaleźć.

- Ani trochę. Nawet nie wie, że tu jestem.

- Nie wierzę ci.

Duncan wzruszył ramionami i nic nie powiedział. Jego strategia najwyraźniej się sprawdzała. Sugerując, że wie więcej niż w rzeczywistości - a przecież niewiele wiedział - miał nadzieję podciąć pewność siebie Karla i zdobyć kolejne wyznania. Jednak wciąż nie wiedział, co dalej. Mógł polegać tylko na maksymie Colina o mistrzowskim zarządzaniu nieprzewidywalnym.

Karl zaczął teraz przestępować z nogi na nogę i poruszać się w przód i tył tak nerwowo, że Duncan po raz pierwszy naprawdę się zaniepokoił. Pamiętał ostrzeżenie Calindy i jeszcze raz uświadomił sobie, że w żaden sposób nie było to najlepsze miejsce do konfrontacji z przeciwnikiem, który mógł być cokolwiek niezrównoważony.

Nagle Karl podjął decyzję. Przestał chodzić tam i z powrotem i obrócił się na pięcie tak gwałtownie, że Duncan mimowolnie cofnął się o krok. Dostrzegł wtedy z ulgą ale i z zaskoczeniem, że Karl wyciągnął ręce błagalnie, a nie z groźbą - Duncan... - zaczął zupełnie innym głosem. - Ty możesz mi pomóc. Próbuje tylko...

Nagle jakby słońce eksplodowało. Duncan zasłonił oczy rękoma przed blaskiem nie do zniesienia. Usłyszał okrzyk Karla, a chwilę później przyjaciel uderzył mocno o niego i zaraz odskoczył.

Aktywna detonacja trwała zaledwie ułamek sekundy. Czy mógł to być piorun? Ale w takim razie dlaczego nie było grzmotu? Przy tak jasnym rozbłysku powinien pojawić się niemal od razu.

Duncan odważył się otworzyć oczy i okazało się, że nie stracił wzroku, choć widzi jakby poprzez różową mgiełkę. Karl jednak najwyraźniej nic nie widział, miotał się ślepo z rękoma mocno przyciśniętymi do oczu. A grzmot wciąż nie następował.

Gdyby Duncan nie był sparalizowany ze strachu, mógłby jeszcze coś zrobić. Wszystko zdawało się dziać w zwolnionym tempie, niemal jak we śnie. Nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Zobaczył, jak Karl nogą popycha cenny notes i jak ten spada w dół, trzepocząc kartkami jak dziwny biały ptak. Choć zupełnie oślepiony, Karl zdał sobie sprawę, co zrobił. Kompletnie dezorientowany rzucił się przed siebie, by złapać notes i uderzył w barierkę. Duncan próbował go chwycić, ale było już za późno.

Zresztą mogło to w ogóle nie być konieczne, jednak upływ lat i rdza zrobiły swoje. Gdy zdradliwy metal pękał, Duncanowi wydawało się, że w ostatniej sekundzie swojego życia Karl wykrzyknął jego imię.

Ale co do tego nigdy nie miał pewności.

Rozdział trzydziesty trzeci

Słuchacze

- Nie ma żadnego prawnego przymusu - wyjaśnił ambasador Farrell. - Jeśli chcesz, mogę powiedzieć, że masz immunitet dyplomatyczny. Ale to nie byłoby mądre i mogłoby prowadzić do różnych, hmm, trudności. W każdym razie to przesłuchanie jest dla wspólnego dobra wszystkich zainteresowanych stron. Chcemy dowiedzieć się, co się stało tak samo bardzo jak oni.

- A kim są oni?

- Nawet gdybym wiedział, nie mógłbym ci powiedzieć. Powiedzmy, że są to ziemskie służby bezpieczeństwa.

- Nadal macie tu takie bzdury? Myślałem, że szpiegzy i tajni agenci to już od dawna przeżytek.

- Wszelka biurokracja lubi się unieśmiertelnić, sam powinieneś o tym wiedzieć najlepiej. Ale cywilizacja zawsze będzie miała powody do niezadowolenia, żeby użyć frazy,

którą gdzieś podsłuchałem. Choć policja prowadzi większość spraw, tak samo jak na Tytanie, zdarzają się sprawy, które wymagają specjalnego traktowania. Przy okazji, poproszono mnie, bym ci przekazał, że wszystko, co powiesz, będzie miało specjalny status i nie będzie mogło być publikowane bez twojej zgody. A jeśli chcesz, mogę iść z tobą, by ci doradzać i udzielić ci moralnego wsparcia.

Nawet teraz Duncan nie wiedział do końca, kogo ambasador reprezentuje, propozycja ta jednak wydawała się rozsądna i zaakceptował ją. Nie widział nic złego w takim prywatnym spotkaniu, jakieś sądowe przesłuchanie było oczywiście konieczne, ale im mniej rozgłosu, tym lepiej.

Poniekąd spodziewał się, że wywozą go samochodem z zaciemnionymi szybami do jakiegoś ogromnego podziemnego kompleksu ukrytego gdzieś głęboko w lasach Virginii lub Marylandu i był nieco rozczarowany, gdy skończyło się na małym pokoiku w dawnym budynku Departamentu Stanu, gdzie jego rozmówcą był podsekretarz o nieprawdopodobnym nazwisku John Smith. Duncan sprawdził później i okazało się, że było to prawdziwe nazwisko oficera. Wkrótce okazało się jednak, że wbrew pozorom pokój ów mieścił więcej niespodzianek, niż widać było gołym okiem.

Podejrzenia Duncana co do ogromnego lustra, które zajmowało większą część jednej ze ścian, szybko się potwierdziły. Jego gospodarz - czy raczej oficer śledczy, jeśli trzymać się melodramatycznej nomenklatury - dostrzegł jego zaciekawione spojrzenie i uśmiechnął się szczerze.

- Za pańską zgodą panie Makenzie, chcielibyśmy nagrać to spotkanie. Kilku innych uczestników obserwuje nas po tamtej stronie, od czasu do czasu mogą do nas dołączać. Nie będę ich jednak przedstawiał, jeśli pan pozwoli.

Duncan skinął grzecznie głową w kierunku lustra.

- Nie mam nic przeciwko nagraniu - odpowiedział. - Czy będzie problemem, jeśli ja również włączę swój minisek?

Nastąpiła bolesna cisza, przerwana tylko chrząknięciem ambasadora. Pan Smith odpowiedział:

- Wolimy dostarczyć panu stenogram. Zapewniam, że będzie bardzo dokładny.

Duncan nie naciskał. Prawdopodobnie wywołałoby to niepotrzebne zakłopotanie, gdyby któryś z głosów należał do kogoś z zewnątrz. W każdym razie stenogram będzie w zupełności wystarczający, ufał swojej pamięci wystarczająco, by wiedzieć, w którym miejscu mogły pojawić się ewentualne błędy lub pominięcia.

- W takim razie świetnie - powiedział Smith z wyraźną ulgą.

- Zaczynamy.

Jednocześnie coś dziwnego stało się z pokojem. Akustyka zmieniła się gwałtownie, jakby pokój nagle stał się znacznie większy. Żadnej fizycznej zmiany Duncan nie dostrzegł, miał jednak wrażenie obecności wielu osób. Nigdy nie miał się dowiedzieć, czy byli oni w Waszyngtonie, czy na drugim końcu Ziemi, miał jednak nieprzyjemne wrażenie bycia otoczonym przez wielu niewidzialnych słuchaczy - i widzów.

Chwilę później usłyszał głos przemawiający do niego z powietrza tuż przed jego twarzą - Dzień dobry, panie Makenzie. Dziękujemy, że zgodził się pan poświęcić nam swój czas i proszę wybaczyć nam naszą małomówność. Przepraszamy, jeśli odniósł pan wrażenie, że ta sytuacja przypomina nieco dwudziestowieczny film szpiegowski. W dziewięćdziesięciu dziewięciu na sto przypadków, wszystkie te środki ostrożności są zbędne. Ale nigdy nie wiemy, kiedy nastąpi ten setny przypadek.

Głos był przyjazny i mocny, bardzo głęboki i donośny, jednak było w nim coś nienaturalnego. Komputer? - pomyślał Duncan. To by było zbyt proste, zresztą dziś nie dało się już odróżnić ludzkiej mowy od komputerowej wokalizacji: wszystkie „yyy”, „hmm”, niedokończone zdania i pomyłki gramatyczne zostały uwzględnione w oprogramowaniu tak, żeby nie elektroniczny rozmówca czuł się jak najbardziej komfortowo. Uznał, że przemawia do niego człowiek, jednak używa systemu zmiany barwy głosu.

Duncan wciąż jeszcze zastanawiał się, czy powinien na to odpowiedzieć, gdy mówić zaczął drugi głos. Tym razem głos dobiegał z odległości jakichś pięćdziesięciu centymetrów od jego lewego ucha.

- Musimy pana uspokoić, panie Makenzie, że o ile nam wiadomo, żadne ziemskie prawo nie zostało złamane. Nie badamy tutaj przestępstwa, staramy się tylko rozwiązać zagadkę i wyjaśnić tragedię. Jeśli jakiegokolwiek przepisy obowiązujące na Tytanie zostały złamane, to nie jest to nasz problem, tylko pański. Mam nadzieję, że to jest jasne?

- Tak - odpowiedział Duncan. - Byłem tego zresztą pewien, ale cieszę się, że teraz mam potwierdzenie.

Rzeczywiście była to ulga, nie był to jednak czas na rozluźnienie. Być może faktycznie było to - jak się wydawało - zaproszenie do współpracy, ale równie dobrze mogłaby to być pułapka.

Kobięcy głos odezwał się tuż za jego plecami i musiał powstrzymać się, by nie odwrócić głowy w stronę, z której dobiegał. Czy te zupełnie niepotrzebne sztuczki z dźwiękiem miały go zdezorientować? Naprawdę myśleli, że jest aż tak naiwny?

- Żeby nie tracić czasu wyjaśnię, że mamy kompletny życiorys pana Helmera - (...i mój też - pomyślał Duncan). - Pański rząd był bardzo pomocny, pan jednak jako bliski przyjaciel zmarłego może posiadać informacje, które pozostają dla nas nieznanne.

Duncan skinął głową ale nie odezwał się ani słowem. I tak pewnie wiedzieli wszystko o tej przyjaźni i jej zakończeniu.

Jakby w odpowiedzi na jakiś ukryty sygnał, pan Smith otworzył walizkę i ostrożnie położył na stole jakiś mały przedmiot.

- Zapewne pan to rozpoznaje - mówił dalej kobiecy głos.

- Rodzina pana Helmera prosiła, by przekazać to panu wraz z pozostałymi rzeczami zmarłego.

Widok miniseca Karla - dokładnie taki sam model jak jego własny - był sam w sobie takim szokiem, że Duncan nie usłyszał reszty informacji.

- Proszę powtórzyć - poprosił.

Nastąpiła tak zaskakująco długa przerwa, że Duncan pomyślał, że jego rozmówczyni musi być chyba na Księżycu, w trakcie dalszej rozmowy upewnił się, że tak musiało być. Z innymi rozmówcami rozmowa była szybka i natychmiastowa, z tą kobietą za każdym razem pojawiał się ów dziwny poślizg czasowy.

- Helmerowie zażyczyli sobie, by to panu powierzyć wszelkie rzeczy osobiste ich syna, dopóki kolejne dyspozycje nie będą wydane.

Był to gest pokoju ponad grobem ich wszystkich nadziei i Duncan poczuł łzy w oczach. Patrzył na garść urządzeń elektronicznych leżących na stole i czuł niechęć na myśl, że miałby ich dotknąć. Były tam wszystkie tajemnice Karla; czy Helmerowie poprosiliby go, by się nimi zajął, gdyby mieli coś do ukrycia? Ale był też pewien, że wiele spraw Karl ukrywał także przed swoją rodziną w minisece musiało być wiele rzeczy, o których tylko on wiedział. To prawda, wszystko to musiało być strzeżone ostrożnie dobranymi hasłami dostępu, niektóre z nich pewnie połączone były z funkcją usuwania, na wypadek gdyby urządzenie dostało się w niepowołane ręce.

- Oczywiście - mówił dalej głos z Księżyca (jeżeli rzeczywiście pochodził z Księżyca) - jesteśmy żywo zainteresowani zawartością tego miniseca. W szczególności chcielibyśmy poznać listę kontaktów na Ziemi - adresy i numery osobiste.

Tak - pomyślał Duncan - świetnie was rozumiem. Pewnie bardzo was kusiło, żeby zbadać jego zawartość już wcześniej, ale boicie się utraty danych. Chcecie przebadać najpierw inne możliwości...

Patrzył z namysłem na to małe pudełko leżące na stole, na jego wielofunkcyjne przyciski i wygaszony teraz ekran. Było to urządzenie o takim stopniu złożoności, o jakim wcześniej ludzie nie mogli nawet śnić. Prawdziwa mikro symulacja ludzkiego mózgu. Wewnątrz znajdowały się miliony bitów informacji, przechowywanych w nieskończonych atomowych tablicach, tylko czekające na sygnał wywołania - albo unicestwienia w wypadku użycia niewłaściwego kodu. W tej chwili pudełko było martwe, bezwładne, jak ludzka świadomość w najgłębszych otchłaniach snu. Choć może nie do końca: zegar i kalendarz wciąż funkcjonowały, odliczając sekundy, minuty i dni, które dla Karla nie miały już żadnego znaczenia.

Kolejny głos włączył się do rozmowy, tym razem dobiegał z prawej strony.

- Zapytaliśmy pana Helmera, czy jego syn pozostawił jakieś hasła dostępu, jak to się zwykle robi. Wkrótce usłyszysz pan zapewne więcej na ten temat. Na razie nie będziemy próbować odzyskać żadnych danych. Za pańskim pozwoleniem, chcielibyśmy zatrzymać to urządzenie jeszcze na jakiś czas.

Duncan był już zmęczony tym, że decyzje podejmowano za niego - a Helmerowie przecież jasno powiedzieli, że to on miał być w posiadaniu rzeczy Karla. Nie było jednak sensu się sprzeciwiać; gdyby tak postąpił, bez wątpienia jakieś prawne formalności wyczarowałyby się z powietrza podobnie jak owe głosy.

Pan Smith znów zaczął grzebać w walizce.

- Przejdźmy do drugiej kwestii. Jestem pewien, że to również pan rozpozna.

- Tak, Karl zwykle nosił przy sobie notes. Czy to ten, który miał przy sobie, gdy...

- Tak, to ten. Czy zechciałby pan przejrzeć go i sprawdzić, czy nie ma w nim nic na pierwszy rzut oka uderzającego, niezwykłego, wartego zwrócenia uwagi lub o jakiegokolwiek wartości dla tego śledztwa? Nawet gdyby wydawało się to kompletnie trywialne lub bez znaczenia, proszę mówić.

Ależ otchłań technologiczna - pomyślał Duncan - pomiędzy tymi dwoma przedmiotami. Minisek był tryumfem ery neoelektronicznej, notesy istniały w niezmienionej formie od co najmniej tysiąca lat - podobnie jak wetknięty weń ołówek. Prawdą było to, co powiedział pewien filozof historii: Ludzkość nigdy nie rezygnuje zupełnie ze swoich narzędzi. Jednak notesy Karla zawsze były nieco afektowane: potrafił stworzyć kompetentny rysunek techniczny, nie miał jednak za grosz talentu artystycznego.

Duncan przewracał strony, będąc w pełni świadomym wielu oczu obserwujących go w tym momencie. Bez wątpienia każda z tych stron była już dokładnie sprawdzona przy użyciu wszelkich dostępnych technik umożliwiających odnalezienie ukrytych znaków lub usuniętych

fragmentów. Ciężko było uwierzyć, że może dodać coś jeszcze do tak precyzyjnie przeprowadzonego badania.

Karl najwyraźniej używał notesów do zapisywania wszystkiego, co go zainteresowało, do prowadzenia swoistego dialogu z samym sobą i do wyrażania uczuć. Były tam niezrozumiałe słowa i liczby, pisane drobnym, precyzyjnym stylem, fragmenty obliczeń i równań, matematyczne wykresy...

Były też obrazki, najwyraźniej rysunki scen z zewnętrzných księżyców, z wyraźnym zarysem Saturna w postaci kółka i elipsy, wiszącego na niebie...

...diagramy obwodów z kolejnymi obliczeniami, pełnymi λ i ω , rysunki wektorowe, które Duncan potrafił rozpoznać, ale nie zrozumieć... i nagle, wybuchając wręcz spośród stron bezosobowych notatek i raczej marnych szkiców, coś, co tchnęło życie w te strony, co mogło być dziełem prawdziwego artysty: portret Calindy, narysowany z oczywistą miłością.

Powinien być natychmiast rozpoznawalny, jednak o dziwo Duncan patrzył na niego tępo przez dłuższą chwilę. Nie była to Calindy, którą znał teraz, której twarz wymazała już wspomnienie z przeszłości. To była Calindy, jaką obaj poznali, dziewczyna zamrożona na zawsze w stereoskopie, będąca poza zasięgiem Czasu.

Duncan długo przyglądał się portretowi, zanim przewrócił stronę. Był naprawdę znakomity, zupełnie niepodobny do pozostałych szkiców. Ileż to razy Karl musiał ją rysować ciągle na nowo w ciągu tych wszystkich lat?

Nikt się nie odezwał ani nie przerwał jego myśli. Przeglądał dalej.

...więcej obliczeń... wzory heksagonów znikające gdzieś w oddali, no tak, oczywiście!

- To struktura tytanitu, ale liczby napisane obok nic mi nie mówią. Wygląda jak czyjś ziemski numer wideo.

- Ma pan rację. To numer eksperta od kamieni szlachetnych mieszkającego tutaj w Waszyngtonie. Ale nie Ivora Mandel'stahma, jeśli chciałby pan wiedzieć. Osoba ta powiedziała nam, że pan Helmer nigdy się z nią nie kontaktował, i wierzymy w to. Prawdopodobnie zdobył skądś ten numer, zapisał, ale nigdy nie użył.

...więcej obliczeń, teraz z zapisem częstotliwości i kątów fazowych. Na pewno sprawy komunikacyjne - część codziennej pracy Karla...

...geometryczne bazgroły, wiele z nich opartych na motywie heksagonu...

...znów Calindy - tym razem tylko zarys twarzy, zupełnie bez tego wrażenia miłości jak na wcześniejszym obrazku...

...wzór jakby plastra miodu zrobiony z kółek, widziany w perspektywie. Tylko kilka narysowanych szczegółowo, jasne jednak było, że jest ich znacznie więcej. Interpretacja też dość oczywista.

- Plan Cyklopa, tak, wpisał nawet liczbę elementów i ich wymiary.

- Jak pan sądzi, dlaczego był tym projektem tak zainteresowany?

- Z oczywistych powodów: to największy i najszlachetniejszy radioteleskop na Ziemi. Często mi o nim opowiadał.

- Czy wspominał chęć zobaczenia go na własne oczy?

- Bardzo możliwe, ale nie pamiętam. To było w końcu lata temu.

Rysunki na kolejnych stronach, choć bardzo proste i schematyczne, były bez wątplenia szczegółami konstrukcji Cyklopów: anteny, mechanizmy naprowadzające, fragmenty oprzyrządowania, wszystko przerywane jeszcze większą ilością obliczeń. Jeden szkic był zaczęty, ale niedokończony. Duncan przyjrzał mu się ze smutkiem i obrócił stronę. Tak jak się spodziewał, była pusta.

- Przykro mi, ale muszę was rozczarować - powiedział, zamykając notes. - Nic niezwykłego tutaj nie znajduję. Kar... Pan Helmer pracował na polu nauk komunikacyjnych, przygotowywał łącza między Tytanem a planetami wewnętrznymi. Wszystko to jest częścią jego pracy, nie widzę w tym nic niezwykłego.

- Być może, panie Makenzie, ale jeszcze pan nie skończył.

Duncan w zdumieniu popatrzył na puste powietrze przed sobą. Wtedy podsekretarz Smith wskazał gestem na notes.

- Nic nigdy nie jest takie oczywiste, jak się wydaje - powiedział łagodnie. - Proszę zacząć od drugiego końca.

Czuąc się nieco głupio, Duncan jeszcze raz otworzył notes, obrócił go i spostrzegł, że faktycznie Karl używał go z obu stron.

Tyłna wewnętrzna okładka była pusta, na następnej stronie było jednak napisane jedno tajemnicze słowo: ARGOS. Nic to Duncanowi nie mówiło, choć bardzo słabo przypominało coś związanego z historią. Odwrócił stronę i przeżył jeden z największych szoków w życiu.

Patrzył z niedowierzaniem na rysunek, który zajmował całą powierzchnię kartki i który przeniósł go z powrotem na Złotą Rafę. Nie mógł się mylić, a przecież Karl nigdy - przynajmniej o ile było mu wiadomo - nie wykazywał najmniejszego zainteresowania niuansami ziemskiej zoologii. Sam pomysł, żeby ktokolwiek z Tytana mógł być zafascynowany biologią morską był absurdalny.

A jednak było to szczegółowe studium, z perspektywą skrupulatnie opisaną cienkimi liniami x , y i z , charakterystycznego morskiego jeżowca. Widać było jedynie tuzin jego promienistych igieł, ale jasne było, że są ich setki, zajmujące całą przestrzeń dookoła.

Było to bardzo zaskakujące, ale było w tym coś jeszcze. Rysunek ten wymagał wielu godzin wyteżonej pracy. Karl poświęcił nudnym bezkręgowcom - których nawet nie mógł nigdy widzieć na oczy! - tyle samo miłości i wysiłku, ile włożył w portret Calindy.

W jasnym świetle na zewnątrz budynku Departamentu Stanu Duncan i ambasador czekali przez pięć minut, aż kolejny autobus podjedzie cicho od strony Virginia Avenue. W zasięgu głosu nikogo nie było, więc Duncan odezwał się z cichą niecierpliwością.

- Wiesz, co to jest *Argos*?

- W gruncie rzeczy tak, choć bladego pojęcia nie mam, jak to może pomóc. Mam jeszcze resztki klasycznego wykształcenia w głowie, i jeżeli się nie mylę, *Argos* to imię psa Odyseusza. Rozpoznał swojego pana, gdy ten wrócił do Itaki po dwudziestu latach włóczęgi, i zaraz potem zdechł.

Duncan analizował tę informację przez dłuższą chwilę, po czym wzruszył ramionami.

- Masz rację, to się zupełnie nie łączy. A ja bym chciał jeszcze wiedzieć, dlaczego ludzie, których właśnie poznałem - a właściwie nie poznałem - tak bardzo interesują się Karlem. Jak sami na początku przyznali, nic nie zrobił wbrew prawu, przynajmniej temu ziemskiemu. Przypuszczam, że jeśli chodzi o prawo obowiązujące na Tytanie, to mógł co najwyżej nagiąć pewne przepisy, ale na pewno ich nie złamał.

- Chwileczkę, chwileczkę! - powiedział ambasador. - Coś mi się przypomniało.

Jego twarz przybrała kilka dość melodramatycznych grymasów, aż wreszcie wygładziła się. Rozejrzał się podejrzliwie dokoła, upewnił się, że nikt nie może go usłyszeć i że ich pojazd - jak wskazywał cyfrowy licznik - nie nadjedzie jeszcze przez kilka minut.

- Chyba wiem, o co chodzi, ale będę wdzięczny, jeśli nie będziesz łączył mnie z tą koncepcją. Rozważmy pewną szaloną spekulację...

Każdy organizm ma mechanizm samoobrony. Właśnie miałeś do czynienia z jednym z nich - częścią systemu ochronnego Ziemi. Grupa ta, jakkolwiek jest zakres jej odpowiedzialności, prawdopodobnie składa się z niewielkiej liczby bardzo ważnych osób. Spodziewam się, że znam większość z nich, prawdę mówiąc, jeden z głosów... nieważne...

Taki komitet musi mieć swoją nazwę, oczywiście ściśle tajną. W ramach swoich obowiązków często natykam się na takie gremia i oczywiście zawsze pamiętam, by zapomnieć, jak się nazywają.

Argos był psem stróżującym, obronnym. Idealna nazwa dla naszego komitetu, prawda? Wyobrażasz sobie - pamiętaj, że wciąż oczywiście fantazuję - jak musieli być zdumieni, gdy znaleźli nazwę swojej grupy uważnie wykaligrafowaną w tak tajemniczych okolicznościach?

Była to wiarygodna teoria i Duncan był pewien, że ambasador nie pomyślał o niej bez żadnego konkretnego powodu. Wciąż jednak donikąd ich nie zaprowadziła.

- Brzmi to bardzo sensownie, jestem gotów w to uwierzyć. Ale co u diabła ma to wspólnego z rysunkiem jeżowca? Nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć...

Ich pojazd wreszcie przyjechał i ambasador puścił Duncana przodem.

- Jeśli cię to pocieszy, Duncan, to wiedz, że nie jesteś w tym osamotniony. Oddałbym sporą część mojej przyszłej skromnej emerytury, by móc podsłuchać, o czym teraz rozmawia podsekretarz Smith ze swoimi niewidzialnymi przyjaciółmi.

Rozdział trzydziesty czwarty

Interesy i pożądanie

Widok z okna apartamentu Calindy był bardzo przekonujący Duncan patrzył w dół na bardzo ruchliwą 57. Ulicę, była mroźna zimowa noc i pierwsze płatki śniegu leciały powoli w dół, by stopnieć natychmiast na rozgrzanym chodniku. Było jednak lato, a nie zima; i nawet limuzyna prezydenta Bersteina nie była tak stara jak samochody poruszające się cicho sto metrów niżej. Oglądał przeszłość, być może hologram z końca dwudziestego wieku, i choć dobrze wiedział, że tak naprawdę znajduje się głęboko pod ziemią nie mógł przekonać swoich zmysłów, by w to uwierzyły.

Wreszcie był z Calindy sam na sam, choć w okolicznościach, które jeszcze kilka dni temu nawet by się mu nie przyśniły. Jak na ironię, gdy wreszcie nadarzyła się okazja, nie odczuwał najmniejszego wręcz pożądania.

- Co to jest? - zapytał podejrzliwie, gdy Calindy wręczyła mu wąski kryształowy kielich zawierający kilka centymetrów krwistoczerwonej cieczy.

- Nazwa nic by ci nie powiedziała, a gdybyś dowiedział się, ile to kosztowało, nie chciałbyś tego wypić. Napij się trochę powoli, nie będziesz miał drugiej okazji, a to dobrze ci zrobi.

To było dobre - delikatne, nieco słodkie i - Duncan był tego pewien - naładowane kilkoma megatonami uspiętej energii. Sączył bardzo powoli, przyglądając się Calindy chodzącej po pokoju.

Nie wiedział, czego oczekiwać, jej apartament bardzo go zdziwił. Był niemal nieprzyjazny w swej prostocie, ale duży i o pięknych proporcjach, z szarymi ścianami, niebieskim, gwieździstym sufitem, który wyglądał jak najprawdziwsze niebo, i zielonym dywanem, który sprawiał wrażenie małego morza trawy rozbijającego się o ściany. Mebli było zaledwie kilka: cztery krzesła z miękkimi obiciami, dwie sofy, biurko, szklana szafka pełna delikatnej chińskiej porcelany, niski stolik na którym stało małe pudełko i wspinała książka o prymitywistach XXII wieku, i oczywiście nieodzowna komsola, na której ekranie widać teraz było obrazy abstrakcyjne, bardzo dalekie od prymitywizmu.

Nawet gdyby nie było siły grawitacji, Duncan nie mógłby zapomnieć, że znajduje się na Ziemi. Wątpił, by prywatne mieszkanie na jakiegokolwiek innej planecie mogło wyglądać w ten sposób, ale nie chciałby tu mieszkać. Wszystko było odrobinę zbyt doskonale i aż za bardzo świadczyło o obsesji Ziemiaków na temat przeszłości. Przypomniał sobie uwagę ambasadora Farrella: „My nie jesteśmy dekadency, ale nasze dzieci będą”. To dotyczyło pokolenia Calindy, być może ambasador miał rację...

Łyknął jeszcze trochę, wciąż w milczeniu obserwując Calindy. Wyraźnie skrepowana przesunęła krzesło o ułamek cala i w równie niewielkim stopniu poprawiła obrazek. W końcu wróciła na sofę i usiadła obok niego.

Sięgnęła w kierunku stołu i podniosła leżące na nim pudełko.

- Widziałeś już coś takiego? - zapytała, zdejmując wieczko.

Na aksamitnym obiciu wewnątrz leżało coś, co wyglądało jak duże, srebrne jajko, mniej więcej dwa razy większe od zwykłych jajek, które Duncan widział w Hotelu Jubileuszowym.

- Co to jest? - zapytał. - Jakaś rzeźba?

- Podnieś. Tylko nie upuść.

Pomimo ostrzeżenia prawie wypuścił to coś z rąk. Nie było szczególnie ciężkie, ale zdawało się żywe - niemal wierciło się w jego dłoni, choć nie dało się dostrzec żadnego ruchu. Gdy jednak przyjrzał się uważniej, dostrzegł słabe opalizujące pasy przepływające nad powierzchnią jajka i natychmiast rozplywające się. Wyglądały jak fale gorąca, jednak żadnego ciepła nie wyczuwał.

- Potrzymaj w obu rękach - doradziła Calindy. - I zamknij oczy.

Duncan posłuchał jej pomimo silnego impulsu nakazującego mu przyglądać się, co tak naprawdę dzieje się z tym niezwykłym obiektem, który trzymał w dłoniach. Był kompletnie zdezorientowany, bo zmysł dotyku - zmysł, na którym człowiek mógł najbardziej polegać - zdawał się go zdradzać.

Faktura jajka cały czas się zmieniała. Już nie była metalowa, teraz - nie do wiary - jajko stało się futrzane. Równie dobrze mógł właśnie trzymać w rękach jakieś małe zwierzątko, na przykład kotka...

Ale trwało to nie dłużej niż kilka sekund. Jajko zadrżało, stało się twarde i chropowate, jak z papieru ściernego, niemal drapało skórę...

...papier ścierny zmienił się w jedwab, tak delikatny i gładki, że chciał go pogłaskać. Ledwo zdążył o tym pomyśleć, gdy...

...jajko zaczęło zmieniać się w galaretkę, niemal zaczęło przeciekać mu między palcami i musiał powstrzymać się, żeby nie upuścić go z obrzydzeniem. Jedyne świadomość tego, że to nie mogło się dziać naprawdę, pozwoliła mu opanować ten impuls...

...teraz było drewniane, wyczuwał nawet sęki...

...a teraz rozsypało się w ostre igielki, każda tak ostra, że wyraźnie czuł, jak wbijają mu się w skórę...

Były też inne odczucia, których nawet nie umiał nazwać, niektóre bardzo przyjemne, inne neutralne, a kilka tak ohydnych, że ledwo udało mu się opanować odruch obrzydzenia. Wreszcie gdy między dłońmi Duncan poczuł wyjątkowy, nieporównywalny z niczym dotyk ludzkiej skóry, ciekawość i zdziwienie pokonały go. Otworzył oczy, srebrne jajko w ogóle się nie zmieniło, choć teraz miał wrażenie, że wycięto je z mydła.

- Cóż to na miłość boską jest?! - wykrzyknął.

- To taktoid. Nie słyszałeś o nich?

- Nie.

- Fascynujące, prawda? Robi z dotykiem to samo co kalejdoskop ze wzrokiem. Ale nie pytaj, jak to działa, nie wiem, chyba ma to coś wspólnego z kontrolowaną elektryczną stymulacją.

- Do czego to służy?

- A czy wszystko musi do czegoś służyć? To zabawka, nowość. Ale pokazałam ci ją z pewnego ważnego powodu.

- No tak, wiem. Najnowszy wynalazek z Ziemi.

Calindy uśmiechnęła się tęsknie. Pamiętała to ich stare powiedzonko. Przypomniało im obojgu o owych dawnych czasach, gdy poznali się na Tytanie.

- Duncan - powiedziała tak cicho, że ledwie słyszał jej głos. - Myślisz, że to wszystko moja wina?

Siedzieli na sofie oddaleni od siebie o jakieś dwa metry i musiał obrócić się cały, by spojrzeć jej w oczy. Kobieta, którą teraz widział, nie była już pewną siebie menadżerką jaką spotkał na Titanicu, ale nieszczęśliwą i zagubioną dziewczynką. Zastanawiał się, jak długo potrwa ta chwila skruchy, ale w tej chwili była bardzo prawdziwa.

- Jak mam ci na to odpowiedzieć? - zapytał. - Ja wciąż nic nie wiem. Nie wiem, co Karl robił na Ziemi ani po co tu przyjechał.

To tylko częściowo była prawda, minisek Karla zaczął już ujawniać swoje sekrety. Ale Duncan nie był jeszcze gotowy rozmawiać o nich z kimkolwiek, a zwłaszcza z Calindy.

Spojrzała na niego lekko zdziwiona i odpowiedziała:

- Chcesz powiedzieć, że on nigdy ci nie powiedział? W ciągu tych piętnastu lat?

- Nie powiedział o czym?

- O tym, co stało się tamtej ostatniej nocy na pokładzie Mentora.

- Nie - odpowiedział Duncan powoli i z bólem. - Nigdy o tym nie mówił.

Po tych wszystkich latach tamta zdrada wciąż była gorzkim wspomnieniem. Teraz wiedział już oczywiście, że absurdem było oczekiwać, że dwoje młodych dorosłych ludzi, całkowicie zajętych własnym smutkiem, miałyby zwracać uwagę na uczucia młodego chłopca, uwielbiającego ich oboje. Nie mógł ich za to winić, ale głęboko w sercu nigdy im nie wybaczył.

- Więc nie wiesz, że użyliśmy wtedy Maszyny Radości?

- O nie!

- Niestety. To nie był mój pomysł. Karl nalegał, a ja nie umiałam się mu przeciwstawić. Przynajmniej miałam na tyle rozsądku, by sama jej nie użyć. To znaczy użyć, ale na bardzo małej mocy...

- Przecież one nawet wtedy były nielegalne. Skąd się wzięła taka maszyna na Mentorze?

- Na Mentorze było dużo rzeczy, o których lepiej nie mówić.

- No pewnie. I co się stało?

Calindy wstała i znów zaczęła nerwowo chodzić tam i z powrotem. Mówiła dalej, unikając wzroku Duncana:

- Nie lubię o tym myśleć. Nawet teraz mnie to przeraża i rozumiem, dlaczego ludzie się tak beznadziejnie uzależniają. Jestem pewna, że twoje palce nigdy nie dotykały niczego tak - hmm, *namacalnego*, to chyba najlepsze słowo - jak taktoid. Maszyna Radości działa

bardzo podobnie, sprawia, że prawdziwe życie wydaje się blade i nudne. A pamiętaj, że Karl użył jej na pełnej mocy. Mówiłam mu, żeby tak nie robił, ale tylko się zaśmiał. Był przekonany, że znieśie wszystko...

Tak - pomyślał Duncan - to bardzo typowe dla Karla. Choć nigdy nie widział Wzmacniacza Emocji, jeden był trzymany pod ścisłą kontrolą w Szpitalu Centralnym w Oasis City. Było to bardzo cenne narzędzie psychiatryczne, jednak jej prosta, przenośna wersja ochrzczona szybko „Maszyną Radości” rozpowszechniła się w połowie stulecia jak zaraza we wszystkich zamieszkałych światach. Nikt nie umiał powiedzieć, jak wiele niedojrzałych, młodych umysłów zostało przez nią zrujnowanych. „Wypalenie mózgu” było największą chorobą lat sześćdziesiątych, dopóki epidemia nie wygasła, zostawiając za sobą setki emocjonalnych trupów. Karl miał szczęście uciec...

Ależ nie, oczywiście nie uciekł. To była więc prawda o jego „załamaniu” i wytłumaczenie jego zmienionej osobowości. Duncan zaczynał czuć zimny gniew na Calindy. Nie wierzył w jej niewinność, już wtedy musiała dobrze wiedzieć, jak kończą się takie „zabawy”. Jednak część jego gniewu opierała się na osądzie moralnym, obwinał Calindy, ponieważ żyła, a Karl leżał zamrożony w kostnicy jak jakaś wspaniała marmurowa rzeźba zniszczona przez czas i uważnie odnowiona. Musiał tam czekać, aż wszystkie prawne komplikacje związane z likwidacją pozaziemskich zwłok dobiegną końca. Był to następny obowiązek, który spadł na Duncana; zrobił wszystko, co było niezbędne, by pożegnać przyjaciela, którego stracił na długo przed jego śmiercią.

- Chyba rozumiem już wszystko - powiedział Duncan tak ostro, że Calindy spojrzała na niego zdumiona. - Ale opowiedz mi wszystko, co działo się później?

- Karl wysyłał mi długie zwariowane listy, opieczętowane, paczka specjalna. Mówił, że nigdy nie będzie w stanie kochać nikogo innego, powiedziałam mu, żeby się nie wygłupiał i żeby o mnie zapomniał jak najszybciej, bo nigdy więcej się nie spotkamy. Co jeszcze miałam powiedzieć? Nie zdawałam sobie sprawy, jak nic nie warta była to rada, jakby kazać mu przestać oddychać. Wstyd mi było zapytać i dopiero po latach odkryłam, co Maszyna Radości robi z mózgiem.

Widzisz, Duncan, on mówił dosłowną prawdę, gdy twierdził, że nie będzie w stanie pokochać nikogo innego. Po wzmocnieniu działania obwodów odpowiedzialnych za uczucie przyjemności Maszyny Radości zaczęły trwale wpływać na mózgi, tworząc w nich niezniszczalne struktury pożądania. Psychologowie nazwali ten efekt elektropiętnowaniem; myślę, że istnieją już sposoby, by proces ten odwrócić, ale na pewno nie było ich przed piętnastu laty, nawet na Ziemi. A już na pewno nie na Tytanie.

Po jakimś czasie przestałam odpowiadać na jego listy, nie miałam już nic do powiedzenia. Ale wciąż kontaktował się ze mną co najmniej kilka razy w roku, przysięgał, że wcześniej czy później przyleci na Ziemię, żeby znów się ze mną spotkać. Nie brałam tego na poważnie.

Być może nie - pomyślał Duncan - ale na pewno nie było to dla ciebie nieprzyjemne. Musiało ci schlebiać, że ktoś tak mądry i piękny jak Karl oddał swoją duszę w twoje ręce. Nawet jeśli to zniewolenie było wynikiem działania maszyny...

Rozumiał teraz doskonale, dlaczego wszystkie późniejsze związki i romanse Karla kończyły się szybko i dramatycznie. Skazane były na porażkę od samego początku. Obraz Calindy, nieosiągalnego ideału, zawsze stał pomiędzy Karlem a szczęściem. Jakże musiał być samotny! I iluż nieporozumień można było uniknąć, gdyby przyczyna jego zachowania była zdiagnozowana wcześniej.

Może jednak nic nie dało się zrobić i może nie miało sensu zastanawiać się nad zaprzepaszczonej szansami. Kim był ów filozof, który powiedział: „Ludzkość nigdy nie zazna szczęścia, dopóki słowa *Gdyby tylko...* nie znikną z języka”.

- Więc musiałaś być zaskoczona, gdy w końcu rzeczywiście przyleciał?

- Nie. Od jakiegoś czasu to sugerował, w zasadzie od roku poniekąd się go spodziewałam. Zadzwoił do mnie z Port Van Allen, powiedział, że właśnie przybył kursem specjalnym i będzie chciał się ze mną zobaczyć natychmiast, gdy przejdzie trening grawitacyjny.

- To był statek dostawczy Ziemskiej Misji Badawczej, który wracał na Ziemię pusty i z ogromną prędkością choć i tak zajęło mu to pięćdziesiąt dni.

Nie mogła to być wygodna podróż - pomyślał Duncan. - Pięćdziesiąt dni w jednej z tych kosmicznych ciężarówek, niemal bez warunków do życia. Zupełnie inaczej niż na Syriuszu! Żał mu było pilotów, którzy niewinnie ulegli perswazji Karla, miał nadzieję, że w obecnej sytuacji sąd nie zniszczy im karier.

Calindy nieco się uspokoiła. Przestała chodzić tam i z powrotem i usiadła na sofie obok Duncana.

- Nie byłam pewna, czy rzeczywiście chcę go znowu zobaczyć po tych wszystkich latach, ale wiedziałam, jak bardzo był zdeterminowany. Nie miało sensu mu odmawiać. Więc można powiedzieć, poszłam po linii najmniejszego oporu.

Uśmiechnęła się gorzko i mówiła dalej:

- Spotkanie nie było udane, powinnam była o tym wiedzieć. I wtedy zobaczyliśmy w wiadomościach, że właśnie przybyłeś na Ziemię.

- To musiał być dla Karla szok. Co powiedział?

- Niewiele. Ale widziałam, że się zdenerwował i że był bardzo zdziwiony.

- Na pewno rzucił jakiś komentarz.

- Tylko tyle, że gdybyś się ze mną kontaktował, miałam ci nie mówić, że on też jest na Ziemi. Wtedy po raz pierwszy nabrałam podejrzeń i zaczęłam martwić się tytanitem, o którego sprzedaż mnie poprosił.

- To najmniej istotne, zapomnij o tym. Powiedzmy, że był to jeden z wielu środków, których Karl użył, by osiągnąć cel. Ale chciałbym wiedzieć, czy gdy po raz pierwszy do ciebie zadzwoniłem, on wciąż tu był?

Następna chwila wahania, która sama w sobie częściowo była odpowiedzią. Calindy odpowiedziała wyzywającym tonem:

- Oczywiście, że tak. I bardzo się wściekł, gdy mu powiedziałam, że się spotkamy. Mieliśmy o to poważną awanturę, nie pierwszą zresztą - westchnęła, nieco nazbyt dramatycznie. - Wtedy nawet Karl wiedział już, że to się nie uda, że sytuacja była beznadziejna. Ostrzegałam go wiele razy, ale on mi nie wierzył. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że Calindy, którą poznał piętnaście lat temu i której obraz wyrył się w jego pamięci, już nie istnieje...

Duncan nigdy nie sądził, że zobaczy łzy w jej oczach. Ale czy szlochała za Karlem - pomyślał - czy za swoją straconą młodością?

Chciał być cyniczny, ale nie umiał. Był przekonany, że jakaś część jej smutku jest prawdziwa i szczerą, i zupełnie wbrew sobie poczuł się tym autentycznie wzruszony. A nawet coś więcej, bo zdał sobie teraz sprawę, ku swojemu zdumieniu, że współczucie nie było jedyną emocją jaką Calindy w nim wzbudzała. Nie wiedział wcześniej, że wspólny smutek może być afrodyzjakiem.

Było to coś, czego nie chciał powstrzymywać, ale też nie miał zamiaru niczego przyspieszać. Wciąż jeszcze chciał się dowiedzieć wielu rzeczy, które chyba tylko ona mogła mu powiedzieć.

- Więc za każdym razem, gdy się kochaliśmy, był zawiedziony - mówiła dalej przez łzy. - Z początku próbował to ukrywać, wiedziałam o tym i nie było to przyjemne. Czułam się wtedy taka... niewystarczająca. Wiesz, wtedy wiedziałam już bardzo dużo o efektach działania Maszyn Radości i rozumiałam jego problem. Karl nie był wyjątkiem... Był coraz bardziej sfrustrowany - i brutalny. Czasami bałam się go. Wiesz, jaki był silny, spójrz na to.

Kolejnym teatralnym gestem rozpięła sukienkę i pokazała mu górną część lewego ramienia, o całej lewej piersi nie wspominając.

- Uderzył mnie o tutaj, tak że miałam siny ślad. Wciąż go trochę widać.

Nawet najbardziej się wysilając, Duncan nie był w stanie nic dostrzec na śnieżnobiałej skórze gładkiej jak aksamit. Mimo to informacja ta nie pozostawiła go obojętnym.

- Więc dlatego wyłączyłaś kanał wideo - powiedział ze współczuciem i przysunął się bliżej do niej.

- A wtedy zadzwonił przyjaciel Ivora z tą sprawą dotyczącą Tytana. Pomyślałam, że to dziwny zbieg okoliczności... Wiesz co, Duncan, to było nieładne zagranie.

W jej słowach więcej było smutku niż złości, ale nie odsunęła się od niego. Prawie pół sofy było teraz wolne.

- A potem wszystko zaczęło się dziać naraz. Wiedziałaś, że Służba Bezpieczeństwa przysłała dwóch agentów, żeby mnie przesłuchali?

- Nie, ale spodziewałem się tego. Co im powiedziałaś?

- Oczywiście wszystko. Byli bardzo mili i pełni zrozumienia.

- I bardzo niezdarni... - zauważył Duncan gorzko.

- Och, Duncan, to był wypadek! Jesteś ważnym gościem, musieli cię chronić. Byłby gigantyczny skandal, gdyby coś ci się stało tuż przed przemówieniem w Kongresie. Ale też nie powinieneś być jechać za Karlem w takie niebezpieczne miejsce.

- Ono nie jest niebezpieczne, rozmawialiśmy bardzo przyjaźnie. Skąd miałem wiedzieć, że jakiś idiota z bronią gotową do strzału czai się w sąsiedniej antenie?

- A co on miał zrobić? Dostał rozkaz chronić ciebie każdym kosztem i wiedział, że Karl może być agresywny. Sytuacja wyglądała tak, jakbyście zaczęli się bić, a poza tym laser miał tylko na kilka godzin oślepić Karla. To był straszny wypadek, nikogo nie można winić.

Być może - pomyślał Duncan. Nieprędko będzie w stanie przeanalizować całą sekwencję zdarzeń na chłodno. Jeśli w ogóle była w tym czyjaś wina, należało ją podzielić równo między dwa światy. Jak większość ludzkich tragedii także ta nie wynikała ze Złych zamiarów, ale z błędnych sądów i nieporozumień...

Gdyby Malcolm i Colin nie nalegali, by wytropił Karla i skonfrontował go z faktami... Gdyby sam nie chciał, by Karl udowodnił swą niewinność, i nie dał mu szansy, by jej dowieść nawet kosztem - nieświadomie, ale teraz już wiedział - oddania się w jego ręce... Być może Karl naprawdę był niebezpieczny, to też było coś, czego miał się nigdy nie dowiedzieć.

Zdawało się, że obaj dali się wplątać w skomplikowaną sieć losu, z której nie można się było wyswobodzić. I choć skala katastrofy była nieporównywalna, Duncan znów przypomniał sobie historię Titanica. On też był skazany na porażkę, jakby sami bogowie

sprzysięgli się przeciwko niemu w serii najwyraźniej przypadkowych i banalnych splotów okoliczności. Gdyby radiowe ostrzeżenia nie zostały zagłuszone przez pozdrowienia i korespondencję biznesową... Gdyby góra lodowa nie przecięła tak niewiarygodnie wszystkich wodoszczelnych przedziałów... Gdyby radiooperator najbliższego statku znajdującego się zaledwie 20 kilometrów od Titanica nie zszedł ze służby tuż przed tym, jak nadano pierwszy sygnał SOS... Gdyby była wystarczająca liczba szalup ratunkowych... Wszystkie zabezpieczenia zawiodły jedno po drugim, przez niewyobrażalny przypadek, który doprowadził do katastrofy.

- Może masz rację - powiedział Duncan, próbując pocieszyć się wzorem Calindy. - Naprawdę nikogo nie obwiniam, nawet Karla.

- Biedny Karl... Naprawdę mnie kochał... Przebyć całą tę odległość od Ziemi...

Duncan nie odpowiedział, choć przez chwilę miał ochotę. Na pewno nawet Calindy nie wierzyła, że był to jedyny powód. Nawet człowiek o kompletnie wypalonym mózgu, zniszczonym przez jedną z tych diabolicznych Maszyn Radości, kierował się nie tylko uczuciami. A główny cel Karla był tak zachwycający, że nawet teraz Duncan nie mógł jeszcze uwierzyć w obraz, który zaczynał wynurzać się z jego notatnika i z odczytanych nagrań w jego miniseku.

Karl miał swój sen - być może koszmar - i Duncan był jedynym człowiekiem na świecie, który choć częściowo był w stanie go zrozumieć. Jakże skonsternowany i zdumiony musiał być cały Komitet Argosa! Myśl ta dała Duncanowi poczucie siły, choć nieraz wołałby, żeby ciężar tej wiedzy nigdy na niego nie spadł...

Ponieważ siły i szczęścia nie mógł połączyć, Karl sięgnął po obie te rzeczy i obie prześlizgnęły się mu między palcami. Jak Duncan mógł skorzystać z tej lekcji - jeszcze nie wiedział, ale miała ona z nim pozostać już na zawsze.

Ale jeśli szczęście było nieosiągalne, może choć przyjemność była w zasięgu i nie należało nią wzgardzić. Na kilka chwil zapomniał o rzeczywistości i skupił się na tajemnicy znacznie potężniejszej niż te, które serwowała swoim klientom Calindy.

Jakże dziwnie wszystko się odwróciło. Piętnaście lat temu on i Karl złączyli się w smutku po stracie Calindy. Teraz on i Calindy byli razem, złączeni żalem po Karlu.

Duncan wiedział teraz, choć mógł to być zaledwie cień tamtego niezaspokojonego głodu, jakiego rozczarowania doświadczył Karl. To prawda, że nie da się odzyskać przeszłości.

Było mu prawie tak dobrze, jak sobie to wcześniej wyobrażał, ale czegoś brakowało.

Calindy nie miała już smaku miodu.

Rozdział trzydziesty piąty

Argos Wszechwidzący

Pomylili Argosów. Gdyby nie powaga sytuacji, Duncan szczerze by się roześmiał.

Colin naprowadził go na ten trop jednym ze swoich oszczędnych teleksów. Trzeba było samemu zbadać tę dość istotną kwestię, a nie czekać na wskazówki aż z Tytana.

- O KTÓRYM ARGOSIE PISZESZ? - pytał Colin. - BYŁO TRZECH.

Krótkie sprawdzenie w sekcji ENCYKLOPEDIA komsoli potwierdziło tę informację. Faktycznie, tak jak ambasador Farrell pamiętał, Argos był starym, wiernym psem Odyszeusza, który rozpoznał swojego pana, gdy ten wrócił po latach do domu. Imię to doskonale nadawało się na nazwę tajnej komórki wywiadowczej, choć gdy teraz Duncan zaczął to sprawdzać, okazało się, że wcale aż tak tajna nie była. Bernie Patras słyszał o niej (ale to nie dziwi), George Washington również, ten drugi przyznał zresztą z zakłopotaniem, że „oczywiście zadawali mi pytania, ale nie ma powodu do zmartwień”.

Ivor Mandel'stahn był bardziej bezpośredni - nawet sarkastyczny:

- W mojej branży dyskrecja jest bardzo ważna, mógłbym tych ludzi nauczyć tego i owego. Pod rządami Stalina - czy nawet dawnych carów - nie przetrwaliby pięciu minut. Ale myślę, że są potrzebni. Społeczeństwo zawsze będzie potrzebować jakiegoś systemu ostrzegawczego, by wykrywał malkontentów, nim narobią kłopotów. Wątpię tylko, by jakikolwiek system zadziałał wtedy, gdy jest naprawdę potrzebny.

Drugi Argos był budowniczym mitycznego - choć może nie tak bardzo - statku Jazona, Argo. Duncan nigdy nie słyszał o Złotym Runie i mit ten zafascynował go. Argo byłoby świetną nazwą dla statku kosmicznego - pomyślał. Ale to też niewiele miało wspólnego z notatkami Karla.

Zastanawiał się, w jaki sposób Karl dowiedział się o trzecim Argosie; jego wciąż poszukujący czegoś umysł wędrował wieloma ścieżkami zarówno nauki, jak i fantazji. Teraz, mając już klucz do całej historii, dlaczego projekt, który kompletnie zdominował ostatnie lata życia Karla, mógł mieć tylko jednego patrona: wszechwidzącego, wielookiego boga, Argosa Panoptesa, który mógł patrzeć jednocześnie we wszystkich kierunkach. W przeciwieństwie do biednych cyklopów, którzy mogli spoglądać tylko w jedną stronę...

Dopiero po trzydziestu godzinach komputer sądowy na Tytanie zatwierdził testament Karla. Armand Helmer ogłosił wówczas to, na co Duncan liczył, że testament ów zawierał listę haseł - najpewniej do prywatnych notatek w miniseku.

Armand chciał od razu wysłać mu te hasła, jednak Duncan powstrzymał go w ostatniej chwili. Dzięki ostatnim doświadczeniom naiwny młody Makenzie, który przybył na Ziemię zaledwie kilka tygodni temu, rozwinął w sobie łagodną paranoję. Miał nadzieję, że z czasem nie przerodzi się ona w obsesję, jak to się stało w przypadku Colina. Choć może Colin miał rację...

Duncan nie pozwolił Armandowi wysłać haseł do chwili, kiedy - z dużymi oporami - Komitet Argosa zgodził się wydać minisek Karla w jego ręce. Gdyby nawet kody zostały teraz przejęte, tylko on mógł ich użyć.

W sumie było dwanaście kombinacji o identycznym formacie. Każda zaczynała się od polecenia G/T czyli GO TO, po której następowało sześć cyfr: 101000. Mógł to być przypadkowy ciąg cyfr, ale najpewniej z czymś się wiązał. Najczęściej stosowaną sztuczką było użycie w hasle roku swojego urodzenia; Karl urodził się w roku 40 i Duncan nie zdziwił się, gdy tę właśnie liczbę otrzymał, konwertując binarny ciąg cyfr na system dziesiętny. Był tylko nieco zawiedziony tak oczywistą sztuczką.

Hasła były jednak wystarczająco bezpieczne, bo istniało bardzo małe prawdopodobieństwo, że ktokolwiek, szukając na oślep, byłby w stanie wpisać alfabetyczne sekwencje, które pojawiały się po cyfrach. Choć łatwo je było zapamiętać - przynajmniej komuś pochodzącemu z Tytana - to trudno byłoby je wpisać przypadkowo. Każda była nazwą własną pisaną wspak; kolejna stara sztuczka, która jednak nigdy nie straciła na efektywności.

Lista zaczynała się od G/T 101000 SAMIM, dalej były G/T 101000 SYHTET, G/T 101000 SUNAJ, G/T 101000 ENOID, G/T 101000 EBEF. Karl najwyraźniej znudził się księżycami, bo następne hasło brzmiało G/T 101000 DNAMRA. To na pewno była osobista wiadomość, podobnie pewnie jak G/T 101000 YDNILAC.

Nie było wiadomości G/T 101000 NACNUD. Choć nie miał powodu jej się spodziewać, Duncan i tak poczuł ukłucie żalu.

Później było jeszcze kilka nazwisk, ale na nie nie zwrócił uwagi. Patrzył już tylko na ostatni wpis G/T 101000 SOGRA. Koniec poszukiwań.

Ale jeszcze nie koniec zmartwień, wciąż mogła czekać na niego ostatnia pułapka. Większość ludzi miała tajemnice, które woleli zabrać ze sobą do grobu. Wciąż było możliwe, że w razie niewłaściwego użycia haseł, uruchomiona zostanie komenda USUŃ.

Możliwe, ale mało prawdopodobne. Karl najwyraźniej chciał, by te wspomnienia ujrzały światło dzienne, inaczej nie zostawiłby haseł w swoim testamencie, i to bez żadnych dodatkowych ostrzeżeń. Chyba najmądrzej byłoby skontaktować się z Armandem jeszcze raz,

na wypadek gdyby Karl zostawił jeszcze jakieś instrukcje, które jego zrozpaczony ojciec mógł przeoczyć.

To trwałoby jednak całe godziny, a i tak pewnie nic by nie dało. Duncan przejrzał listę raz jeszcze, szukając jakichś wskazówek, ale nic nie znalazł. Sekwencja 101000 mogła oznaczać USUŃ... mógłby spekulować latami i nic by nie wymyślił.

Po hasłach nie było znaku # ani komendy WYKONAJ, ale to niczego nie dowodziło, mało kto zapisywał coś tak oczywistego; w dziewięciu na dziesięć przypadków pominięto by to jako zrozumiałe samo przez się. Standardowym sposobem ominięcia ukrytej komendy USUŃ było wciśnięcie przycisku WYKONAJ dwa razy szybko po sobie. Czy to, że Karl pominął znak #, miało jakiegokolwiek znaczenie, czy było po prostu czystą konwencją?

Problem zawierał swoje własne rozwiązanie, choć dotarcie do niego wymagało kierowania się bardziej uczuciami niż intelektem. Duncan nie widział w zapisach nic podejrzanego, choć przeanalizował każdą chyba możliwość. Wpisał więc z lekkim poczuciem winy hasło G/T 101000 YDNILAC, zawahał się na krótką chwilę i wcisnął #.

Gdyby się pomylił, Calindy nigdy nie dowiedziałyby się, co straciła. I choć ostatnia wiadomość Karla do niej mogła zostać usunięta, pozostałe były zupełnie bezpieczne.

Jego obawy okazały się bezpodstawne. Wysłuchał tylko pierwszych słów: „Witaj, Calindy. Gdy tego słuchacz, ja już pewnie”... Wcisnął klawisz STOP i minisek umilkł. Miał teraz ważniejsze zadanie. Może kiedyś, gdy będzie miał więcej czasu... nie, tej pokusie nie mógłby ulec.

I tak, w komfortowym odosobnieniu Hotelu Jubileuszowego, z blokadą NIE PRZESZKADZAĆ na drzwiach i na połączeniach przychodzących, Duncan wpisał kod G/T 101000 SOGRA #. Odwołał wszystkie spotkania w ciągu kolejnych dwóch dni, a wszystkie posiłki dostarczano mu do pokoju. Sporadycznie wykonywał połączenia z komsoli, by upewnić się co do niektórych technicznych szczegółów, większość czasu spędził jednak sam na sam z nieżyjącym przyjacielem.

Wreszcie był gotowy na kolejne spotkanie z Komitetem Argosa, jednak tym razem na swoich warunkach. Rozumiał już wszystko, z wyjątkiem oczywiście największej z tajemnic. Jak zachwycony byłby Karl, gdyby dowiedział się o Złotym Runie...

Pokój nie zmienił się, publiczność zapewne też była ta sama. Nie było jednak śladu po nieco niepewnym Duncanie Makenziem, który zaledwie kilka dni temu zastanawiał się, czy powinien skorzystać z immunitetu dyplomatycznego.

Bez dyskusji przyjęli jego wyjaśnienie słowa „Argos”, choć nie spodziewał się, by jego nagle zdobyta wiedza o antycznej mitologii zrobiła na nich większe wrażenie. Z krótkiego przesłuchania wyczuł spore rozczarowanie, być może komitet powinien znaleźć inne uzasadnienie swojego istnienia. (Czy na Ziemi naprawdę był zorganizowany podziemny ruch, czy był to tylko żart? Nie był to czas na takie pytania, choć Duncan ledwo się powstrzymał).

Jak na ironię mały spiszek był za to w tym pokoju - spiszek, w którym zgodnie uczestniczyły obie strony. Komitet uznał, że Duncan rozumie już znaczenie słowa Argos dla ziemskiego bezpieczeństwa, a on wiedział, że oni wiedzą. Strony doskonale się rozumiały i przeszły szybko do kolejnego punktu.

- Czym był więc Argos pana Helmera? - zapytała kobieta, którą Duncan umiejscowił na Księżycu. - I jak wytłumaczyć jego dziwne zachowania?

Duncan otworzył poplamiony notes i pokazał zdumiewający szkic, zajmujący całą stronę, który tak bardzo przykuł jego uwagę, gdy pierwszy raz go zobaczył. Nawet teraz, gdy znał już jego prawdziwą skalę, nie mógł widzieć w nim nic innego, jak rysunek jeżowca. Jeżowce miały jednak średnicę trzydziestu, może czterdziestu centymetrów, Argos miał mieć co najmniej tysiąc kilometrów, o ile obliczenia Karla nie były błędne. Co do tego Duncan nie miał żadnych wątpliwości, ale nie potrafiłby tego uzasadnić.

- Karl Helmer miał wizję - zaczął. - Spróbuję przekazać wam ją najlepiej, jak będę potrafił, choć nie jest to moje pole wiedzy ani zainteresowań. Znałem jednak jego psychologię i być może uda mi się sprawić, że zrozumiecie, czego, chciał dokonać.

Możecie być rozczarowani - pomyślał jednocześnie - możecie odrzucić cały zamysł jako złudzenie szalonego naukowca. Ale nie będziecie mieć racji; to mogłoby być nieskończenie ważniejsze od banalnych spisków zagrażających waszemu małemu światu...

- Karl był naukowcem, który zawsze pragnął dokonać wielkiego odkrycia, ale nigdy mu się to nie udało. Choć był pełen wyobraźni, nawet najbardziej szalone wizje, jakie roztaczał, twardo były zakorzenione w rzeczywistości. Był też bardzo ambitny...

- *Jeśli tak było* - wyszeptał cichy głos z powietrza obok niego - *jest to ciężka wina. I ciężko za nią Cezar odpowiedział.** Przepraszam, proszę mówić dalej...

Duncan nie znał tego cytatu i okazał swoją złość na to wtrącenie kilkoma sekundami ciszy.

* W. Szekspir, *Juliusz Cezar* tłum. Maciej Słomczyński.

- Interesował się wszystkim - być może zbyt wieloma rzeczami naraz - jednak jego największą pasją był wciąż nierozwiązany problem CETI, czyli komunikacji z istotami pozaziemskimi. Rozmawialiśmy o tym godzinami za młodu, nigdy nie byłem pewny, czy wszystko, co mówił, mówił na poważnie. Teraz już wiem.

Dlaczego nigdy nie wykryliśmy sygnałów radiowych od zaawansowanych cywilizacji, które muszą być gdzieś tam we wszechświecie? Karl miał wiele teorii, ale ostatecznie postawił na najprostszą. Nie jest oryginalna i na pewno już ją słyszeliście.

My sami nadajemy sygnały radiowe od jakichś stu lat, wliczając to także próby w XX wieku. Pod koniec tamtych czasów przestawiliśmy całą moc na kable, światłowody i satelity, nie marnując ani kropli na gwiazdy. Tak samo mogło być w wypadku innych cywilizacji dysponujących technologią porównywalną do naszej. Zanieczyszczają kosmos chaotycznym szumem radiowym przez stulecie lub dwa - króciutką część ich historii.

Więc jeśli nawet w kosmosie jest milion zaawansowanych cywilizacji, to tylko garstka może być w tym samym miejscu, w którym my byliśmy trzysta lat temu - wciąż rozbryzgując fale radiowe we wszystkich kierunkach. Rachunek prawdopodobieństwa praktycznie wyklucza możliwość, by którakolwiek z tych cywilizacji była w zasięgu naszych odbiorników, najbliższa może być o tysiące lat świetlnych stąd.

Nim jednak zarzucimy poszukiwania, powinniśmy wykorzystać wszystkie możliwości, a jest jedna, której nigdy nie sprawdzono, ponieważ do teraz było to praktycznie niemożliwe. Przez trzysta lat badaliśmy fale radiowe o długościach liczonych w metrach i centymetrach. Ale niemal zupełnie zignorowaliśmy fale bardzo długie, te o długości dziesiątek i setek kilometrów.

Oczywiście mieliśmy ku temu dobre powody. Przede wszystkim nie da się badać tych fal na Ziemi, nie przedostają się przez jonosferę i nigdy nie docierają do powierzchni. Da się je obserwować tylko z kosmosu.

Ale dla najdłuższych fal nie wystarczy wznieść się na orbitę czy nawet na drugą stronę Księżyca, gdzie zbudowano Cyklopa II. Trzeba znaleźć się w połowie drogi do granic Układu Słonecznego:

Słońce także ma jonosferę, podobnie jak Ziemia, tyle że miliardy razy większą. Pochłania wszystkie fale o długości większej niż dziesięć czy dwadzieścia kilometrów. Chcąc je wykryć, musielibyśmy znaleźć się w okolicach Saturna.

Takie fale udało się zaobserwować, ale jedynie kilka razy. Złapała je przed czterdziestu laty słoneczna misja badawcza; wcale nie szukała fal radiowych, mierzyła pole magnetyczne między Jowiszem a Saturnem. Zaobserwowała pulsacje, które musiały powstać

w wyniku impulsów radiowych o częstotliwości około piętnastu kiloherców, co odpowiada fali o długości dwudziestu kilometrów. Z początku myślano, że pochodzą z Jowisza, który wciąż skrywa wiele elektromagnetycznych niespodzianek, ale wkrótce wykluczono to źródło i ich pochodzenie pozostało do dziś tajemnicą.

Od tamtej pory było jeszcze kilka takich obserwacji, za każdym razem dokonanych przypadkowo, przez urządzenia badające coś zupełnie innego. Nikt nigdy wprost nie szukał tych fal, za chwilę zrozumiecie dlaczego.

Najbardziej niezwykły przypadek odnotowano dziesięć lat temu, w 66 roku, podczas badań Japeta. Uzyskali oni całkiem długie nagranie o częstotliwości dziewięciu kiloherców, co odpowiada fali o długości trzydziestu trzech kilometrów. Pomyślałem, że może zechcecie go posłuchać...

Duncan uważnie przepisał z kartki papieru do miniseca dość długą sekwencję cyfr i liter. W głuchoj ciszy tego dziwnego pokoju głos Karla przemówił zza grobu energicznie i profesjonalnie.

- Oto pełne nagranie, przyspieszone sześćdziesiąt cztery razy, dwie godziny skompresowane do dwóch minut. Zaczynamy.

Dziecięce wspomnienie wróciło teraz, po dwudziestu latach, do Duncana. Przypomniawszy sobie tamtą noc, gdy wsłuchiwał się w ów krzyk dobiegający na Tytana z otchłani kosmosu, i zastanawiał się, czy rzeczywiście był to głos jakiejś potwornej bestii, nie dowierzając jednak swojej własnej hipotezie, jeszcze zanim Karl ją brutalnie obalił. Teraz tamta fantazja wróciła, jeszcze silniejsza niż wcześniej.

Ten dźwięk, czy raczej infradźwięk, ponieważ jego oryginalna modulacja była poza zakresem ludzkiego słuchu, był jak powolne bicie gigantycznego serca lub jak bicie dzwonu tak wielkiego, że zmieściłaby się w nim cała katedra, a nie na odwrót. A może były to morskie fale rozbijające się w równym rytmie o jakiś opuszczony brzeg, w świecie tak starym, że choć Czas wciąż tam istniał, to Zmiana dawno już umarła...

Nagranie jak zawsze wywołało ciarki na skórze Duncana i ożywiło jeszcze jedno wspomnienie: obraz najpotężniejszego z ziemskich stworzeń wznoszącego się ku niebu nad Złotą Rafą. Czy wśród gwiazd mogły być bestie, dla których ludzie byłiby tak samo mało istotni jak wszy dla wieloryba?

Z ulgą powitał koniec nagrania. Pozbawionym emocji głosem Karl mówił dalej:

- Należy zwrócić uwagę na zaskakująco stałą częstotliwość, oryginalny okres to 132 sekundy, nie zmienia się o więcej niż 0, 1%. To sugeruje bardzo wysokie Q, powiedzmy...

- Reszta jest już bardzo techniczna - powiedział Duncan, wyłączając nagranie. - Chciałem tylko, byście posłuchali nagrania, jakie z Japeta przywiozła misja badawcza. I jest to coś, czego nie można by nagrać po wewnętrznej stronie orbity Saturna.

Głos którego wcześniej nie słyszał - młody i raczej pewny siebie - dobiegł z powietrza za jego plecami:

- Ale to stary materiał, dobrze znany naukowcom specjalizującym się w tym temacie. Sandemann i Koralski wykazali, że prawie na pewno sygnały te były oscylacjami relaksacji prawdopodobnie chmury plazmowej w pobliżu jednego z punktów libracyjnych Saturna.

Duncan czuł, że jego fasada eksperta sypie się w proch, powinien był przewidzieć, że wśród słuchaczy będzie ktoś dużo lepiej od niego zorientowany w temacie, a być może nawet lepiej od Karla.

- Nie jestem wystarczająco kompetentny, by na ten temat dyskutować - odpowiedział. - Zdaję tylko relację z poglądów pana Helmera. Wierzył, że tu zaczyna się zupełnie nowe pole nauki, jak dotąd w ogóle nietknięte. W końcu za każdym razem, gdy badaliśmy nowy fragment tego spektrum, natykaliśmy się na coś zdumiewającego i kompletnie nieoczekiwanego. Helmer był przekonany, że tak będzie znowu.

By jednak badać owe gigantyczne fale - nawet milion razy dłuższe od tych obserwowanych w klasycznej radioastronomii - musimy użyć odpowiednio wielkich systemów anten. Zarówno by je wychwytywać - są bowiem bardzo słabe - jak i po to, by określać kierunki, z których dobiegają.

To właśnie był Argos Karla Helmera. Jego nagrania i szkice zawierają dość szczegółowe projekty, innym pozostawię ocenę, na ile są one praktyczne.

Argos miałby patrzeć we wszystkich kierunkach jednocześnie, jak wielkie systemy obrony radarowej w XX wieku. Byłby trójwymiarowym odpowiednikiem Cyklopa, kilkaset razy większym, musiałby mieć bowiem co najmniej tysiąc kilometrów średnicy. Idealnie dziesięć tysięcy, by mieć moc wystarczającą do badania tych bardzo niskich częstotliwości.

Mógłby przy tym składać się ze znacznie mniejszej ilości materiałów niż Cyklop, znajdowałby się przecież głęboko w kosmosie, w warunkach nieważkości. Helmer wybrał na jego lokalizację Mnemosyne, najdalszy z księżyców Saturna, i zdaje się to być bardzo logicznym wyborem. W zasadzie chyba jedynym...

Mnemosyne znajduje się dwadzieścia milionów kilometrów od Saturna, daleko poza jonosferą planety, a także wystarczająco daleko od jej sił pływowych. Przede wszystkim jednak posiada niemal zerową rotację. Wystarczyłaby skromna bateria silników rakietowych, by rotację tę zatrzymać całkowicie. Mnemosyne byłaby wówczas jedynym ciałem w

kosmosie bez żadnej rotacji i Helmer sugerował, że mogłoby to być idealne laboratorium dla różnego rodzaju eksperymentów.

- Takich jak na przykład test zasady Macha - przerwał ten pewny siebie młody głos.

- Tak - zgodził się Duncan, teraz autentycznie pod wrażeniem swojego nieznanego rozmówcy. - Helmer wspominał o tej możliwości. Ale wracając do Argosa...

Mnemosyne miała być jądrem czy też trzonem całego układu. Tysiące elementów - zwykłych fragmentów sztywnego drutu - promieniście odchodziłoby od niej, jak... jak kolce jeżowca. W ten sposób można by przeczesywać cały kosmos jednocześnie. A dodatkowo temperatura na Mnemosyne jest tak niska, że można by użyć tanich nadprzewodników, znacząco zwiększając wydajność systemu.

Nie będę wniknął w szczegóły przełączania i fazowania, które pozwoliłyby Argosowi obracać kolce-anteny elektrycznie - bez konieczności ich fizycznego ruchu - tak by mogły skupiać się na wybranym obszarze nieba. Wszystko to, i zresztą znacznie więcej, Helmer opracował w swoich notatkach, korzystając z technik rozwiniętych i użytych w Cyklopie i innych radioteleskopach.

Możecie się zastanawiać - tak jak ja się zastanawiałem - w jaki sposób chciał uruchomić swój gigantyczny projekt. Planował prostą demonstrację, która jak był pewien, dałaby wystarczająco dużo dowodów potwierdzających jego teorie.

Miał zamiar wystrzelić dwa spore ciężary w dokładnie przeciwnych kierunkach, każdy z nich miał holować drut długości kilkuset kilometrów. Po rozwinięciu się drutów ciężary zatrzymałyby się i powstałaby prosta antena dipolowa długa na tysiąc kilometrów. Miał nadzieję przekonać swoją misję badawczą do tego eksperymentu. Byłby zapewne stosunkowo niedrogi, a na pewno przyniósłby interesujące rezultaty. Później chciał wykonać kilka coraz bardziej ambitnych eksperymentów, wystrzeliwując druty pod kątem prostym i tak dalej.

Zdaje się jednak, że powiedziałem już wystarczająco dużo, byście mogli sami osądzić ten projekt. Jest jeszcze wiele innych kwestii, których nie zdążyłem odczytać, liczę na waszą cierpliwość, przynajmniej do czasu obchodów jubileuszu. Bo to właśnie na nie - jak z pewnością wiecie - tu przyleciałem, i mam sporo pracy do wykonania...

- Dziękuję za wsparcie moralne, Bob - powiedział Duncan, gdy wraz z Jego Ekscelencją Ambasadorem Tytana znaleźli się w jasnym świetle dnia na Virginia Avenue.

- Nie odezwałem się ani słowem. Temat mnie przerósł. I cały czas miałem nadzieję, że ktoś zada pytanie, na które wciąż chciałbym poznać odpowiedź.

- Jakie to pytanie?

- Jak Helmer chciał się z tego wszystkiego wykręcić?

- A, to... - Duncan był nieco rozczarowany, ten aspekt sprawy wydawał mu się już taki nieistotny. - Chyba rozumiem jego strategię. Cztery lata temu, kiedy odrzuciliśmy jego projekt stworzenia prostego systemu wykrywania bardzo długich fal radiowych - ponieważ nie stać nas było na to, a on nie chciał powiedzieć, do czego tak naprawdę zmierza - postanowił osobiście udać się na Ziemię i przekonać tu najważniejszych naukowców. To oznaczało, że musiał w jakiś sposób pozyskać środki. Musiał być pewny, że szybko się zrehabilituje i że łatwo zapomnimy o pomniejszych przypadkach naruszenia prawa przez niego. Było to ryzykowne, ale uważał, że rzecz jest warta takiego zagrania.

- Hmm... - zamyślił się ambasador, najwyraźniej nie do końca przekonany. - Wiem, że Helmer był twoim przyjacielem i nie chcę źle się o nim wyrażać. Ale chyba można by go nazwać naukowym geniuszem... i przestępcą psychopatą prawda?

Duncan, ku własnemu zdziwieniu, wzdrygnął się, słysząc takie określenie. Musiał przyznać, że było w nim trochę prawdy, jedną z cech psychopaty - termin ten wciąż używany był przez prawników, pomimo trzech stuleci prób wymazania go ze słownika - jest moralna ślepotą na wszystko poza własnym interesem. Oczywiście Karl w każdej chwili mógł przekonująco dowieść, że to, co leżało w jego interesie, leżało też w interesie wszystkich zainteresowanych. Makenzowie - z pewnym zakłopotaniem zdał sobie sprawę Duncan - też byli niezli w takich intrygach.

- Jeśli w postępowaniu Karla były elementy irracjonalne, przynajmniej częściowo były one związane z załamaniem nerwowym, jakie przeżył piętnaście lat temu. Nie miało to jednak wpływu na jego badania naukowe; każdy, z kim o tym rozmawiałem, potwierdza, że Argos to mocny projekt.

- W to nie wątpię, ale dlaczego jest taki ważny?

- Miałem nadzieję - powiedział Duncan łagodnie - że jasno to wyjaśniłem naszym niewidzialnym przyjaciołom.

I jestem pewien, że wyjaśniłem - pomyślał - przynajmniej jednemu z nich. Jego najbardziej dociekliwy rozmówca musiał być jednym z najważniejszych na Ziemi radioastronomów. On na pewno zrozumiał i tylko kilku sprzymierzeńców na tym poziomie było potrzeba. Duncan był pewien, że któregoś dnia spotkają się znowu, tym razem twarzą w twarz, i w sytuacji bez związku z żadnym dochodzeniem.

- Żeby wyjaśnić, dlaczego to jest ważne, Bob, powiem ci coś, czego nie powiedziałem przed komisją i o czym, jestem pewien, Karl w ogóle nie pomyślał, tak bardzo zajęty był swoimi sprawami. Zdajesz sobie sprawę, co taki projekt jak Argos przyniósłby ekonomii

Tytana? Przyniósłby nam miliardy, stalibyśmy się jednym z naukowych centrów Układu Słonecznego. W dłuższej perspektywie mógłby nawet rozwiązać nasze problemy finansowe, gdy zapotrzebowanie na wodór zacznie spadać za kilka lat.

- Doceniam to - powiedział Farrell sucho. - Zwłaszcza że moje podatki na to pójdą. Niech nic nie ingeruje w postęp nauki.

Duncan zaśmiał się ze zrozumieniem. Lubił Boba Farrella i był mu wdzięczny za wielką pomoc. Był też jednak coraz mniej pewny lojalności ambasadora i być może wkrótce trzeba będzie znaleźć kogoś innego na to stanowisko. Niestety, znów będzie to musiał być ktoś z Ziemi z powodu tej piekielnej grawitacji; to był jednak problem, do którego Tytan musi się wreszcie przyzwyczaić.

Oczywiście nie mógł powiedzieć ambasadorowi ani tym bardziej Komisji Argosa, dlaczego pomysł Karla mógł być tak ważny dla ludzkości. W minisecu nagrane były pewne spekulacje - na szczęście nie znalazły się one w notesie - które przez wiele lat nie powinny jeszcze wyjść na jaw, przynajmniej dopóki nie zostałyby w jakikolwiek sposób potwierdzone.

Karl w przeszłości tak często miał rację w sprawach wybiegających daleko poza logikę i zdrowy rozsądek, że Duncan był pewien, że i ta ostatnia niezwykła intuicja była prawdziwa. A jeśli nie, to prawda musiała być jeszcze dziwniejsza, w każdym razie była to prawda, którą należało poznać. Choć wiedza ta mogła być przytłaczająca, ceną za ignorancję mogło być wymarcie.

Tutaj, na ulicach tego pięknego miasta, skąpanych w słońcu i historii, trudno było brać na poważnie ostatnie komentarze Karla, w których spekulował na temat pochodzenia owych tajemniczych fal radiowych. Zapewne nawet Karl nie wierzył we wszystko, co nagrał w tajnej pamięci swojego miniseca podczas długiej podróży na Ziemię...

Ale był diabolicznie przekonujący, a jego rozważania miały nieodpartą logikę. Nawet jeśli sam nie wierzył we własne przypuszczenia, to i tak mógł mieć rację.

- Po pierwsze - mruzczał do siebie (zapewne trudno było o prywatność na tym frachtowcu, Duncan słyszał czasami nagrane hałasy statku, pracę innych członków załogi) - te kilohercowe fale mają ograniczony zasięg z powodu absorpcji międzygwiazdowej. Nie byłyby w stanie dotrzeć od jednej gwiazdy do drugiej, gdyby nie obłoki plazmowe działające jak falowody, przekazujące je na większe dystanse. Ich źródło musi więc znajdować się blisko Układu Słonecznego.

Moje obliczenia wskazują na źródło - lub źródła - oddalone o około jedną dziesiątą roku świetlnego od Słońca. Czyli zaledwie jedną czterdziestą dystansu do Alfa Centauri i aż dwieście razy dalej niż do Plutona... Ziemia niczyja - krawędź międzygwiazdowego pustkowiecia.

Ale to właśnie tam rodzą się komety, w wielkiej niewidzialnej muszli otaczającej Układ Słoneczny. Jest tam wystarczająco dużo materiału, by stworzyć miliony *miliony* tych dziwnych obiektów orbitujących w kosmicznym mrozie.

Co dzieje się w tych ogromnych chmurach wodoru, helu i innych pierwiastków? Nie ma tam wiele energii, ale może więcej nie trzeba. A gdzie jest energia i materia - i Czas - prędzej czy później następuje organizacja.

Nazwijmy je *Gwiezdnymi Bestiami*. Czy są żywe? Nie, to niewłaściwe słowo. Pozostanemy przy „Systemach Zorganizowanych”. Musiałyby mieć setki, a może tysiące kilometrów średnicy, i mogłyby żyć - czyli utrzymywać indywidualną tożsamość - miliony lat.

To tylko myśl. Komety, które obserwujemy - czy mogłyby być zwłokami Gwiezdných Bestii wysłanymi w stronę Słońca do kremacji? Albo straconymi przestępcami? Jestem żenująco antropomorficzny, ale co mam zrobić?

I czy są inteligentne? Co w ogóle to słowo oznacza? Czy mrówki są inteligentne, czy ludzkie komórki są inteligentne? Czy wszystkie Gwiezdne Bestie otaczające Układ Słoneczny tworzą pojedynczą istotę i czy ona wie o nas? Czy ją obchodzimy?

Być może Słońce trzyma je na dystans, jak w dawnych czasach ognisko chroniło przed wilkami lub szablozębnymi tygrysami. My jednak jesteśmy coraz dalej od Słońca i prędzej czy później dojdzie do spotkania. Im więcej się o nich dowiemy, tym lepiej.

Jest jeszcze jedno pytanie, o którym boję się myśleć. Czy są bogami? CZY RACZEJ POŻERACZAMI BOGÓW?

Rozdział trzydziesty szósty

Dzień Niepodległości

Przemówienie Szanownego Duncana Makenziego, Specjalnego Doradcy Prezydenta Republiki Tytana. *Congressional Record*, 4 lipca 2276.

Panie Przewodniczący, Członkowie Kongresu, Szanowni Goście, na początku chciałbym wyrazić wdzięczność Komitetowi Obchodów Jubileuszu Pięćsetlecia, dzięki którego hojności moja wizyta na Ziemi i w tych Stanach Zjednoczonych była możliwa. Przywożę wam wszystkim pozdrowienia z Tytana, największego z księżyców Saturna - i najdalszego ze światów zamieszkałych przez człowieka.

Przed pięciuset laty ta ziemia również była granicą nie tylko geograficznie, ale też politycznie. Wasi przodkowie, niecałe dwadzieścia pokoleń temu, stworzyli pierwszą faktycznie sprawną konstytucję demokratyczną - sprawną do dzisiaj i będącą wzorem dla światów, których oni nie mogliby wyśnić w najbardziej szalonych snach.

Podczas tych obchodów wielu mówców poruszyło temat spuścizny, jaką pozostawili nam założyciele Republiki przed pół tysiącem lat. W międzyczasie były jednak kolejne cztery jubileusze, chciałbym przyjrzeć się każdemu z nich pokrótce i zastanowić się, jakie wnioski dla nas z nich płyną.

Podczas pierwszego z nich, w 1876 roku, Stany Zjednoczone wciąż jeszcze wracały do zdrowia po katastrofalnej w skutkach wojnie domowej. W tym samym czasie kładły też podwaliny pod technologiczną rewolucję, która miała wkrótce zmienić obraz świata. Być może nie przez przypadek dokładnie w setną rocznicę uchwalenia konstytucji w tym właśnie państwie powstał wynalazek, który tak naprawdę rozpoczął podbój kosmosu.

To właśnie w 1876 roku Alexander Graham Bell zbudował pierwszy działający telefon. Komunikacja elektroniczna jest dla nas tak całkowicie naturalna, że nie umielibyśmy sobie wyobrazić społeczeństwa bez niej. Gdyby nagle usunięto te przedłużenia naszych zmysłów, zostalibyśmy głusi i ślepi. Pamiętajmy więc, że to właśnie czterysta lat temu telefon rozpoczął proces kurczenia się odległości, przynajmniej na tej planecie.

Sto lat później, w 1976 roku, proces ten niemal dobiegł końca, a podbój przestrzeni międzyplanetarnej właśnie się rozpoczynał. W tym czasie pierwsi ludzie postawili już stopę na Księżycu, a było to możliwe przy użyciu technologii, które z dzisiejszego punktu widzenia były niewiarygodnie prymitywne. Choć wszyscy historycy zgadzają się, że projekt Apollo był jednym z największych dokonań Stanów Zjednoczonych, jedną z największych chwil tryumfu tego narodu, to jednak był inspirowany najbardziej nedorzecznymi motywami politycznymi, zupełnie niepojętymi dla nas dzisiaj. Wspaniały pionierski wysiłek owych pierwszych inżynierów i astronautów był jednak technologicznym ślepym zaułkiem, a poważne podróże kosmiczne zaczęły się dopiero kilka dekad później, przy użyciu dużo bardziej zaawansowanych pojazdów, dysponujących znacznie potężniejszymi systemami napędowymi.

W 2076 roku wszystkie narzędzia potrzebne do podboju planet były już gotowe. Udoskonalono systemy długoterminowego podtrzymywania życia, po serii pierwszych katastrof napęd jądrowy został okiełznany. Ludzkość była jednak zmęczona globalną odbudową po Trudnych Czasach i w obliczu krachu populacyjnego kolonizacja nowych światów nie spotkała się z wielkim entuzjazmem.

Pomimo tych problemów ludzkość nieodwołalnie postawiła już pierwsze kroki na drodze ku gwiazdom. W dwudziestym pierwszym wieku Baza Księżycowa stała się samowystarczalna, powstała Kolonia Marsjańska i zabezpieczyliśmy przyczółki na Merkurym. Wenus i Gazowe Giganty nie poddały się nam - do dzisiaj zresztą - ale odwiedziliśmy wszystkie większe księżyce i planetoidy Układu Słonecznego.

W 2176 roku, zaledwie wiek temu, znacząca część ludzkości nie była już urodzona na Ziemi. Po raz pierwszy w historii mieliśmy pewność, że cokolwiek nie stałoby się naszej ojczystej planecie, kulturalne dziedzictwo ludzkości nie będzie stracone. Było bezpieczne aż do chwili śmierci Słońca, a zapewne jeszcze na dłużej...

Stulecie, które mamy za sobą, było czasem konsolidacji raczej niż nowych odkryć. Dumny jestem z faktu, że mój świat odegrał znaczącą rolę w tym procesie, albowiem bez łatwo dostępnego na Tytanie wodoru, podróże międzyplanetarne byłyby niewyobrażalnie kosztowne.

W tym miejscu rodzi się stare pytanie: dokąd teraz zmierzamy? Gwiazdy są równie odległe jak dotychczas, nasze pierwsze sondy po dwóch stuleciach podróży nie dotarły jeszcze do Proxima Centauri, najbliższej sąsiadki Słońca. Choć nasze teleskopy sięgają granic wszechświata, żaden człowiek nie był dalej niż na Plutonie. A wciąż jeszcze musimy postawić stopę na dalekiej Persefonie, do której przecież mogliśmy dolecieć w każdej chwili podczas ostatniego stulecia.

Czy prawdą jest to, co wielu sugeruje, że granica znów się zamknęła? Ludzie wierzyli w to już wielokroć i za każdym razem byli w błędzie. Możemy śmiać się dziś z owych pesymistów z początków XX wieku, którzy narzekali, że nie ma już światów do odkrycia. I to w chwili, gdy Goddard, Korolev i von Braun bawili się swoimi pierwszymi, prymitywnymi raketami. A jeszcze wcześniej, nim Kolumb przetaił szlak na ten kontynent, narody Europy musiały wierzyć, że przyszłość nie przyniesie nic, co mogłoby dorównać chwale przeszłości.

Nie wierzę, że dotarliśmy do końca historii i że to, co przed nami, może być wyłącznie udoskonaleniem i przedłużeniem naszych dzisiejszych możliwości, na planetach, które już zostały odkryte. Nie można jednak zaprzeczyć, że takie myślenie jest dziś dość powszechne i przejawia się na wiele sposobów. Mamy do czynienia z nadmierną adoracją przeszłości, z próbami rekonstruowania jej i życia w dawnym stylu. Oczywiście spieszę dodać, że nie zawsze jest to złe, choćby to co teraz robimy, tego dowodzi.

Musimy szanować przeszłość, ale nie czcić jej. Patrząc wstecz na cztery jubileusze za nami, powinniśmy myśleć także o tych, które będą obchodzone w latach przed nami, w 2376, 2476... 2776, w tysiącleciu republiki. Jak ludzie wówczas będą nas wspominać? My

pamiętamy Stany Zjednoczone głównie za sprawą projektu Apollo, czy jesteśmy w stanie zostawić po sobie osiągnięcie porównywalne skalą do niego?

Na każdej z planet jest wiele problemów do rozwiązania. Nieszczęścia, choroby - nawet bieda - wciąż istnieją. Wciąż daleko nam do Utopii, być może osiągnięcie jej nie jest w ogóle możliwe. Ale wiemy, że wszystkie te problemy można rozwiązać przy użyciu narzędzi, którymi już dysponujemy. Nie trzeba pionierstwa ani wielkich odkryć. Teraz, gdy największe zła przeszłości zostały wyeliminowane, możemy z czystą świadomością skupić się na czymś innym, na nowych zadaniach będących wyzwaniem dla umysłu i inspiracją dla duszy.

Cywilizacja potrzebuje długofalowych celów. Układ Słoneczny zapewniał je kiedyś, ale teraz musimy patrzeć dalej. Nie mówię tu o załogowej wyprawie do gwiazd, to jeszcze przez stulecia może być nieosiągalne. Mówię o poszukiwaniach inteligentnego życia w kosmosie, które z ogromnymi nadziejami rozpoczęto przed trzystu laty i które do dziś nie dały rezultatu.

Znacie oczywiście Cyklopów, największy radioteleskop na Ziemi. Zbudowano go głównie w celu znalezienia dowodu na istnienie innych zaawansowanych cywilizacji. Projekt ten zmienił astronomię, jednak pomimo wielu fałszywych alarmów nigdy nie wykrył żadnej świadomej wiadomości z gwiazd. Porażka ta przyczyniła się do tego, że ludzie odwrócili głowy od głębin kosmosu, by skupić się na niewielkiej oazie Układu Słonecznego.

A może szukamy w złym miejscu? Miejscu rozumianym jako zakres niewiarygodnie szerokiego spektrum radiacji podróżujących pomiędzy gwiazdami.

Wszystkie nasze radioteleskopy przeszukiwały fale krótkie - o długości centymetrów, najwyżej metrów. Co jednak z falami długimi i bardzo długimi? Długich nie tylko na kilometry, ale może i nawet na megametry? Mówię o falach radiowych o częstotliwościach tak niskich, że brzmiałyby jak muzyka, gdyby nasze uszy mogły je słyszeć.

Wiemy, że fale takie istnieją ale nigdy nie byliśmy w stanie badać ich tu na Ziemi. Są one bowiem blokowane daleko w Układzie Słonecznym przez wiatr elektronów wiejący od Słońca. By dowiedzieć się, co wszechświat mówi przy pomocy tego wielkiego powolnego falowania, musimy zbudować radioteleskop ogromnych rozmiarów, poza zasięgiem głębokiej na miliard kilometrów słonecznej jonosfery, to znaczy nie bliżej niż w okolicach orbity Saturna. Po raz pierwszy w dziejach jest to możliwe. Po raz pierwszy istnieją prawdziwe bodźce, by tego dokonać.

Sądzimy wszechświat przez pryzmat samych siebie, naszej fizycznej i czasowej skali, naturalnym jest dla nas pracować z falami, które możemy objąć własnymi ramionami czy

nawet palcami. Wszechświat zbudowany jest jednak według innych proporcji, a być może także byty go zamieszkujące.

Te gigantyczne fale radiowe są proporcjonalne do skali Drogi Mlecznej, a ich powolne wibracje są lepszą miarą Roku Galaktycznego. Może się okazać, że mają nam wiele do powiedzenia, gdy zaczniemy je odszyfrowywać.

Z jakim uznaniem przyjęliby ten projekt ci wielcy naukowcy, a zarazem mężowie stanu, Franklin i Jefferson! Pojęliby jego skalę, choć nie technologię, interesowali się bowiem każdą gałęzią nauki pomiędzy niebem a ziemią.

Problemy, z którymi mierzyli się pięćset lat temu, nigdy już się nie odrodzą. Czasy konfliktów pomiędzy narodami skończyły się już. Mamy jednak inne wyzwania, które mogą prowadzić do kolejnych, najwyższych celów. Bądźmy wdzięczni i cieszymy się, że wszechświat zawsze może dostarczyć nam celów większych niż my sami, i przedsięwzięć, którym możemy poświęcić nasze życia, nasze posiadłości i święty nasz honor.

Duncan Makenzie zamknął pięknie zaprojektowaną pamiątkową książkę - arcydzieło sztuki drukarskiej - jakiej nie widziano od wieków i jakiej być może już nigdy świat nie zobaczy. Wyprodukowano tylko pięćset egzemplarzy, po jednym na każdy rok. Swój egzemplarz zawiezie tryumfalnie na Tytana, gdzie przez resztę życia znajdować się będzie wśród jego najcenniejszych pamiątek.

Wiele osób chwaliło jego przemówienie, zachowane na zawsze na tych stronach - i łatwiej dostępne w bankach informacji i w bazach danych bibliotek w całym Układzie Słonecznym. A jednak głupio mu było przyjmować te gratulacje, bo w głębi serca wiedział, że na nie nie zasłużył. Jeszcze kilka tygodni temu nie byłby w stanie wymyślić takiej mowy, był dzisiaj co najwyżej medium przekazującym słowa zmarłego. Nie, słowa były Duncana, ale myśl Karla.

Ależ zdziwieni - pomyślał gorzko - musieli być wszyscy jego bliscy na Tytanie, gdy oglądali ceremonię. Być może było trochę nie na miejscu wykorzystywać taką okazję dla własnych celów czy wręcz do zachwalania zalet własnego świata. Duncan czuł jednak, że wie, co robi, a poza tym jak dotąd nikt nie skrytykował jego przemówienia. Nawet ci, którzy nie byli w pełni przekonani do tego pomysłu, docenili entuzjizm, jaki wniósł do rutynowych formalności.

I nawet gdyby jego mowa miała być tylko chwilową ciekawostką to przecież nie zostanie tak łatwo zapomniana. Zasadził nasiono, które pewnego dnia rozkwitnie - na jałowej Mnemosyne.

Na razie był tylko jeden drobny problem praktyczny, choć niezbyt pilny. Ten wspinały tom, drukowany na grubym papierze welinowym, i jego ręcznie robiona skórzana oprawa ważyły w sumie około pięciu kilogramów.

Makenzowie nie znosili marnotrawstwa i ekstrawagancji. Miło by było mieć tę książkę ze sobą podczas powrotnej drogi na Tytana, jednak dodatkowy bagaż kosztował sto solarów za kilo...

Pamiętka będzie musiała polecieć powolnym promem, jednym z pustych tankowców - PRZESYŁKA STANDARDOWA, MOŻE BYĆ PRZECHOWYWANA W PRÓŻNI.

Rozdział trzydziesty siódmy

Lustro morza

Doktor Yehudi ben Mohammed wyglądem nie pasował do nowoczesnego szpitala, gdzie zwykle otoczony był mrugającymi wykresami funkcji życiowych, odczytami komsoli, cichym szumem ukrytych głośników i całą tą aseptyczną technologią życia i śmierci. W swych nieskazitelnie białych szatach, z chustą przytrzymywaną na głowie dwoma kółkami złotego sznurka wyglądał bardziej na pustynnego władcę przyjmującego poddanych w namiocie lub obserwującego horyzont z grzbietu wielbłąda w poszukiwaniu pierwszych śladów oazy.

Duncan przypomniał sobie, co jeden z młodszych lekarzy powiedział podczas jego pierwszej wizyty:

- Czasami myślę, że El Hadj wierzy, iż jest reinkarnacją Saladyna i Lawrence'a z Arabii.

Choć Duncan nie mógł zrozumieć całego smaczku tych porównań, wiedział, że były powiedziane w tonie pełnym sympatii, a nie krytycznie. Zastanawiał się tylko, czy chirurg nosił te szaty także na sali zabiegowej. Nie byłyby tam nie na miejscu; i z pewnością nie klóciły się z kocią gracją z jaką się poruszał.

- Cieszę się - powiedział dr Yehudi, bawiąc się pokrytym klejnotami sztyletem na swoim bogato inkrustowanym biurku, powiew antyku w zupełnie poza tym XXIII-wiecznym otoczeniu - że w końcu się pan zdecydował. Te, hmm, opóźnienia wywołały pewne problemy, które jednak udało nam się przezwyciężyć. Mamy teraz cztery zupełnie zdrowe embriony, pierwszy z nich zostanie wszczepiony za tydzień. Pozostałe zachowamy na wypadek odrzucenia płodu przez organizm mamki, choć takie przypadki zdarzają się bardzo rzadko.

A co stanie się z tymi niechcianymi trzema później? - zastanowił się Duncan i starał się nie myśleć o możliwych odpowiedziach. Powstawała istota ludzka, która w żaden inny sposób powstać by nie mogła. To była pozytywna strona zabiegu. Lepiej nie myśleć o tych trzech duchach, które przez krótką chwilę wisiały na granicy rzeczywistości. Trudno jednak było być zimno logicznym w takich sprawach. Przyglądając się zawitym ornamentom, Duncan rozważał psychologię tej spokojnej, eleganckiej postaci, której zdolne ręce sprawowały kontrolę na tyłoma losami. Na swój mały sposób, w swoim maleńkim świecie, Makenzowie odgrywali rolę Boga, to jednak wykraczało poza jego rozumienie.

Oczywiście zawsze można było się uciec do zimnej matematyki reprodukcji. Stara Matka Natura w najmniejszych stopniu nie przejmowała się ludzką etyką ni odczuciami. W przeciągu życia każdy mężczyzna wytwarzał wystarczającą ilość plemników, by niejedną raz zasiedlić cały Układ Słoneczny, a przecież wszystkie te potencjalne istoty, z wyjątkiem może dwóch lub trzech, skazane były na nieistnienie. Czy ktokolwiek, kiedykolwiek był na tyle szalony, by nazwać każdą ejakulację masowym morderstwem? Całkiem możliwe, nic dziwnego, że wyznawcy niektórych starych religii odmawiali spojrzenia przez mikroskop...

Za każdym czynem stoją moralne obowiązki i niepewność, na dłuższą metę człowiek mógł słuchać tylko tej tajemniczej istoty, jaką jest „Świadomość”, i liczyć na to, że skutki nie będą zbyt katastrofalne. Choć oczywiście człowiek nigdy nie był w stanie poznać *ostatecznych* rezultatów swoich działań.

Dziwne, myślał Duncan, jak poradził sobie z wątpliwościami, które opadły go, gdy pierwszy raz przybył na wyspę. Nauczył się spoglądać pod szerszym kątem i umiejscawiać nadzieje i aspiracje Makenziech w szerszym kontekście. Przede wszystkim jednak widział skutki nadmiernej ambicji, jednak lekcja Karla nie była jednoznaczna i zapewne będzie ją analizować bezskutecznie do końca życia.

Z łagodnym zaskoczeniem Duncan spostrzegł, że podpisał już wszystkie dokumenty i że właśnie oddawał je doktorowi Mohammedowi. Nie szkodzi, czytał je dokładnie i wiedział, co w nich napisano.

„Ja, Duncan Makenzie, mieszkaniec Tytana, satelity obecnie znajdującego się na orbicie Saturna - (a kiedy ci cholerni prawnicy spodziewają się, że stamtąd odleci?!) - niniejszym podejmuję się opieki nad jednym dzieckiem płci męskiej, sklonowanym i identyfikowanym poniżej załączoną tablicą chromosomów. Oświadczam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by”...

I tak dalej.

Być może świat byłby lepszym miejscem, gdyby wszyscy rodzice dzieci poczętych naturalnie także musieli podpisać podobne dokumenty, myśl ta jednak była spóźniona o jakieś sto miliardów narodzin...

Chirurg wstał i wrócił do pracy w sposób tak jednoznaczny, że gdyby gest ten wykonał ktoś inny, byłoby to zwyczajnie niegrzeczne. Jednak nie w tym wypadku, El Hadj miał bowiem mnóstwo spraw na głowie. Przez cały czas ich spotkania jego oczy rzadko nie były wpatrzone w pulsujące linie życia i śmierci na odczytach pokrywających niemal całą ścianę jego gabinetu.

W głównym holu budynku administracyjnego Duncan zatrzymał się na chwilę przed gigantyczną powoli obracającą się cząsteczką DNA widoczną nad wejściem. Przyglądając się po kolei szczeblom skróconej drabiny, kontemplując jej nieskończone możliwości, nie mógł przestać myśleć o pentominie, które przed laty pokazała mu babcia Ellen. Miały jedynie dwanaście kształtów, a jednak potrzeba by miliardów lat, żeby zbadać ich możliwości. Tu natomiast było nie dwanaście, ale miliardy pól, w które można było wpisać litery kodu genetycznego. Całkowita liczba możliwych kombinacji była nie do objęcia ludzkim umysłem. Liczba elektronów potrzebnych, by wypełnić kosmos od jednego końca do drugiego, była w porównaniu z tym zerem.

Duncan wyszedł na zewnątrz, poczekał, aż ciemne okulary dostosują się do blasku słońca, i ruszył na poszukiwanie doktora Todda, jego przewodnika i przyjaciela podczas pierwszej wizyty. Do wyjazdu miał jeszcze cztery godziny i jedną ważną sprawę do załatwienia.

Na szczęście, jak wyjaśnił Sweeney Todd, nie trzeba było wypływać aż na rafę.

- Nie mam pojęcia, czemu interesują pana te brzydkie bestie. Ale znajdzie pan ich kilka na fragmencie martwego koralowca na końcu tego falochronu. Nic innego tam nie żyje. Woda ma tam tylko metr, nie trzeba nawet płetw, wystarczą dobre buty. Gdyby nadepnął pan na szkaradnicę, pańskie krzyki ściągnęłyby nas akurat na czas, by uratować panu życie, choć później mógłby pan żałować, że zdążyliśmy.

Nie było to zachęcające, jednak dziesięć minut później Duncan ostrożnie wszedł do płytkiej wody zgięty w pół i z pożyczoną maską tlenową na twarzy.

Nie było tu tak pięknie jak na Złotej Rafie. Woda była krystalicznie czysta, dno było jednak podmorską pustynią. Był tam głównie biały piasek zmieszany z odłamkami koralowca przypominającymi wyblakłe kości martwych zwierząt. Kilka małych szarych rybek pływało wokół, inne przyglądały mu się nerwowo i nieprzyjaźnie ze swoich kryjówek w piasku. W pewnym momencie jasnoniebieskie stworzenie, wyglądające trochę jak spłaszczony węgorz,

podpłynęło do niego i ku jego zdumieniu uszczypnęło go boleśnie, zanim zdążył je odpędzić. Duncan obawiał się trucizny przez kilka minut, ale ponieważ nie odczuwał żadnych oznak bliskiego końca, ruszył dalej przez chłodną wodę.

Betonowy falochron - część systemu obronnego wyspy przed nieustanną erozją fal - sięgał sto metrów w głąb morza, po czym znikał pod jego powierzchnią. W pobliżu jego dalszego krańca Duncan natrafił na stos rozsypanych skał, prawdopodobnie przyniesionych tu przez sztorm. Musiały tu leżeć od lat, bo scementowane były ze sobą skorupiakami i małymi szczybatymi ostrygami. W ich jaskiniach i pęknięciach Duncan znalazł to, czego szukał.

Wydawało się, że każdy z jeżowców sam wydrążył sobie szparę w litej skale. Duncan nie umiał sobie wyobrazić, jak te stworzenia mogły tego dokonać. Schowane, jedynie z wystającymi na zewnątrz kolcami, były w zasadzie bezpieczne od wszelkich wrogów - z wyjątkiem człowieka. Duncan nie chciał ich krzywdzić, nawet nie miał ze sobą noża. Widział już wystarczająco dużo śmierci, teraz chciał tylko potwierdzić - albo odrzucić - wrażenie, które nawiedzało go, odkąd zobaczył ów rysunek w notatniku Karla.

I znowu ich długie czarne kolce zaczęły obracać się w kierunku jego cienia, te prymitywne stworzenia, pomimo braku narządów zmysłu, wiedziały, że on tam jest, i reagowały na jego obecność. Skanowały swój mały wszechświat, tak jak Argos miał skanować gwiazdy...

Oczywiście anteny Argosa nie wykonywałyby żadnego fizycznego ruchu, nie było to konieczne, a przy tak delikatnej i ogromnej konstrukcji zapewne także niemożliwe. A jednak ich elektroniczne obserwowanie kosmosu byłoby bardzo podobne do obronnych mechanizmów jeżowca. Gdyby jakieś bestie rozmiaru planety zaobserwowały na falach ultradługich działanie Argosa, widok byłby podobny do widoku tych prymitywnych istot morskich.

Przez chwilę Duncan miał ciekawą fantazję. Wyobraził sobie, że sam jest taką bestią obserwującą zarys Argosa na tle radiowego szumu galaktycznego. Widziałby setki cienkich czarnych linii rozchodzących się promieniście z punktu centralnego - większość nieruchomych, niektóre jednak falujące powoli tam i z powrotem jakby w odpowiedzi na cienie z gwiazd.

Trudno było sobie jednak uświadomić, że nawet gdyby Argos został wybudowany, żaden człowiek nie mógłby zobaczyć go w całości. Konstrukcja byłaby tak ogromna, że jej cienkie wypustki z większej odległości byłyby kompletnie niewidzialne. Być może, jak Karl sugerował w swoich notatkach, ustawiono by światła ostrzegawcze na milionach kilometrów sześciennej sferycznej powierzchni i wzdłuż sześciu głównych osi. Dla zbliżającego się

statku kosmicznego widok przedstawiałby coś na kształt ornamentu, ozdoby z okazji Dnia Gwiazdy.

Lub też - to było lepsze porównanie - zabawki wyrzuconej ze złołka bogów...

Pod wieczór, gdy czekał na połączenie ze stałym lądem, Duncan znalazł odosobniony stolik w małej kawiarence z widokiem na lagunę. Siedział tam, rozmyślając i sącząc ziemskiego drinka o nazwie „Tom Collins”, którego smak niedawno odkrył. To był zły pomysł oddawać się ziemskim występkom, których nie można będzie wyeksportować na Tytana. Z drugiej strony głupio by było nie skorzystać z wyjątkowych ziemskich przyjemności, nawet jeśli trzeba z nich będzie bardzo szybko zrezygnować.

Cały czas przyjemność sprawiało mu też przyglądanie się, jak wiatr marszczył powierzchnię wody otoczoną barierą rafy wewnętrznej. Woda miejscami była spokojna i całkowicie płaska, odbijało się w niej bezchmurne błękitne niebo jak w lustrze bez skazy. W innych miejscach jednak, niczym się przecież nieróżniące, woda cały czas drżała lekko i powierzchnia nigdy się nie uspokajała, przecinały ją niezliczone maleńkie fale, najwyżej centymetrowej wysokości. Prawdopodobnie odpowiedzialna za to była zależność pomiędzy głębokością laguny i prędkością wiatru. Duncan nigdy nie widział czegoś podobnego. Bez względu na wyjaśnienie był to fenomen urzekająco piękny, ponieważ niezliczone odbicia słońca w tańczącej wodzie tworzyły iskrzące wzory, które zdawały się poruszać wraz z wiatrem, a jednak pozostawały zawsze w tym samym miejscu.

Duncan nigdy nie poddał się hipnozie ani nigdy nie doświadczył więcej niż kilku spośród dziewięciu stanów świadomości pomiędzy pełną świadomością i głębokim snem. Być może alkohol pomógł, ale iskrzące się morze było z pewnością głównym czynnikiem, który złożył się na jego obecny nastrój. Był w pełni świadomy - wydawało mu się nawet, że jego mózg pracuje teraz z nadzwyczajną klarownością - ale nie był już ograniczony prawami logiki, które kontrolowały całe jego dotychczasowe życie. Było prawie tak jak w jednym z tych snów, w których najbardziej niezwykle rzeczy mogą się przydarzać i są akceptowane jako normalne, codzienne sprawy.

Wiedział, że stoi twarzą w twarz z tajemnicą jedną z tych, które dla twarogłowych Makenziech byłyby anatema. Było to coś, czego nigdy nie umiałby wyjaśnić Malcolmowi ani Colinowi, nie wyśmialiby go - chyba - ale też nie wzięliby go na poważnie.

Poza tym było to tak strasznie banalne. Nie doznał żadnego olśniewającego objawienia jak dawni prorocy, gdy słyszeli słowo boże. Jedyne, co się stało, to to, że w dwóch całkowicie niezależnych kontekstach natrafił na dokładnie ten sam bardzo niezwykle kształt.

Mógł to być czysty przypadek, mógł się oszukiwać zwykłym *déjà vu*. Takie było proste, logicznie wytłumaczenie, które zadowoliliby każdego innego człowieka.

Ale nie Duncana. Doświadczył owego nieopisywalnego szoku, jaki zdarza się może raz w życiu, gdy obecność transcendencji jest oczywista, a pewne dotychczas podstawy jego świata i filozofii zdają się rozsypywać w pył.

Gdy zobaczył ten precyzyjny rysunek w notatniku Karla, rozpoznał go od razu. Teraz jednak był niemal pewny, że to rozpoznanie przychodziło nie tylko z przeszłości, ale też z przyszłości. To tak jakby na ułamek sekundy zajrzał w lustro czasu, odbijające coś, co jeszcze się nie wydarzyło. Coś niewiarygodnie ważnego, skoro odwróciło bieg przyczynowości.

Projekt ARGOS był częścią przeznaczenia ludzkości. Duncan był tego teraz pewien tak bardzo, że nawet nie potrzebował żadnych racjonalnych dowodów. Czy jednak przyniesie same dobre skutki? Co do tego nie był przekonany. Wiedza jest obosiecznym mieczem i mogło się okazać, że żadna wiadomość z kosmosu nie spodoba się ludzkości. Duncan pamiętał dźwięk umierających jeżowców, gdy je zabijał na Złotej Rafie. Czy te słabe, lecz ponure trzeszczenia były zupełnie przypadkowe i bez znaczenia? Czy może jednak niosły w sobie jakąś głęboką ważność? Instykt nie podpowiadał mu żadnej odpowiedzi.

Dla Duncana była to jednak kwestia wiary, podobnie jak dla wszystkich, z którymi pracował przez całe życie, że tchórzostwem jest nie mierzyć się z prawdą jakakolwiek by była i do czegokolwiek by prowadziła. Jeśli nadchodził czas, by ludzkość stawiała czoła siłom kryjącym się między gwiazdami, to niech tak będzie. On nie miał wątpliwości, czuł teraz tylko spokojną satysfakcję, nawet jeśli był to spokój w oku cyklonu.

Duncan obserwował światło dygocące i tańczące na lagunie, podczas gdy słońce schodziło coraz niżej ku linii horyzontu i niewidocznym brzegom Afryki. Czasami wyobrażał sobie, że w tych skrzących wzorach widzi ostrzegawcze reflektory Argosa, wyznaczające obszar miliardów kilometrów sześciennych zamkniętej między nimi przestrzeni, tak jak będą wyglądały za pięćdziesiąt czy sto lat od teraz...

Zmieniając kształt na oczach Duncana, słońce dotknęło horyzontu i skryło się za nim, pozostawiając karmazynowy ślad na tafli morza. Wyglądało to jak film o wybuchu jądrowym, tylko że odtworzony od tyłu; piekielne ognie chowały się w wodzie, nie czyniąc nikomu krzywdy. Ostatni złoty łuk zachodzącej tarczy zatrzymał się na moment na krawędzi świata, a dokładnie w chwili gdy zniknął, w tym samym miejscu pojawił się na ułamek sekundy zielony błysk.

Duncan wiedział, że do końca życia może już nie zobaczyć czegoś równie rozziewającego pięknego. Było to wspomnienie, które musiał zabrać ze sobą na Tytana,

wspomnienie z wyspy, na której podjął najważniejszą decyzję w życiu i rozpoczął kolejny rozdział w historii pozaziemskich światów.

Część IV

Tytan

Rozdział trzydziesty ósmy

Powrót do domu

Podróż dobiegła końca. Pożegnał się już z załogą i ze współpasażerami, dopełnił wszystkich formalności i dopilnował, by wszystkie jego bagaże znalazły się na pasie transportera. Wszystkie, oczywiście, poza najważniejszym z prezentów.

Gdy przejdzie przez drzwi z napisem OBYWATELE TYTANA, będzie w domu. Zapomniał już o przytłaczającej grawitacji ziemskiej, to - i znacznie więcej - gasło już w przeszłości jak rozpluwający się sen. Tu było jego miejsce i tu miał pracę do zrobienia. Nigdy więcej nie wyruszy już w stronę słońca, choć wiedział, że przyjdą chwile, gdy wspomnienie piękna tamtego świata wbijać będzie nóż w jego serce.

Rodzina pewnie już czeka w hali przylotów, teraz właśnie, na kilka sekund przed powitaniem, Duncan poczuł niechęć do spotykania się z całym klanem Makenziech. Pozwolił, by inni pasażerowie minęli go w pośpiechu, sam zaś stał niezdecydowany, próbując odzyskać odwagę i przyciskając swoje cenne zawiniątko mocno do piersi. Ruszył wreszcie do przodu, minął łukowate sklepienie i wszedł na trap.

Było ich tak wielu! Malcolm i Colin, oczywiście Mirissa, piękniejsza niż w snach, wreszcie wolna od wspomnienia Calindy, Clyde i Carline - czy naprawdę mogła aż tak urosnąć w tak krótkim czasie? I wreszcie co najmniej dwudziestu siostrzeńców i bratani, których imiona znał dobrze jak swoje własne, ale których teraz nie mógł sobie przypomnieć.

Nie, to niemożliwe! Ale była tam i ona, stała nieco z boku, ciężko opierając się na swoje lasce, poza tym jednak zupełnie niezmienną, odkąd ostatnio widzieli się na zboczach Loch Hebrew. Dużo musiało się tu wydarzyć skoro babcia Ellen wróciła do Oasis po pięćdziesięciu latach.

Gdy zobaczyła jego zdumienie, uśmiechnęła się lekko. To było więcej niż powitanie, to był gest wsparcia. *Ona już wie* - pomyślał Duncan - *wie i akceptuje*. Gdy cała wściekłość rodu Makenziech spadnie na moją głowę, na niej będę mógł polegać...

W głowie zakołatała mu stara ziemską frazę, której pochodzenia od dawna nie pamiętał: chwila prawdy. Tak, właśnie nadeszła...

Wszyscy z ogromną ciekawością stłoczyli się wokół niego. Zsunął chustę z twarzy niemowlaka i na jedną chwilę poczuł do siebie żal, może powinien był ich wcześniej ostrzec. Nie, lepiej było w ten sposób. Dowiedzą się teraz, że sam jest panem własnego losu, a nie jak

dotąd pionkiem w ich rękach, i to bez względu na to, jak wiele im zawdzięczał i jak bardzo był ich częścią.

Dziecko wciąż spało, teraz już normalnie, a nie w elektronicznym transie chroniącym je podczas długiej podróży z Ziemi. Nagle wyciągnęło tłściutką rączkę i małeńkie paluszki chwyciły rękę Duncana z zaskakującą siłą na tle jego ciemnej skóry wyglądały jak blade, białe macki morskich ukwiałów.

W małej główce nic się jeszcze nie śniło, a jego twarz była pusta i bezkształtna jak twarz każdego miesięcznego niemowlaka. Jednak już teraz nad różowym czółkiem widać było ślad włosów, włosów koloru złotego, które już wkrótce miały przywrócić Tytanowi utracony blask odległego słońca.

Podziękowania i uwagi

Jak wielu innych uzależnionych dowiedziałem się o polinominach z książki Martina Gardnera „Scientific American Book of Mathematical Puzzles and Diversions”, która jednak złośliwie nie podaje rozwiązania układanki o polu 20×3 kwadraty. Solomon W. Golomb w książce „Polyominoes” lituje się jednak nad czytelnikiem, w nadziei zapobieżenia kilku załamaniom nerwowym przytaczam tu za nim rzeczony rozwiązanie:

U X P I L N F T W Y Z V

Każdy, kto chciałby ułożyć taki prostokąt z dwunastu części pentomina, nie będzie miał problemu z dopasowaniem ich do liter, które (często w dużym przybliżeniu) przypominają. Łatwo zauważyć, że drugie z (jedynych) dwóch rozwiązań polega na obroceniu środkowego siedmioelementowego fragmentu układanki.

Dr Golomb, który jest teraz profesorem matematyki na Uniwersytecie Południowej Kalifornii, opatentował także genialną grę o nazwie PENTOMINO (dystrybuowanej w Ameryce Północnej przez Hallmark Cards, a w Europie przez Zimpfer Puzzles). Ma ona więcej otwarć niż szachy, w swojej wersji „Odysei Kosmicznej 2001” Stanley Kubrick sfilmował scenę, w której HAL gra w tę grę z astronautami.

Mam dług wdzięczności wobec profesora Roberta Forwarda z Hughes Research Laboratory w Malibu za wprowadzenie mnie w szczegóły fascynującej koncepcji miniczamych dziur i za zachęcające komentarze do cokolwiek ekstrawaganckiego napędu „Syriusza”, przez które niemal zdecydowałem się ów pomysł opatentować...

Dr Grote Reber, Ojciec Radioastronomii i twórca pierwszego na świecie radioteleskopu, sprawił, że zacząłem interesować się rozpiętością heliosfery i jej możliwymi konsekwencjami.

Jestem wdzięczny za jego uwagi na temat odciętych częstotliwości, jednak za wszelkie moje co bardziej szalone ekstrapolacje jego idei nie jest on w żadnym stopniu odpowiedzialny. Dr Adrian Webster z Cavendish Laboratory's Mullard Radio Astronomy Observatory także udzielił mi wielu ważnych wskazówek, jego również nie można winić za to, w jaki sposób ową wiedzę wykorzystałem.

Szczególnie wdzięczny jestem profesorowi Bernardowi Oliverowi, wiceprezesowi i dyrektorowi ds. badań firmy Hewlett-Packard, nie tylko za gościnność w Palo Alto, ale także za kopię pierwszej wersji projektu CYKLOP (NASA/Ames CR 114445), któremu szefował. Mam nadzieję, że Barney wybaczy mi sugestię - którą tak naprawdę uznaję za mało prawdopodobną, że Cyklop nie wykryje śladów inteligentnego życia nawet przez dwieście lat swojego działania.

Oburzonych projektantów anten, którzy zarzucać mi będą że Argos nie miałby prawa działać tak, jak to opisałem, niech sięgną po dokumentację radarów szpiegowskich ABM i niech otworzą się na bardziej wizjonerskie pomysły. Wszystko, co mogę powiedzieć na własne usprawiedliwienie, to to, że części Argosa miałyby być nadprzewodnikami, aktywnymi i podzielonymi na wiele niezależnych podsekcji, być może z połączeniami pomiędzy „kolcami”. Pomniejsze praktyczne szczegóły (podobnie jak w wypadku „Napędu Asymptotycznego”) pozostawiam do namysłu jako ćwiczenie dla studentów.

Jestem głęboko wdzięczny mojemu staremu przyjacielowi, Williamowi MacQuitty’emu, producentowi filmu „A Night to Remember”, za ogromną ilość materiałów dotyczących Titanica.

Niektórzy czytelnicy mogą uznać, że koincydencje - lub bezpośrednie odniesienia - które odgrywają kluczową rolę w tej opowieści są zbyt nieprawdopodobne, by mogły być wiarygodne. Były one jednak częściowo oparte na dużo bardziej niedorzecznych wydarzeniach z mojego własnego życia, a jeśli ktokolwiek wątpi, by tego typu sytuacje mogły w ogóle mieć miejsce, niech zajrzy do książki Arthura Koestlera „The Roots of Coincidence”. Przeczytałem tę fascynującą pozycję już po ukończeniu „Imperialnej Ziemi”, choć wydaje mi się to teraz cokolwiek nieprawdopodobne.

Intrygujące akustyczne zachowanie jeżowca *Diadema Setosum* zaobserwowałem osobiście na rafie Unawatuna, na południowym wybrzeżu Sri Lanki. Nigdzie nie znalazłem na ten temat żadnych informacji, możliwe więc, że jest to mój wkład w biologię morską.

Wreszcie moje spekulacje na temat warunków życia na Tytanie powstały w oparciu o serię dokumentów, które dr Carl Sagan był uprzejmy mi podesłać. Rzecz jasna jestem mu wdzięczny za to, ale i za wiele innych inspirujących pomysłów, których żaden szanujący się Wszechświat nie powinien ignorować. „Bo nawet jeśli nie są prawdziwe, to znakomicie zostały wymyślone”...

Arthur C. Clarke
Cinnamon Gardens, Colombo

styczeń 1974 - styczeń 1975